

Nowa powieść autorki ROZSTAŃMY SIĘ NA ROK

Jedyna miłość razy dwa

*Nikt tak nie umie
pisać o uczuciach jak
Taylor Jenkins Reid.
„Kirkus Reviews”*



Taylor Jenkins Reid


AMBER

Jedyna miłość
razy dwa

Taylor Jenkins Reid

Przekład
IRENA KOŁODZIEJ



Korekta
Renata Kuk
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
©frentusha/Thinkstock

Tytuł oryginału
One True Loves

Copyright by © 2016 Taylor Jenkins Reid
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6004-4

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

*Akcja tej książki rozgrywa się w Acton w stanie Massachusetts.
Więc, naturalnie, chciałabym ją zadedykować Andy'emu Bauchowi z Boxborough.
A także Rose, Warrenowi, Sally, Berniemu, Niko i Zachowi z Encino w Kalifornii.*

Właśnie kończymy z rodziną i narzeczonym kolację, kiedy dzwoni mój mąż.

To sześćdziesiąte czwarte urodziny mojego ojca. Jest w swoim ulubionym swetrze, tym ze zgniózzonego kaszmiru, który wybrałyśmy dla niego dwa lata temu z moją starszą siostrą Marie. Chyba dlatego tak go lubi. Okej, no i dlatego, że to kaszmir. Co do tego nie mam złudzeń.

Matka, w zwiewnej białej bluzce i spodniach khaki, siedzi obok niego i usiłuje powstrzymać uśmiech. Wie, że lada chwila pojawi się maleńki torcik z jedną świeczką i że będziemy śpiewać. Zawsze miała w sobie coś dziecinnego z tym swoim entuzjazmem dla niespodzianek.

Moi rodzice są małżeństwem od trzydziestu pięciu lat. Wychowali dwoje dzieci i wspólnie prowadzą dobrze prosperującą księgarnię. Mają dwie uroczę wnuczki. Jedna z córek przejmuje rodzinny interes. Mają z czego być dumni. Te urodziny są szczęśliwe dla ojca.

Marie siedzi po drugiej stronie matki. Właśnie w takich chwilach, kiedy widzę je obok siebie, zwrócone twarzami w jedną stronę, uświadamiam sobie, jakie są podobne. Ciemne włosy w odcieniu czekolady, zielone oczy, drobne sylwetki.

Ja jestem ta, której dostała się wielka pupa.

Na szczęście nauczyłam się ją doceniać. Mnóstwo piosenek opiewa wdzięki obfitego zadka i jeśli moje trzydzieści z górą lat zdołały mnie czegoś nauczyć, to tego, że gotowa jestem być sobą bez poczucia winy.

Nazywam się Emma Blair i mam obfity zadek.

Mam trzydzieści jeden lat, metr sześćdziesiąt trzy wzrostu i krótkie, odrastające blond włosy. Orzechowe oczy podkreśla konstelacja piegów na szczycie prawego policzka. Ojciec często żartuje, że dostrzega tam Mały Wóz.

W zeszłym tygodniu mój narzeczony, Sam, dał mi pierścionek, który wybierał ponad dwa miesiące. Pojedynczy diament w obrączce z różowego złota. Nie jest to mój pierwszy zaręczynowy pierścionek, ale po raz pierwszy w życiu mam na ręce diament. Kiedy patrzę na siebie, widzę tylko ten diament i nic więcej.

– O nie – mówi tato na widok trójki kelnerów, zdążających w naszą stronę z płonąca na kawałku tortu świeczką. – Nie możecie mi tego...

To nie fałszywa skromność. Ojciec się czerwieni, kiedy się śpiewa na jego cześć.

Matka ogląda się, i widzi, co widzi.

– Oj, Colin, proszę cię. To twoje urodziny...

Kelnerzy robią nieoczekiwany zwrot w lewo i ruszają do innego stolika. Najwyraźniej ojciec nie jest jedyną osobą, która się dziś urodziła. Matka widzi, co się stało, i próbuje zatuszować pomyłkę.

– ...i właśnie dlatego im nie mówiłam, żeby ci przynosili tort.

– Daj spokój – mówi tato. – Zdradziłaś się.

Kelnerzy kończą z tamtym stołem i szef ujawnia drugi kawałek tortu. Teraz ruszają bez wątpienia do nas.

– Jak chcesz, to schowaj się pod stołem – proponuje Sam. – Powiem im, że cię tu nie ma.

Sam jest przystojny w przyjazny sposób i jest to, jak sędzę, najlepszy sposób na bycie przystojnym. Jego ciepłe brązowe oczy wydają się na wszystko patrzeć z czułością. I jest dowcipny. Naprawdę. Kiedy

zaczęliśmy się spotykać, wkrótce potem zauważyłam, że pogłębiły mi się kurze łapki przy oczach. Nic dziwnego, skoro jestem coraz starsza, nie mogę się jednak pozbyć uczucia, że to dlatego, że śmieję się teraz o wiele więcej niż kiedykolwiek przedtem. Czego więcej można chcieć od człowieka niż miły sposób bycia i dobry humor? Nie wiem, czy tak naprawdę coś poza tym się dla mnie liczy.

Pojawia się tort, wszyscy śpiewamy, a ojciec robi się czerwony jak burak. Po czym kelnerzy odchodzą, a my zostajemy z potężnym kawałkiem czekoladowego tortu z lodami waniliowymi.

Kelnerska ekipa zostawiła pięć łyżeczek, ale ojciec momentalnie łapie wszystkie.

– Nie wiem, po co zostawili tyle łyżeczek. Wystarczy mi jedna.

Matka usiłuje odebrać mu jedną.

– Nie tak szybko, Ashley – mówi ojciec. – Skoro już musiałem przeżyć to upokorzenie, to teraz mam prawo zjeść ten tort sam.

– Skoro na tym polega zabawa... – mruczy Marie. – Jak będę miała urodziny w przyszłym miesiącu, zróbcie wokół tego taki sam cyrk. Naprawdę warto.

Pociąga łyk dietetycznej coli i sprawdza godzinę na komórce. Jej mąż, Mike, został w domu z moimi siostrzenicami, Sophie i Avą. Marie rzadko zostawia je na tak długo.

– Muszę już iść – mówi. – Przepraszam, ale...

Nie potrzebuje się tłumaczyć. Mama i tato wstają, żeby ją uścisnąć na pożegnanie.

Po wyjściu Marie ojciec pozwala nam ostatecznie zjeść trochę tortu, a mama mówi:

– Wiem, że to brzmi głupio, ale tęsknię za tym. Tęsknię za tym, żeby wychodzić skądś wcześniej, bo tak mi się śpieszy do moich dziewczynek.

Wiem, co teraz nastąpi.

Mam trzydzieści jeden lat i niedługo wychodzę za mąż. Wiem dokładnie, co teraz nastąpi.

– Myślicie czasem o tym, że i wy moglibyście wreszcie zostać prawdziwą rodziną?

Siłą woli powstrzymuję się, żeby nie przewrócić oczami.

– Mamo...

Sam już się śmieje. Jemu to dobrze. Mama jest przecież dla niego tylko matką *honoris causa*.

– Mówię o tym wyłącznie dlatego, że jest coraz więcej badań, z których wynika, że niedobrze jest zwlekać z dzieckiem zbyt długo – dodaje mama.

Zawsze są jakieś badania. Z jednych wynika, że powinnam się pośpieszyć, a z innych, że nie. Postanowiłam, że będę miała dziecko wtedy, kiedy będę, kurczę, gotowa, bez względu na to, co matka czyta w „Huffington Post”.

Mój wyraz twarzy sprawia, że matka się wycofuje.

– Nieważne, nieważne – mówi, machając ręką. – Jakbym słyszała własną matkę... Zapomnijcie o tym. Już nie będę.

Tato śmieje się i obejmuje ją ramieniem.

– No dobrze. Jestem w sypialni cukrzycowej, a Emma i Sam na pewno mają coś lepszego do roboty, niż siedzieć tu z nami. Poprośmy o rachunek.

W kwadrans później stoimy przed restauracją, zwróceni w stronę samochodów.

Mam na sobie granatową swetrową sukienkę z długimi rękawami i grube rajstopy. W sam raz, żeby się uchronić przed chłodem wieczoru. To jeden z ostatnich dni, kiedy wychodzę z domu bez wełnianego płaszcza.

Jest końcówka października. Jesień zadomowiła się już na dobre i w pełni zawładnęła Nową Anglią. Liście żółkły i sczerwieniały, a wkrótce zbrązowieją i uschną. Sam chodził już raz do moich rodziców zgrabić podwórko. W grudniu, kiedy temperatura poleci na łeb, na szyję, będą z Mikkiem odgarniać śnieg.

Na razie jednak powietrze wciąż ma w sobie odrobinę ciepła, więc delectuję się nim, póki mogę. Kiedy mieszkałam w Los Angeles, nie zwracałam na nie uwagi. Nie zwraca się uwagi na coś, co istnieje

zawsze. To jeden z powodów, dla których wróciłam z powrotem do Massachusetts.

Kiedy ruszam do samochodu, dobiega mnie słaby dźwięk komórki. Przystaję i grzebię w torebce, a zarazem słyszę, jak ojciec namawia Sama, żeby dał mu parę lekcji gry na gitarze. Ojciec ma irytujący zwyczaj: chciałby nauczyć się grać na każdym instrumencie, na którym gra Sam. Zapomina, że Sam jest nauczycielem muzyki, a nie jego nauczycielem muzyki.

Przekopuję torebkę w poszukiwaniu telefonu, wreszcie łapię jedyny przedmiot, który w niej świeci. Nie rozpoznaję numeru. Kierunkowy 808 nic mi nie mówi, ale zaciekawia.

Ostatnio nikt z kierunku 978, 857, 508 czy 617 – to znaczy z Bostonu i okolic – nie ma powodu, żeby do mnie dzwonić.

A 978 zawsze oznaczał dom, niezależnie od tego, gdzie w danej chwili przebywałam. Mogłam spędzić rok w Sydney (612), mogłam miesiącami wędrować z plecakiem z Lizbony (351) do Neapolu (39 081), mogłam spędzać miodowy miesiąc w Bombaju (99 12) i latami żyć sobie beztrosko w Santa Monica w Kalifornii (310). Kiedy jednak potrzebowałam kontaktu „z domem”, zawsze był to numer 978. I tu właśnie od zawsze mieszkałam.

Nagle w głowie wyskakuje mi odpowiedź.

808 to Hawaje.

– Halo? – mówię.

Sam ogląda się na mnie, a zaraz potem rodzice.

– Emma?

Głos, który słyszę w telefonie, rozpoznam zawsze i wszędzie. Głos, który słyszałam codziennie przez tyle lat. O którym myślałam, że nigdy więcej go nie usłyszę. Co do którego nie jestem pewna, czy jestem gotowa uwierzyć, że słyszę go znowu.

Mężczyzna, którego kochałam od siedemnastego roku życia. Mężczyzna, po którym zostałam wdową, gdy jego helikopter runął do Pacyfiku, a on przepadł bez śladu.

Jesse.

– Emma – mówi Jesse – to ja. Żyję. Wracam do domu.

Chyba każdy ma w życiu taki moment, który dzieli je na dwie części. Kiedy oglądamy się za siebie, w pewnym miejscu na linii czasu widzimy ostry szczyt, wypadek, który zmienił nas i nasze życie bardziej niż jakikolwiek inny.

Moment, który stwarza Przed i Po.

Może to ta chwila, kiedy spotykamy wielką miłość. Albo uświadamiamy sobie, jaka jest nasza życiowa pasja. Albo rodzimy pierwsze dziecko. Może coś wspaniałego. Może coś tragicznego.

Kiedy się to jednak wydarzy, zmienia koloryt naszych wspomnień i sposób patrzenia na własne życie. Nagle zaczyna się wydawać, że wszystko, co dotąd przeżyliśmy, nosi etykietkę „przed” albo „po”.

Dotąd myślałam, że dla mnie taką chwilą była śmierć Jessego.

Wszystko w naszej miłosnej historii zdawało się prowadzić do tego momentu. I wszystko, co nastąpiło potem, było reakcją na ten moment.

Teraz jednak wiem, że Jesse nie umarł.

I jestem pewna, że to jest mój moment.

Wszystko, co zdarzyło się Przed tą chwilą, wydaje się teraz inne. I nie mam pojęcia, co stanie się Po niej.

Przed

Emma i Jesse, czyli jak się zakochać i rozlecieć się na kawałki

Nigdy nie lubiłam zbyt wcześnie wstawać. Ale kiedy chodziłam do liceum, moja niechęć do ostrego porannego światła była tym silniejsza w sobotę dziesięć po ósmej.

Z punktualnością budzika ojciec pukał wtedy do moich drzwi i mówił: „Autobus odjeżdża za pół godziny”, choć „autobus” to było jego volvo, które wcale nie jechało do szkoły. Jechało do naszego rodzinnego sklepu.

Księgarnię Blair Books zaczął prowadzić w latach sześćdziesiątych wuj mojego ojca, dokładnie w tym miejscu, gdzie znajduje się i dziś – po północnej stronie Great Road w Acton w stanie Massachusetts.

I nie wiadomo, dlaczego oznaczało to, że zaledwie osiągnęłam wiek, w którym mogłam legalnie podjąć pracę, w niektóre dni tygodnia po szkole i w każdą sobotę musiałam siedzieć na kasie.

Przydzielono mi soboty, bo moja starsza siostra Marie wolała niedziele. Zarobione pieniądze odkładała i latem zeszłego roku kupiła sobie starego granatowego jeepa cherokee.

Jeden jedyny raz, kiedy wsiadłam do jeepa Marie, miał miejsce wieczorem w dniu zakupu, kiedy cała szczęśliwa zaprosiła mnie na lody do Kimball’s Farm. Kupiliśmy pół litra czekoladowych dla mamy i taty, po czym pozwoliliśmy, żeby się roztopiły, gdy siedząc na masce auta, w przyjaznym ciepłe letniego dnia, beztriosko pożerałyśmy własne.

Narzekaliśmy na księgarnię i na to, że mama zawsze dodaje parmezan do ziemniaków. Marie przyznała mi się, że spaliła garnek. Obiecałam jej, że nie powiem rodzicom. A potem spytała, czy już się całowałam, a ja odwróciłam głowę w obawie, że wyczyta odpowiedź z mojej twarzy.

– Spoko – powiedziała. – Mnóstwo ludzi zaczyna się całować dopiero w liceum.

Miała na sobie zgniłozielone szorty i granatową zapinaną koszulę, a po szyi, aż do rąbka biustonosza, spływały jej dwa delikatne złote wisiorki. Nigdy nie zapinała koszuli do samej góry. Zawsze o guzik niżej, niż można się było spodziewać.

– No – powiedziałam. – Wiem. – Zauważyłam jednak, że nie powiedziała „ja się zaczęłam całować dopiero w liceum”. A tylko o to mi naturalnie chodziło. Nie przejmowałam się, że nie jestem taka jak wszyscy. Przejmowałam się, że nie jestem taka jak ona.

– Teraz, jak zaczniesz liceum, wszystko pójdzie lepiej – powiedziała Marie, wyrzucając resztkę swojego lodu, miętowo-czekoladowego. – Uwierz mi.

W tamtej chwili, tamtego wieczoru, uwierzyłabym we wszystko, co mówi.

Ale tamten wieczór stanowił wyjątek w moich stosunkach z siostrą. Rzadką chwilę bliskości pomiędzy dwiema osobami, które ze sobą jedynie współistniały.

Kiedy zaczęłam chodzić do liceum i codziennie przebywałyśmy w tym samym gmachu, ustalili się między nami pewien wzór zachowania: wieczorem w domu i w szkole w ciągu dnia mijałyśmy się na korytarzach niczym wrogowie podczas zawieszenia ognia.

Łatwo więc sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy w pewną sobotę na początku dziewiątej klasy, obudzona dziesięć po ósmej, przekonałam się, że nie muszę jechać do księgarni.

– Pojedziecie z Marie po nowe džinsy dla ciebie – powiedziała mama.

– Dzisiaj? – spytałam, przecierając oczy. Czyżby to oznaczało, że mogę jeszcze pospać?

– Tak, do galerii. Wybierz sobie, jakie chcesz, ja płacę. Wykładam pięćdziesiąt baksów. Jeśli zdecydujesz się na droższe, dopłacasz ze swojej kasy.

Potrzebowałam nowych džinsów, bo wszystkie stare były już dziurawe. Na każde Boże Narodzenie miałam sobie kupić nowe, ale moje wymagania były tak szczególne, tak wydziwiałam co do tego, jak mają wyglądać, że matka się poddała. Dwa razy chodziłyśmy już do galerii i za każdym razem wychodziłyśmy z niczym, a matka z trudem ukrywała irytację.

To było dla mnie nowe doświadczenie. Matka zawsze chciała być blisko mnie, zawsze łaknęła mojego towarzystwa. Tak było przez całe dzieciństwo. W końcu jednak stałam się w tej sprawie tak męcząca, że zapragnęła mnie przekazać komuś innemu. I to w sobotę, ni mniej, ni więcej.

– A kto będzie siedział na kasie? – spytałam i natychmiast pożałowałam. Przestraszyłam się, że jeszcze zmieni decyzję. Trzeba było po prostu powiedzieć „okej”, a nie szukać dziury w całym.

– Sam – odparła mama. – Ten nowy chłopak, któregośmy przyjęli. Wszystko w porządku, zależy mu, żeby mieć więcej godzin.

Sam był uczniem drugiej klasy. Któregoś dnia, choć nie zatrudnialiśmy żadnego personelu, a większość nastolatków wolała pracować w sklepie z płytami CD na tej samej ulicy, wszedł do księgarni i spytał: „Czy mogę złożyć podanie o pracę?” Rodzice przyjęli go od ręki.

Był bardzo przystojny – wysoki, smukły, o oliwkowej cerze i ciemnych oczach, zawsze w dobrym humorze – ale skoro Marie mówiła, że jest „zachwycający”, ja nie byłam w stanie go polubić. Nie mogłam przecież lubić kogoś, kto podobał się jej.

Trzeba jednak przyznać, że ten sposób myślenia znacznie ograniczał pole moich przyjaciół i zaczynał się stawać uciążliwy.

Marie lubiła wszystkich i wszyscy lubili Marie.

Była cudownym dzieckiem, tą z nas, która z góry przeznaczona była do roli rodzicielskiej faworytki. Moja przyjaciółka Olive zawsze mówiła o niej za plecami „córka księgarzy”, bo Marie nawet wyglądała jak dziewczyna, której rodzice mają księgarnię. Tak jakby to był jakiś określony typ fizyczny, a Marie reprezentowała wszystkie jego cechy i nosiła je niczym honorową odznakę.

Czytała dorosłe książki, pisała wiersze, kochała się w bohaterach książek, a nie w aktorach, i wszystko to sprawiało, że obu nam z Olive chciało się rzygać.

Kiedy Marie była w moim wieku, jako przedmiot fakultatywny wybrała sobie twórcze pisanie i postanowiła, że „zostanie pisarką”. Cudzysłów jest niezbędny, bo jedyne, co napisała, to dziewięciostronicowy kryminał, w którym morderczynią okazała się mała siostrzyczka bohaterki, Emily. Przeczytałam go i nawet ja widziałam, że to kompletna bzdura, niemniej zaprezentowała utwór w szkole i tak się spodobał, że publikowano go „w odcinkach” przez dziewięć tygodni letniego semestru.

Co gorsza, przy tym wszystkim potrafiła zarazem być jedną z najpopularniejszych dziewczyn w szkole. Był to jawny dowód, że ładnemu wszystko przychodzi łatwiej.

Ja tymczasem zamiast obowiązkowych lektur czytałam ukradkiem w bibliotece bryki zawierające ich streszczenia. W domu miałam stos książek, które dostawałam w prezencie od rodziców, i nie pofatygowałam się nawet, żeby je przynajmniej otworzyć.

Lubiłam teledyski, wokalistów z czwartkowych programów *Musisz to zobaczyć* na NBC i każdą bez wyjątku piosenkarkę, która występowała na Lilith Fair^[1]. Kiedy mi się nudziło, przerzucałam stare

matki numery „Travel & Leisure”, wycinałam z nich zdjęcia i przyklejałam nad łóżkiem. Całą ścianę miałam wytapetowaną okładkami magazynów z Keanu Reevesem, wkładkami do płyt z albumów Tori Amos i wyrwanymi z czasopism rozkładówkami, na których były krajobrazy włoskiej Riwieri i francuskiej prowincji.

I nikt – powtarzam: nikt – nie uważał mnie, choćby przez pomyłkę, za dziewczynę popularną.

Rodzice żartowali, że pielęgniarka w szpitalu musiała mnie podmienić. Zawsze się z tego śmiałam, ale nieraz przyglądałam się ich zdjęciom z dzieciństwa, a potem sobie w lustrze, szukając podobieństw, aby się upewnić, że jestem ich.

– No to świetnie – powiedziałam, bardziej podekscytowana tym, że nie muszę iść do pracy, niż perspektywą spędzenia czasu z siostrą. – Kiedy wychodzimy?

– Nie wiem – powiedziała mama. – Pogadaj z Marie, ja jadę do księgarni. Zobaczymy się na kolacji. Miłego dnia, kochanie.

Kiedy trzasnęły za nią drzwi, walnęłam się z powrotem do łóżka, zdecydowana wykorzystać każdą dodatkową minutę snu.

Jakoś po jedenastej wtargnęła do mojego pokoju Marie.

– Wstawaj, idziemy.

Byłyśmy w trzech sklepach, gdzie przymierzyłam dwanaście par dżinsów. Jedne były za luźne, inne za obcisłe, jeszcze inne miały za wysoką talię.

Właśnie wciągnęłam na siebie dwunaste i wyszłam z przymierzalni, żeby się pokazać Marie. Była totalnie znudzona.

– W porządku, bierz je – powiedziała. Sama od stóp do głów była ubrana w ciuchy Abercrombie & Fitch. Był przełom wieków i cała Nowa Anglia nosiła wyłącznie Abercrombie & Fitch.

– Ale jakoś dziwnie się układają na tyłku – powiedziałam, stojąc przed nią bez ruchu.

Marie patrzyła na mnie, tak jakby na coś czekała.

– Masz zamiar się w końcu odwrócić, żeby zobaczyć, jak się układają na tyłku?

Odwróciłam się.

– Wygląda, jakbyś nosiła pieluchę – orzekła.

– Przecież mówiłam.

Marie wzniosła oczy do nieba.

– Poczekaj. – Wskazała palcem, że mam wracać do przymierzalni. Wróciłam.

Właśnie ściągnęłam przymierzane dżinsy, gdy przerzuciła mi przez drzwi inne, sprane, o prostych nogawkach.

– Spróbuj te. Joelle je nosi, a ma taki sam wielki tyłek jak ty.

– Wielkie dzięki – powiedziałam z przekąsem.

– Po prostu próbuję ci pomóc – powiedziała, po czym zobaczyłam u dołu drzwi jej oddalające się stopy, tak jakby rozmowa była automatycznie zakończona tylko dlatego, że jej już nie interesuje.

Wzięłam przyniesioną przez nią parę, rozpięłam zamek i włożyłam nogawki. Musiałam maksymalnie wciągnąć brzuch, żeby się zapiąć. Zaczęłam się wyginać przed lustrem w tę i w tę stronę, żeby zobaczyć, jak wyglądam z tyłu.

Moje pośladki z dnia na dzień stawały się coraz bardziej kształne, a piersi jakby przestały rosnąć. Przeczytałam już dostatecznie dużo matczynych „Glamour”, żeby wiedzieć, że nazywa się to „sylwetka o kształcie gruszki”. Brzuch miałam płaski, ale biodra się powiększały. Olive za to miała coraz większe piersi i okrągły brzuch i zastanawiałam się, czy nie lepsza byłaby taka sylwetka. W kształcie jabłka.

Jeśli jednak miałabym być wobec siebie szczerą, to najbardziej atrakcyjne było dla mnie wszystko to, co matka przekazała Marie. Średniej wielkości zadek, średniej wielkości biust, ciemne włosy, zielone oczy, gęste rzęsy.

Ja natomiast odziedziczyłam koloryt po ojcu – włosy ani ciemne, ani jasne, oczy coś pomiędzy brązem

a zielenią – a sylwetkę miałam w pełni własną. Kiedyś spytałam matkę, skąd mi się wzięły te krótkie, solidne nogi, a ona odparła nieuważnie: „a wiesz, nie wiem”, tak jakby nie była to najgorsza rzecz, jaką od niej w życiu usłyszałam.

Jeden tylko szczegół mojego wyglądu lubiłam naprawdę. Piegi, zbiór maleńkich ciemnych punkcików pod prawym okiem. Mama zawsze wiązała je z faktem, że gdy kładła mnie jako niemowlę do łóżeczka, dotykała mnie w tym miejscu palcem.

Uwielbiałam moje piegi i nie cierpiałam mojego tyłka.

I stojąc przed lustrem w przymierzalni, pragnęłam tylko jednego: żeby mój tyłek wyglądał na mniejszy. I chyba w tych dzinsach wyglądał.

Wyszłam z przymierzalni, żeby spytać o zdanie Marie. Niestety, nigdzie jej nie widziałam.

Wróciłam do przymierzalni i zdałam sobie sprawę, że decyzję muszę podjąć sama.

Jeszcze raz obejrzałam się lustrze.

Może i są w porządku?

Spojrzałam na metkę. Trzydzieści pięć baksów.

Nawet po doliczeniu podatku wciąż jeszcze zostawały mi pieniądze na kurczaka teriyaki w części gastronomicznej.

Przebrałam się w stare, poszłam do kasy i podałam rodzicielski banknot. W zamian dostałam torbę z dzinsami, do których nie czułam nienawiści.

Marie wciąż nie było.

Przeszłam się po galerii. Zeszłam do Body Shop – może kupuje pomadkę ochronną do ust albo żel pod prysznic? Wreszcie po upływie pół godziny znalazłam ją w Claire’s, gdzie kupowała kolczyki.

– Szukam cię i szukam – powiedziałam.

– Sorry, oglądałam biżuterię. – Marie odebrała resztę i z wdziękiem wsunęła ją do portmonetki, po czym wzięła plastikową torebkę, w której na pewno była jakaś imitacja złota, która pozostawi jej na uszach szarozielonkawe plamy.

Ruszyła pewnym krokiem do wyjścia, a ja za nią.

– Zaczekaj – powiedziałam. – Chciałam coś zjeść.

Marie obejrzała się. Spojrzała na zegarek.

– Sorry, nie da rady. Spóźnimy się.

– Gdzie?

– Na zawody pływackie.

– Jakie zawody pływackie? – zdziwiłam się. – Nie było mowy o żadnych zawodach.

Marie nie odpowiedziała, bo nie musiała. A ja już szłam w ślad za jej plecami do samochodu, gotowa jechać, gdzie mi każe, gotowa robić, co mi każe.

Dopiero kiedy siedzieliśmy w aucie, raczyła mnie poinformować, o co chodzi.

– Graham jest w tym roku kapitanem drużyny pływackiej.

Ach tak.

Graham Hughes. Kapitan każdego zespołu, w którym uczestniczy. Faworyt w zawodach o Najlepszy Uśmiech w szkolnej kronice. W sam raz para dla Świętej Marie z Acton.

– Super – powiedziałam. Wyglądało na to, że moja najbliższa przyszłość będzie oznaczała nie tylko siedzenie i gapienie się na wyścigi pięćdziesiąt metrów stylem dowolnym, ale także czekanie w samochodzie Marie, gdy pojedą z Grahamem jego autem na randkę.

– Możemy chociaż wpaść po drodze do jakiegoś drive-thru? – spytałam, już pokonana.

– Jasne, czemu nie.

Po czym zebrałam całą odwagę, na jaką było mnie stać, i powiedziałam:

– Ty płacisz.

Marie obejrzała się na mnie ze śmiechem.

– Masz czternaście lat. Nie możesz sobie sama kupić przegryzki?

Zdumiewające, że zawsze umiała sprawić, że nawet pewniejsza siebie niż zwykle, i tak czułam się przy niej jak głupia.

Zatrzymałyśmy się w Burger Kingu, gdzie kupiłam sobie whoppa jr. Zjadłam go na przednim siedzeniu, umazałam sobie ręce ketchupem i musztardą i musiałam czekać, aż zaparkujemy, żeby znaleźć jakąś serwetkę.

Marie zostawiła mnie, gdy zaledwie poczułyśmy w powietrzu woń chloru. Usiadłam więc na trybunach i robiłam, co mogłam, żeby się jakoś rozerwać.

Kryty basen pełen był niemal nagich, wysportowanych chłopaków w moim wieku. Nie wiadomo było, gdzie najpierw patrzeć.

Graham wszedł na słupek startowy i gdy rozległ się gwizdek, śmignął do wody ze swobodą szybującego w powietrzu ptaka. Zaledwie się wynurzył, było jasne, że wygra.

W odległym kącie dostrzegłam Marie: podskakiwała, cała przejęta, z całej siły życząc mu zwycięstwa. Gdy stanął na podium, wstałam i poszłam szukać automatu z przekąskami.

Kiedy wróciłam – biedniejsza o pięćdziesiąt centów, bogatsza o torebkę doritos – zobaczyłam w pierwszych rzędach Olive z matką.

Zeszłego lata, tuż przed rozpoczęciem szkoły, Olive powiedziała mi któregoś dnia, że być może jest lesbijką. Byłyśmy wtedy u niej w piwnicy.

Mówiła, że nie jest pewna. Po prostu ma wrażenie, że nie do końca czuje się hetero. Chłopcy jej się, owszem, podobają. Ale zaczyna się jej wydawać, że być może mogłyby się jej podobać i dziewczyny.

Byłam pewna, że nie wiedział o tym nikt oprócz mnie. I równie pewna byłam, że jej rodzice zaczynają coś podejrzewać. Ale to nie była moja sprawa. Moją sprawą było być jej przyjaciółką i to wszystko.

Więc robiłam to, co zwykle robią przyjaciółki. Siedziałam i godzinami słuchałam z nią teledysków, czekając na *Torn* Natalie Imbruglii, żeby Olive mogła ją zobaczyć. Nie był to akt całkiem bezinteresowny, jako że była to moja ulubiona piosenka i marzyłam, żeby mieć taką fryzurę jak Natalie.

Podobnie jak nie całkiem bezinteresowna była moja gotowość do oglądania co parę tygodni *Titanica*, bo Olive usiłowała ustalić, czy scena seksu pomiędzy Jackiem i Rose podoba się jej dlatego, że czuje pociąg do Leonarda DiCaprio, czy do Kate Winslet.

– Cześć! – powiedziała tego dnia nad basenem, gdy znalazłam się w jej polu widzenia.

– Cześć – odparłam. Olive miała na sobie białą koszulkę na ramiączkach, a na to rozpiętą niebieską koszulkę na guziczki. Z jej nazwiska – Olive Berman – trudno się było domyślić, że jest pół Żydówką, pół Koreanką, ale szczyła się i tym, że rodzina jej matki pochodzi z Korei Południowej, i tym, że miała taką fantastyczną *bat micwę*^[2].

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Marie mnie tu zaciągnęła, a potem zostawiła.

– No tak. – Olive pokiwała głową. – Całkiem w stylu Córki Księgarzy. Przyszła popatrzeć na Grahama? – Skrzywiła się, wymawiając jego imię, a ja doceniłam, że i dla niej Graham jest żaloszny.

– Taak – powiedziałam. – Ale... chwileczkę, a skąd ty się tu wzięłaś?

Jej brat też pływał, ale w zeszłym roku skończył szkołę. Olive próbowała się dostać do drużyny pływackiej dziewczyn, ale się jej nie udało.

– Mój kuzyn Eli startuje w reprezentacji Sudbury.

Mama Olive odwróciła na chwilę wzrok od basenu i spojrzała na mnie.

– Cześć, Emma. Chodź, siadaj z nami. – I wróciła do śledzenia zawodów.

Eli przyplął jako trzeci. Pani Berman, zawiedziona, odruchowo zacisnęła pięści i pokręciła głową. Po chwili spojrzała na nas.

– Pójdę uścisnąć Elega na pocieszenie. Potem możemy wracać, Olive.

Miałam ochotę spytać, czy mogę się z nimi zabrać. Olive mieszkała raptem pięć minut ode mnie. Nasz

dom znajdował się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy ich a wjazdem na autostradę. Ale ciężko mi przychodziło pytać o coś ludzi wprost. Wolałam to załatwić określną drogą.

– Chyba muszę poszukać Marie – powiedziałam. – Spytam ją, czy i my wracamy.

– Możemy cię zabrać – podchwyciła Olive. – Prawda, mamó?

– Oczywiście. – Pani Berman wstała i zaczęła się przeciskać przez zatłoczone trybuny. – Idziecie ze mną pożegnać się z Elim, czy spotkamy się przy samochodzie?

– Przy samochodzie – odparła Olive. – Ale powiedz Elemu „cześć” ode mnie.

Włożyła rękę do mojej torebki z chipsami i poczęstowała się.

– Dobra – powiedziała, kiedy jej matka była poza zasięgiem słuchu. – Widziałas tę dziewczynę po drugiej stronie basenu, jak rozmawiała z tym chłopakiem w czerwonych kąpielówkach Speedo?

– Co?

– No tę, z końskim ogonem. Jak rozmawiała z kimś z drużyny Elego. Słowo daję, to chyba najseksowniejsza dziewczyna na świecie! Co tam na świecie... Jaka kiedykolwiek istniała od początku świata.

Spojrzałam w stronę basenu, szukając dziewczyny z końskim ogonem, ale nie znalazłam.

– Gdzie ona jest?

– O, teraz stoi koło trampoliny. O tam. – Wskazała palcem. – Koło Jessego Lerner.

– Koło kogo? – spytałam, idąc wzrokiem za palcem Olive. Rzeczywiście, koło trampoliny stała ładna dziewczyna uczesana w koński ogon. Ale miałam to w nosie.

Bo obok niej widziałam też wysokiego, szczupłego, muskularnego chłopaka.

Miał głęboko osadzone oczy, wyrazistą twarz, pełne usta. Krótkie ciemne włosy były zmierzwione po ściągnięciu czepka. Jego kąpielówki świadczyły, że chodzi do naszej szkoły.

– Widzisz ją? – spytała Olive.

– Widzę. Owszem, ładna – powiedziałam. – Ale ten chłopak, z którym rozmawia... Mówiłaś, że jak się nazywa?

– Kto? Jesse Lerner?

– No. Kto to jest?

– Jak to, nie wiesz, kto to jest Jesse Lerner?

Odwróciłam głowę i spojrzałam na Olive.

– Nie wiem. Po prostu. Kto to jest?

– Mieszka na tej samej ulicy co Hughesowie, niedaleko.

Znowu spojrzałam na Jessego. Podnosił z ziemi gogle.

– Jest w naszej klasie?

– No.

Olive mówiła dalej, ale już zaczęłam się wyłączać. Patrzyłam, jak Jesse wraca ze swoją drużyną do szatni. Idący obok niego Graham położył mu na chwilę rękę na ramieniu, po czym stanął przed nim w formującej się powoli kolejce. Nie mogłam oderwać od Jessego oczu. Od swobody, z jaką się poruszał, od tego, jak pewnie stawiał przed sobą stopy. Był najmłodszy ze wszystkich w szkolnej reprezentacji, a pomimo to, stojąc przed nimi tylko w skąpych gatkach, najwyraźniej czuł się u siebie.

– Emma – usłyszałam głos Olive – co się tak gapisz?

I właśnie w tej chwili Jesse leciutko odwrócił głowę i na przelotny, zapierający dech moment jego wzrok trafił na mnie. Odruchowo spojrzałam w inną stronę.

– Co mówiłaś? – spytałam, próbując udawać, że interesuje mnie temat rozmowy.

– Mówiłam, że się na niego gapisz.

– Wcale nie.

W tej chwili pojawiła się koło nas pani Berman.

– Miałyście na mnie czekać przy samochodzie – zauważyła.

– Oj, sorry! – Olive zerwała się na równe nogi. – Idziemy.

– Przepraszamy, pani Berman – powiedziałam, ruszając za nimi w stronę wyjścia.

Tuż przed drzwiami zatrzymałam się na chwilę, żeby ostatni raz rzucić okiem na Jessego. Zobaczyłam błysk jego uśmiechu. Był szeroki, radosny, szczery, rozświetlony bielą zębów. Cała jego twarz zajaśniała.

Jak dobrze byłoby, gdyby to do mnie był skierowany ten uśmiech, gdybym to ja była jego przyczyną... I nagle moje świeże oczarowanie Jessem Lernerem urosło w wielki balon, tak potężny, że gdybyśmy się go uchwycili, uniósłby w powietrze nas oboje.

Przez najbliższy tydzień widywałam Jessego na korytarzu niemal codziennie. Teraz, kiedy wiedziałam, jak się nazywa, był wszędzie.

– To się nazywa syndrom Baader-Meinhof – powiedziała Olive, kiedy wspomniałam jej o tym podczas lunchu. – Brat mi właśnie mówił. Nie zauważasz jakiejś rzeczy, a jak się dowiesz, jak to się nazywa, nagle zaczynasz to widzieć wszędzie. – Olive pomyślała chwilę. – Ojejku... Wygląda na to, że mam syndrom Baader-Meinhof na punkcie syndromu Baader-Meinhof.

– A ty też ciągle widzisz Jessego? – spytałam, kompletnie nie łapiąc, o co jej chodzi. Tego dnia przeszłam tuż obok niego, jak wychodził z lekcji hiszpańskiego. Rozmawiał z Carolyn Bean koło jej szafki. Carolyn Bean była kapitanem żeńskiej drużyny futbolowej. Miała blond włosy, zwinięte w koczek z tyłu głowy, i zawsze nosiła elastyczną sportową przepaskę. I nigdy jej nie widziałam bez błyszczyka na ustach. Jeśli Jessemu podobają się dziewczyny w tym typie, to byłam bez szans.

– Nie częściej niż zwykle – powiedziała Olive. – Ale zawsze go widywałam gdzieś w pobliżu. Chodzimy razem na zajęcia z algebry.

– Kolegujesz się z nim? – spytałam.

– Niespecjalnie. Ale to sympatyczny chłopak. Powinnaś po prostu powiedzieć mu „cześć”.

– Chyba zwariowałam – powiedziałam. – Nie mogę tak po prostu powiedzieć mu „cześć”.

– Oczywiście że możesz.

Pokręciłam głową i odwróciłam wzrok.

– Śmieszna jesteś.

– To ty jesteś śmieszna. To chłopak z naszej klasy. A nie Keanu Reeves.

Gdybym mogła tak po prostu zagadać do Jessego Lerner, to nie zależałoby mi na Keanu Reevesie, pomyślałam.

– Nie mogę mu się pierwsza przedstawić, chyba ci odbiło – powiedziałam i ruszyłam z tacą do pojemnika na odpady. Olive za mną.

– Ale to naprawdę miły chłopak.

– Przestań! – zawołałam. – Przez to czuję się jeszcze gorzej.

– Wolisz, żebym powiedziała, że jest okropny?

– Nie wiem! Nie wiem, co wolę.

– Wiesz co, chyba zaczynasz być irytująca czy coś – powiedziała ze zdziwieniem Olive.

– No i dobrze! – ucięłam. – Ojejku... no dobra, chodź, kupię ci paczkę ciastek.

Paczka ciastek za siedemdziesiąt pięć centów wystarczała wtedy za przeprosiny. Ruszyliśmy więc do kontuaru, a ja wsadziłam rękę do kieszeni i wyciągnęłam garść monet.

– Mam tylko równe pięćdziesiąt – powiedziałam po przeliczeniu, stając obok Olive na końcu kolejki. Podniosłam na nią wzrok i zobaczyłam, że oczy jej się zaokrąglały.

– Co jest?

Wskazała oczami przed siebie.

Przed nami stał Jesse Lerner. Miał na sobie ciemne dżinsy i koszulkę z zespołem Smashing Pumpkins, a do tego czarne trampki Converse One Star.

I trzymał za rękę Carolyn Bean.

Olive spojrzała na mnie, próbując ocenić moją reakcję. Ja jednak patrzyłam przed siebie, udając, że mnie to w ogóle nie rusza.

Po czym zobaczyłam, jak Carolyn Bean puszcza rękę Jessego, sięga do kieszeni, wyjmując ochronną pomadkę i nakłada na wargi.

Nie dość, że trzyma go za rękę, to jeszcze do tego miała czelność ją puścić!

Nienawidziłam jej w tej chwili. Nienawidziłam tych jej głupich sportowych ciuchów i przepaski, tego jej cholernego spokoju, z jakim nakładała na usta aromatyzowaną pomadkę dr Peppera.

Jakby tak mnie wziął kiedyś za rękę, to nigdy, nigdy bym jej nie puściła!

– Idziemy stąd – powiedziałam do Olive.

– Dobra. Możemy sobie coś kupić w automacie.

Przygnębiona i chora z miłości, ruszyłam w stronę automatu ze słodyczami koło pomieszczenia dla orkiestry.

Kupiłam dwa snickersy i podałam jeden Olive, a mój zaczęłam zajadłe chrupać, jakbym tylko tak mogła wypełnić pustkę mojego serca.

– Przeszło mi – powiedziałam. – Głupie zadurzenie i tyle. Ale mi przeszło. Naprawdę.

– W porządku. – Olive zaśmiała się lekko.

– Nie, naprawdę. Skończyłam z nim. Słowo.

– Jasne – powiedziała Olive, wydymając usta.

I wtedy usłyszałam za sobą jakiś głos.

– Emma?

Odwróciłam się. Z pomieszczenia dla orkiestry wychodził Sam.

– O, cześć – powiedziałam.

– Nie wiedziałem, że masz teraz przerwę na lunch.

– No, mam. – Skinęłam głową.

Włosy miał trochę potargane. Ubrany był w zieloną koszulkę z napisem „Bom Dia!”

– Zdaje się, że pierwszy raz mamy tę samą zmianę – zauważył. – Znaczą jutro w księgarni.

– A – powiedziałam. – No tak.

We wtorek Marie pożyczyła sobie bez pytania moją płytę z Fioną Apple. Nazwałam ją kompletną kretynką, co usłyszeli rodzice. Za karę miałam pracować w piątek w księgarni. W mojej rodzinie karą za wykroczenie nie był krzyk ani cofnięcie jakiegoś przywileju, tylko dodatkowa praca. Dodatkowe zmiany w księgarni to był sposób moich rodziców, żeby za jednym zamachem udzielić nam nauczki i zyskać darmową siłę roboczą. Przydzielenie mi piątkowego wieczoru oznaczało ponadto, że nie będę mogła wyjść z Olive, a oni będą mogli sobie urządzić wieczorną randkę w kinie.

– Jutro? – rozczarowała się Olive. – Myślałam, że posiedzimy u mnie po szkole...

– Sorry. Zapomniałam, że idę do pracy.

Zadzwoił dzwonek. Dla mnie oznaczało to, że czas iść do gabinetu geograficznego.

– Ojejku, muszę wrócić – spostrzegła się Olive. – Zostawiłam podręcznik w szafce.

Nie zaczęła na mnie, nawet nie zaproponowała, żebym z nią poszła. Nic nie mogło jej przeszkodzić w punktualnym stawieniu się gdziekolwiek.

– Ja też muszę iść – powiedziałam do Sama, który najwyraźniej nigdzie się nie śpieszył. – Mamy sprawdzian z geografii.

– Jasne, nie będę cię zatrzymywać. Chciałem cię tylko zapytać, czy chcesz, żeby cię podwieźć. Jutro. Do sklepu po szkole.

Spojrzełam na niego zmieszana. To znaczy, nie byłam zmieszana tym, że miałabym wsiąść do jakiegoś auta, które zawiezie mnie po lekcjach do pracy. Zaskoczyło mnie, że w ogóle mi to proponuje, że przyszło mu do głowy zaproponować.

– Właśnie dostałem prawo jazdy i odziedziczyłem po bracie jego toyotę camry – powiedział.

Wyglądało na to, że w liceum wszyscy dziedziczą po kimś camry albo corollę. – Więc pomyślałem sobie... – Spojrzał mi w oczy, po czym odwrócił wzrok. – Po prostu nie musiałybyś jechać autobusem, to wszystko.

Co za troskliwość. A przecież ledwie mnie znał.

– Dobra – powiedziałam. – Superpomysł.

– Spotkamy się po szkole na parkingu? – spytał.

– Świetnie. Dzięki. Fajnie, że pomyślałeś.

– Nie ma sprawy – powiedział. – To do jutra.

Kiedy ruszyłam w stronę podwójnych drzwi na końcu korytarza, prowadzących do klasy, przyszło mi do głowy, że może pora zacząć się przyjaźnić, z kim chcę, a nie tak strasznie się starać odrzucać wszystko, co lubi Marie.

Może pora po prostu... być sobą.

Nazajutrz, pomna życzenia rodziców, aby w żadnym wypadku nie nosić w pracy dżinsów, ubrałam się do szkoły w czerwony, ręcznie dziergany sweter i drelichy bez zaszevek. Dziesięć minut po dzwonku zobaczyłam na parkingu Sama: czekał na mnie, oparty o maskę samochodu.

– Cześć – powiedziałam, podchodząc.

– Cześć.

Obszedł samochód i przeszedł na moją stronę, żeby otworzyć mi drzwiczki. Nikt mi dotąd nie otwierał samochodu oprócz ojca, a i tak przeważnie był to żart.

– O. – Zdjęłam plecak i położyłam go na przednim siedzeniu. – Dzięki.

Sam przez chwilę sprawiał wrażenie zdziwionego, tak jakby nie był pewien, za co mu dziękuję.

– Za otwarcie drzwi? Proszę bardzo.

Wsiadłam i umościłam się w fotelu, a Sam obszedł z powrotem auto na stronę kierowcy. Uśmiechnął się do mnie nerwowo i przekręcił kluczyk w stacyjce. I nagle z głośników buchnął jazz.

– Przepraszam – powiedział. – Czasem muszę się rano trochę zdopingować.

Roześmiałam się.

– Spoko.

Ściszył muzykę, ale nie wyłączył. Ciche dźwięki wypełniły wnętrze auta. Sam wrzucił wsteczny bieg, położył rękę na oparciu mojego fotela i przekręciwszy się w moją stronę, powoli wyjechał z parkingu.

W samochodzie był bałagan. Papiery pod nogami, opakowania po gumie i kostki gitarowe na desce rozdzielczej. Obejrzałam się na tylne siedzenie: leżała tam gitara, akordeon i dwa czarne futerały na instrumenty.

Odwróciłam się z powrotem do przodu.

– Kto to? – spytałam, wskazując głośnik.

Sam obserwował nieprzerwany strumień samochodów po lewej stronie, czekając na swoją szansę, by skrócić na drogę.

– Mingus – powiedział, nie patrząc na mnie.

Pojawiła się mała przerwa, szansa na włączenie się w ruch. Sam ruszył, szybko skręcił i zręcznie włączył się w równy strumień aut.

– Charles Mingus – dodał wyjaśniająco, znowu zwracając głowę w moją stronę. – Lubisz jazz?

– Właściwie nie słucham jazzu – powiedziałam. – Więc nie wiem.

– Aha, w porządku. – Podkręcił głośność. – Posłuchamy i będziesz wiedziała.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową. Jedyne problem polegał na tym, że już po trzech sekundach byłam pewna, że Charles Mingus jest nie dla mnie i nie wiedziałam, jak w uprzejmy sposób poprosić, żeby go ściszył. Więc nie poprosiłam.

Kiedy pojawiliśmy się w drzwiach, ojciec był na kasie. Na mój widok się rozjaśnił.

– Cześć, kochanie! – Po czym na chwilę przeniósł wzrok na Sama. – Witaj, Sam.

– Cześć, tato. – Nie podobało mi się, że ojciec mówi do mnie „kochanie” przy ludziach ze szkoły. Ale jęczenie na ten temat tylko pogorszyłoby sprawę, więc dałam spokój.

Sam ruszył prosto na zaplecze.

– Pójdę tylko na chwilę do łazienki, panie Blair, i zaraz pana zastąpię.

Tato podniósł kciuk w górę, po czym zwrócił się do mnie.

– Opowiedz mi, jak ci minął dzień – powiedział, gdy kładłam plecak pod kasą. – Zaczynj od samego początku.

Rozejrzałam się po sklepie. Jedyнным klientem był starszy mężczyzna, czytający jakąś wojskową biografię. Udawał, że ją tylko przegląda, ale widziałam, że jest zatopiony w lekturze. Niemal oczekiwałam, że poślini palec, żeby przewrócić stronę, albo zagnie róg, żeby zaznaczyć ulubiony fragment.

– Zdaje się, że miałeś zabrać mamę na randkę? – zauważyłam.

– Uważasz, że jestem aż taki stary? – Tato spojrział na zegarek. – Nie ma jeszcze nawet czwartej.

Myślisz, że zabiorę twoją matkę na wczesną kolację dla starsuszków?^[3]

– A ja wiem. – Wzruszyłam ramionami. – To wy kazaliście mi przyjść dzisiaj do pracy, żebyście mogli pójść do kina.

– Kazaliśmy ci przyjść do pracy, bo byłaś niegrzeczna wobec siostry. – Tato powiedział to rzeczowo, bez śladu nagany w głosie. Rodzice nie chowali zbyt długo urazy. Ich gniew z reguły był przelotny. Tak jakby wymierzając karę, stosowali się do zasad ustanowionych przez kogoś innego. „Zrobiłaś to, więc my musimy zrobić tamto. Zróbmy, co do nas należy, i miejmy to z głowy”.

Zmieniło się to parę lat później, kiedy zadzwoniłam do nich w środku nocy i poprosiłam, żeby mnie zabrali z posterunku policji. Nagle się okazało, że nie jest to już błahostka. Nagle się okazało, że naprawdę ich zawiodłam. Ale wtedy, wcześniej, dyscyplina była nieomal rodzajem gry.

– Wiem, że zanadto się z Marie nie kochacie – powiedział tato, porządkując stosik zakładek do książek, leżący obok kasy. Kiedy otwarto księgarnię, jakoś tak w latach sześćdziesiątych, zamówił te megatandetne zakładki mój wujeczny dziadek. Widniała na nich kula ziemska i okrążający ją samolot, a napis głosił: „Czytając książki, zwiedzasz świat”. Ojcu tak się podobały, że nie chciał ich zastąpić jakimiś bardziej nowoczesnymi. Co jakiś czas drukował na nowo dokładnie takie same.

Ilekcio brałam którąś do ręki, uderzało mnie, że tak idealnie symbolizują to, czego nienawidzę w tej księgarni.

Zamierzałam zwiedzić świat naprawdę, a nie za pośrednictwem książek.

– Ale pewnego dnia, szybciej niż myślisz – ciągnął tato – obie zrozumiecie, jak bardzo jesteście sobie potrzebne.

Dorośli uwielbiają mówić młodzieży, że „któregoś dnia”, „prędzej czy później” wydarzy się mnóstwo rzeczy. Wszystko ich zdaniem przydarza się, „zanim się człowiek obejrzy”, a już szczególnie kochają wzdychać: „Jak ten czas leci”.

Później miałam się przekonać, że niemal wszystko, co mówili na ten temat rodzice, okazało się prawdą. Liceum rzeczywiście przeleciało nie wiadomo kiedy. „Prędzej czy później” zmieniłam zdanie na temat Keanu Reevesa. „Zanim się obejrzałam”, już mi stuknęła trzydziestka. I dokładnie tak, jak przepowiedział ojciec tamtego popołudnia, „któregoś dnia” miałam się przekonać, jak bardzo potrzebna mi jest siostra.

Wtedy jednak wzruszyłam ramionami, dokładnie tak jak wzruszają wszystkie nastolatki na wszystko, co w danej chwili mówią rodzice.

– Nigdy nie będziemy z Marie przyjaciółkami. Nigdy. Lepiej odpuśćcie sobie ten temat.

Ojciec wysłuchał mnie, kiwając głową, po czym odwrócił wzrok i zabrał się do układania kolejnego stosiku zakładek. Po chwili znowu spojrział na mnie.

– Zrozumiano – powiedział, jak zawsze, gdy komunikował, że nie chce więcej mówić o danej sprawie.

Sam wyłonił się z zaplecza i dołączył do nas przy kasach. Klient czytający książkę podszedł z nią do kontuaru i poprosił, żeby ją dla niego zatrzymać. Niewątpliwie po to, żeby mógł wrócić i czytać ten sam egzemplarz, tak jakby stanowił jego własność. Ojciec zachowywał się tak, jakby była to dla niego najwyższa przyjemność. Ojciec zawsze był czarujący wobec obcych.

Zaledwie mężczyzna wyszedł, z kantorka na zapleczu wyszła mama. Niestety, ojciec jej nie widział.

– Muszę powiedzieć twojej matce, że pora iść – powiedział. Próbowałam go powstrzymać, on jednak odwrócił lekko głowę i wrzasnął: – Ashley, Emma i Sam już są!

– Jezu Chryste, Colin. – Mama zatkała sobie uszy dłońmi. – Jestem tutaj.

– O, przepraszam. – Zrobił skruszoną minę, po czym delikatnie dotknął jej ucha. Właśnie takie gesty, małe akty intymności pomiędzy nimi, kazały mi myśleć, że moi rodzice nadal uprawiają seks. Ta myśl była dla mnie zarówno obrzydliwa, jak i kojąca.

Rodzice Olive zawsze wydawali się na granicy rozvodu. Parę lat wcześniej przyjaciółka Marie, Debbie, praktycznie mieszkała u nas przez dwa miesiące, kiedy jej rodzice załatwiali separację. Byłam więc dość mądra, by wiedzieć, że mam szczęście, że moi rodzice nadal się kochają.

– W porządku, skoro są oboje, to możemy iść – powiedziała mama i wróciła na zaplecze po rzeczy.

– Zdawało mi się, że zamierzacie wyjść na tę randkę później? – zwróciłam się do ojca.

– Tak, ale po co mamy się tu kręcić, skoro nasza córka wszystkim się zajmie? Jak się pośpieszymy, zdążymy jeszcze do domu na dyskokimę.

– Co to jest dyskokima? – spytał Sam.

– To jest skok na desce po japońsku – skojarzyło mi się.

Sam się roześmiał. Nigdy właściwie nie potrafiłam nikogo rozśmieszyć. Nie byłam dowcipna, jak na przykład Olive. Ale teraz, przy Samie, nagle mi się wydało, że może i ja bym potrafiła.

– Dyskokima, drogi Samuelu, to drzemka, którą sobie uczyniasz przed pójściem na dyskotekę. Wiesz, w latach siedemdziesiątych...

Odeszłam na bok, z góry znudzona, i zaczęłam na nowo układać pozycje na stoisku z bestsellerami pod oknem. Marie lubiła podkładać tam cichcem swoje ulubione książki, żeby zwiększyć szanse najbardziej przez nią wielbionych autorów. Mnie interesowało tylko to, żeby książki były porządnie ułożone. Nie lubiłam bałaganu po kątach.

Ożywiłam się dopiero, gdy usłyszałam, jak Sam reaguje na opowieść ojca o tym, jak zwyciężył na konkursie dyskotekowym w Bostonie.

– Przepraszam, że to mówię, ale nie jest to specjalnie ciekawa historia – powiedział ze śmiechem.

Poderwałam głowę i spojrzałam z respektem na Sama. Zaimponował mi.

Tato zaśmiał się i pokręcił głową.

– Kiedy ja byłem w waszym wieku i ktoś dorosły opowiedział jakąś nudną historię, to wiecie, co robiłem?

– Zapamiętywałeś ją, żeby potem nudzić nią nas? – wtrąciłam.

Sam znowu się roześmiał. Ojciec, choć usiłował udawać, że jest dotknięty, też ryknął śmiechem.

– Dobra, zapomnijcie o tym. Zostajecie tu i pracujecie, a ja wychodzę się zabawić.

Wymieniliśmy z Samem spojrzenie.

– Aha! No i komu teraz bardziej do śmiechu? – odgryzł się tato.

Mama przyniosła swoje manatki i po paru minutach rodzice byli już za drzwiami, w drodze do swojej dyskokimy. Przez chwilę byłam zdumiona, że pozostawili księgarnię na głowie mojej i Sama. Dwoje młodziaków poniżej siedemnastki odpowiada za sklep przez cały wieczór? Nagle poczułam się dorosłe. Tak jakby można było mi powierzyć naprawdę dorosłe obowiązki.

Po czym na parking podjechała Margaret, ich zastępczyni, i zdałam sobie sprawę, że rodzice obsadzili ją w roli nadzorcy.

– Będę na zapleczu układać grafik na następny tydzień – powiedziała zaraz po wejściu. – Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, zwołajcie mnie.

Spojrzałam na Sama. Stał przy kasie, wsparty łokciami o kontuar.

Podeszłam do działu biografii i też zaczęłam go porządkować. W księgarni panowała martwa cisza. Wydawało się niemal głupie, żeby dwoje ludzi było w sklepie i jedna na zapleczu. Ale wiedziałam, że

Jestem tu w ramach kary, a Sam dlatego, że rodzice chcieli, żeby miał więcej przepracowanych godzin.

Zdecydowałam, że skoro nikogo nie ma, usiądę na podłodze i pooglądam książki podróżnicze wydawnictwa Fodor's.

– To co myślisz o Charlesie Mingusie? – usłyszałam głos Sama. Podniosłam oczy i z zaskoczeniem stwierdziłam, że zostawił kasę i jest teraz w pobliżu. Układał na nowo czasopisma.

– Och, no wiesz... – powiedziałam. – Jest spoko.

Sam się roześmiał.

– Ty kłamczucho. Nie cierpisz go.

Odwrociłam się i spojrzałam na niego z zakłopotaniem.

– Sorry. Fakt. Nie cierpię.

Sam pokręcił głową.

– Nie ma sprawy. To teraz już wiesz.

– No, jeśli ktoś mnie spyta, czy lubię jazz, powiem, że nie.

– Ale wiesz, możesz jeszcze polubić jazz – podsunął Sam. – To, że nie lubisz Mingusa, nie znaczy... – urwał, widząc wyraz mojej twarzy. – Jesteś już gotowa skreślić cały jazz?

– Może – powiedziałam zakłopotana. – Myślę, że jazz to nie moja bajka.

Złapał się za pierś, jakbym dźgnęła go nożem w serce.

– Ojejku, daj spokój – powiedziałam. – Na pewno jest mnóstwo rzeczy, które ja uwielbiam, a ty nie ich nie cierpisz.

– Sprawdź mnie – zaproponował.

– *Romeo i Julia* – powiedziałam z przekonaniem. W szkole była to zdecydowanie linia podziału między dziewczynami a chłopakami.

Sam znowu patrzył na leżące przed nim czasopisma.

– Sztuka? – spytał.

– Film! – poprawiłam go.

Pokręcił głową, jakby nie wiedział, o czym mówię.

– Nie oglądałeś *Romea i Julii* z Leonardo DiCaprio? – Wiedziałam, że są inne filmowe wersje *Romea i Julii*, ale wtedy był tylko jeden Romeo: Leo. I tylko jedna Julia – Claire Danes.

– Właściwie to nie oglądam zbyt wielu filmów – powiedział Sam.

Weszła matka z synkiem i skierowali się wprost do działu dziecięcego w głębi.

– Czy mają państwo *Aksamitnego królika*? – spytała matka.

Sam skinął głową i ruszył z nią w odległy kraniec sklepu.

Przeszłam do kasy. Kiedy wrócili, podliczyłam ich i dodałam do zakupu zieloną plastikową torbę i zakładkę z napisem „Czytając książki, zwiedzasz świat”.

Kiedy wyszli, przeniosłam uwagę na Sama. Stał z boku, oparty o stół.

– To co w takim razie lubisz robić? – spytałam. – To znaczy, skoro niespecjalnie lubisz kino.

Sam się zastanowił.

– No wiesz, mam dużo nauki. A poza tym pracuję tutaj, gram w marszowej orkiestrze dętej, zwykłej orkiestrze, zespole jazzowym... tak że nie zostaje mi za wiele czasu.

Patrzyłam na niego. Myślałam coraz mniej o tym, że Marie uważa, że jest niezły, a coraz więcej o tym, że ja tak uważam.

– Mogę cię o coś zapytać? – spytałam. Zostawiłam książki i podeszłam do niego.

– Chyba na tym polega rozmowa, więc oczywiście – odparł z uśmiechem.

Roześmiałam się.

– Dlaczego tu pracujesz?

– Co masz na myśli?

– No skoro jesteś taki zajęty, to czemu tak dużo czasu przeznaczasz na pracę w księgarni?

– Aha. – Sam znowu pomyślał. – No wiesz, muszę sobie kupić ubezpieczenie samochodu, no i chciałbym mieć komórkę, a moi rodzice powiedzieli, że nie ma sprawy, o ile sam będę za nią płacił.

To rozumiałam. Niemal wszyscy gdzieś pracowali po szkole, oprócz tych, którym udało się latem załapać na posadę ratownika i zarobili tyle, że starczało im na cały rok.

– Ale dlaczego tutaj? Mógłbyś pracować w tym sklepie z CD trochę dalej. Albo w sklepie muzycznym na Main Street.

Pomyślał.

– Nie wiem. Myślałem o tym, żeby się zgłosić i tam. Ale... po prostu wolałem pracować w jakimś miejscu, które nie ma nic wspólnego z muzyką.

– To znaczy?

– To znaczy, że gram na sześciu instrumentach. Muszę bez przerwy ćwiczyć. Co najmniej godzinę każdego dnia gram na pianinie. Więc miło jest... no wiesz... mieć przynajmniej jedną rzecz, gdzie nie chodzi o akordy durowe i molowe, i rodzaje tempa, i... – Przez chwilę wyglądał na zatopionego we własnym świecie, ale zaraz wypłynął. – Po prostu czasem mam ochotę zrobić coś całkiem innego.

Nie umiałam sobie wyobrazić, jak to jest być kimś takim jak on, mieć zajęcie, którym człowiek tak się pasjonuje, że od czasu do czasu musi się od niego oderwać. Ja nie miałam żadnej szczególnej pasji. Wiedziałam tylko, że to nie jest pasja nikogo z mojej rodziny. Że to nie książki.

– Jakie instrumenty? – spytałam.

– Hm?

– Co to za sześć instrumentów, na których grasz?

– A.

W drzwiach pojawiły się trzy dziewczyny ze szkoły. Nie znałam ich z imienia, ale widywałam je na korytarzu. Z ostatniej klasy, byłam pewna. Śmiały się i żartowały między sobą, nie zwracając uwagi na Sama ani na mnie. Najwyższa ruszyła do działu nowości, a dwie pozostałe zatrzymały się przy koszu z okazjami i ze śmiechem zaczęły wybierać książki i wymieniać uwagi na ich temat.

– Pianino – powiedział Sam. – To mój pierwszy instrument. Zacząłem grać w drugiej klasie. A poza tym, popatrzmy... – Wyciągnął kciuk i zaczął liczyć, odginając kolejno palce. – Gitara, elektryczna i akustyczna, ale liczę ją jako jeden instrument... a, i jeszcze basowa, też elektryczna i akustyczna, ale to też moim zdaniem liczy się jako jeden, nawet jeśli są kompletnie inne.

– Czyli pięć jak dotąd, ale mówisz, że tak naprawdę tylko trzy.

Sam się roześmiał.

– No. I jeszcze troszkę gram na perkusji. W tym jestem najsłabszy. Po prostu się nią bawię, ale jest coraz lepiej. A poza tym trąbka i puzon. Ostatnio kupiłem sobie też harmonijkę ustną, żeby zobaczyć, jak prędko ją opanuję. Na razie idzie mi nieźle.

– No więc siedem – powiedziałam.

– Tak, ale uważam, że harmonijka się nie liczy, przynajmniej na razie.

W tej chwili pożałowałam, że w drugiej klasie rodzice nie zachęcili mnie, żebym sobie wybrała jakiś instrument. Teraz wydawało się za późno. Oto jak łatwo mówimy sobie, że na coś za późno... Zaczęłam to robić, mając czternaście lat.

– To tak jak z językami? – spytałam. – Olive od małego mówi po angielsku i po koreańsku i mówi, że nie ma żadnego problemu z przełączeniem się na ten albo na ten.

Sam się zastanowił.

– Tak, na pewno. Ja od małego umiem trochę po portugalsku i teraz na hiszpańskim intuicyjnie łapię niektóre słowa. Tak samo jeśli grasz na gitarze klasycznej, a potem uczysz się na basowej. To się częściowo pokrywa, z pewnością.

– Dlaczego mówisz po portugalsku? – spytałam. – To znaczy, czy twoi rodzice pochodzą z Portugalii?

– Mama jest Brazylijką w drugim pokoleniu. Ale nigdy nie mówiłem biegle czy coś. Po prostu znam

trochę słów.

Wysoka dziewczyna ruszyła do kasy, więc odłożyłam trzymaną w ręce książkę i również podeszłam.

Kupowała powieść Danielle Steel. Kiedy wybijałam cenę, powiedziała: „To dla mojej mamy, na urodziny”, tak jakbym ją oceniała. Ale nie oceniałam. Za bardzo się przejmowałam, że wszyscy oceniają mnie.

– Na pewno jej się spodoba – powiedziałam. Podałam jej kwotę, a ona wyjęła kartę kredytową.

Lindsay Bean.

Z miejsca podobieństwo stało się oczywiste. Była starszą i szczuplejszą wersją Carolyn. Włożyłam jej książkę do torebki i podałam. Sam spojrział na mnie i wskazał zakładki.

– Oj, chwileczkę – powiedziałam. – Jeszcze zakładka. – Wzięłam jedną i wrzuciłam jej do torebki.

– Dzięki – powiedziała Lindsay. Ciekawe, czy dogaduje się z Carolyn, jak układa się siostrzom Bean? Może się kochają, lubią być razem, lubią spędzać razem czas? Może jak Lindsay kupuje z Carolyn dzinsy w galerii, to nie zostawia jej samej?

Wiedziałam, że to głupio zakładać, że Carolyn ma lepsze życie niż ja, tylko dlatego, że wczoraj, kiedy stałam w kolejce po paczkę ciastek, trzymała za rękę Jessego Lenera. Ale zarazem wiedziałam, że właśnie dlatego, że trzymała Jessego za rękę, kiedy stałam w kolejce po paczkę ciastek, naprawdę ma lepsze życie niż ja.

Słońce zaczęło już tymczasem zachodzić. Włączono światła samochodów. W godzinach wieczornych długie światła SUV-ów często świeciły prosto w szybę wystawową.

To właśnie się zdarzyło, gdy Lindsay z koleżankami szły do wyjścia. Podjechał wielki SUV w kolorze szampana i zaparkował tuż przed księgarnią, kierując światła prosto na mnie. Kiedy kierowca wyłączył silnik, zobaczyłam, kto to jest.

Na miejscu pasażera siedział Jesse Lerner, a za kierownicą jakiś mężczyzna, najwyraźniej jego ojciec.

Tylne drzwi się otworzyły i z samochodu wysiadła Carolyn Bean.

Jesse wysiadł i przytulił Carolyn na pożegnanie, po czym Carolyn wskoczyła do auta siostry wraz z dwiema jej koleżankami.

Gdy Jesse wsiadał z powrotem do samochodu ojca, przez chwilę zerknął na księgarnię. Nie wiem, czy mnie zobaczył. Na pewno nie patrzył naprawdę, tak jak ja.

Ale ja nie mogłam oderwać od niego oczu. Patrzyłam na jego sylwetkę za szybą, nawet gdy Carolyn i Lindsay już odjechały, nawet gdy ojciec Jessego znowu włączył światła i skręcając na trzy, wyjechał z parkingu.

Kiedy wróciłam do przerwanych czynności, trochę bolało mnie serce. Tak jakby Jesse Lerner był przeznaczony dla mnie, a ja chcąc nie chcąc, musiałam być świadkiem sceny, która stanowiła kwintesencję tego, jakie to wszystko potwornie niesprawiedliwe.

Zawadziłam ręką o stosik zakładek. Rozsypały się po kontuarze. Pozbierałam je i ułożyłam od nowa.

– No więc pomyślałam sobie... – powiedział Sam.

– Tak?

– Że jakbyś miała ochotę, to może poszlibyśmy kiedyś do kina?

Odwróciłam się i spojrzałam na niego zdziwiona.

Za dużo było jak dla mnie wrażeń w tym momencie. Jesse z Carolyn, światła w oczy i to, że jakiś chłopak, być może, zaprasza mnie na prawdziwą randkę.

Powinnam była powiedzieć: „Jasne”. Albo: „Spoko”. Zamiast tego powiedziałam:

– O. Hm...

I nic poza tym.

– Nie ma sprawy – pośpieszył Sam, najwyraźniej chcąc jak najszybciej zakończyć tę niezręczność. – Rozumiem.

I w ten sposób odesłałam Sama Kempera w strefę przyjaźni.

Dwa i pół roku później Sam zdał maturę.

W drugiej klasie wiele razy próbowałam go skłonić, żeby zaprosił mnie na randkę jeszcze raz. Wyglądałam się, że nie mam co robić w niedzielę wieczorem, mgliście sugerowałam, że powinniśmy się widywać także poza księgarnią, ale nie łapał tego, a ja za wielkim byłam cykorem, żeby spytać go wprost. Więc dałam sobie spokój.

Od tej pory staliśmy się z Samem bliskimi przyjaciółmi.

Poszliśmy więc z mamą i ojcem, żeby dać mu wsparcie, kiedy siedział przed szkołą w palącym słońcu w bircie i todze.

Marie nie wróciła jeszcze na lato z Uniwersytetu New Hampshire. Była na ostatnim roku anglistyki, a w wolnym od zajęć czasie proponowała swoje opowiadania magazynom literackim. Nie zamieścili jej jeszcze ani jednego, ale wszyscy byli pewnie, że już niedługo. Graham wyjechał z nią na UNH, ale po dwóch miesiącach z nim zerwała. Teraz spotykała się z chłopakiem imieniem Mike, którego rodzice byli właścicielami sieci sklepów z artykułami sportowymi. Marie często żartowała, że jeśli się pobiorą, to doprowadzą do fuzji obu interesów. „Rozumiesz? Będziemy sprzedawać książki i artykuły sportowe w jednym sklepie” – wyjaśniała.

Jak powiedziałam do Olive, Marie bez przerwy mówiła takie rzeczy, że kiedy to słyszałam, gotowa byłam zwrócić lunch. Ale nie wyglądało, żeby ktoś poza mną miał przy niej ochotę wymiotować, więc na lato rodzice mieli ją zatrudnić jako swoją zastępczynię.

Margaret właśnie niedawno odeszła i Marie zależało na tej pracy. Zaskoczona byłam, że mama niespecjalnie miała ochotę się zgodzić. „Dopóki studiuje, powinna cieszyć się życiem” – mówiła. „Zanim tu wróci i przejmie wszystkie obowiązki”.

Ale ojciec był tak podekscytowany tą perspektywą, że nawet ja trochę zmięklam. Przygotował jej wizytówkę zastępczyni, choć nikt z nas nie nosił wizytówek. I powiedział do mamy, że nie ma dla niego większego szczęścia, niż spędzić lato w księgarni z obiema córkami.

Uśmiech na jego twarzy i błysk w oku sprawiły, że obiecałam sobie, że będę miłsza dla Marie. Ale jak dotąd nie przyjechała i nie byłam już pewna, czy mi się uda.

Niespecjalnie czekałam na to lato w księgarni. Sam przed miesiącem złożył wypowiedzenie i miał już za sobą ostatni dzień w pracy. Nie zostawał w mieście, wyjeżdżał na parę tygodni do Bostonu, gdzie miał odbyć staż w gabinecie muzykoterapii. A jesienią zaczynał studia na Uniwersytecie Muzycznym Berklee w Bostonie.

Był to jego pierwszy wybór i kiedy się dostał, uścisnęłam go i pogratulowałam mu. Po czym szybko zaczęłam z niego drwić, że będzie studiował tak blisko domu. Ale nie były to wyłącznie żarty. Naprawdę nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego jego pierwszy wybór wiązał się z pozostaniem w tej części kraju, gdzie przeżył całe dotychczasowe życie. Ja myślałam o Uniwersytecie Los Angeles. Dostałam mejlem ich broszurkę i podobała mi się myśl, żeby studiować w krainie wiecznego słońca.

Kiedy tego popołudnia na odpowiednio zaaranżowanym szkolnym boisku wywołano nazwisko Sama, rodzice akurat się spierali, czy przerobić tylne podwórko, czy nie. Musiałam szturchnąć ojca łokciem.

– Ludzie – przywołałam ich do porządku. – Teraz Sam.

– Samuel Marcos Kemper – ogłosił dyrektor.

Cała nasza trójka wstała i na stojąco wiwatowała na jego cześć, wraz z jego rodzicami, którzy siedzieli po drugiej stronie.

Kiedy Sam usiadł, nasze oczy na moment się spotkały i zobaczyłam, że na twarzy wykwitła mu szeroki uśmiech.

Cztery godziny później stałyśmy z Olive w kuchni u Billy'ego Yena i nalewałyśmy sobie do czerwonych jednorazowych kubków pospolicie wyglądające piwo z zimnej jak lód beczki z nierdzewnej stali.

Miałam prawie siedemnaście lat. Całowałam się jak dotąd z dwoma chłopakami i przez miesiąc spotykałam się z Robbym Timerem, i w tym czasie pozwoliłam mu na różne zaawansowane pieszczołki. Można śmiało powiedzieć, że tylko czekałam na właściwy moment, żeby się pozbyć dziewictwa, i miałam nadzieję, że ten moment nadejdzie raczej prędzej niż później.

Olive natomiast ujawniła wobec rodziców, że jest biseksualna, po czym namieszała im w głowach, bo zaczęła się spotykać z Mattem Jenningsem. Cierpliwie wyjaśniała im, że biseksualny nie znaczy gej, znaczy po prostu biseksualny. A kiedy się wydawało, że rozumieją, namieszała im w głowach po raz kolejny: zerwała z Mattem i zaczęła się spotykać z dziewczyną z drogerii CVS, gdzie pracowała po szkole. Rozumieli homo, rozumieli hetero, ale nie rozumieli Olive.

– Widziałas, kto tu jest? – spytała Olive. Upiła łyk piwa i skrzywiła się. – Właściwie smakuje jak woda.

– Kto? – spytałam i pociągnęłam z mojego kubka. Miała rację, rzeczywiście było wodniste. Ale ja lubiłam wodniste piwo. Smakowało trochę mniej jak piwo.

– Jesse – powiedziała z naciskiem.

– Jest tutaj?

Skinęła głową.

– Widziałam go wcześniej koło basenu.

Kiedy usłyszałyśmy z Olive o tej imprezie, nie wiedziałyśmy, że jest tam basen i że ludzie przyjdą w kostiumach bikini i kąpielówkach, i będą się wrzucać nawzajem do wody i grać w cykora. Ale nawet gdybyśmy wiedziały, i tak byśmy przyszły i nie włożyłybyśmy i tak kostiumów kąpielowych.

Popijałam po trochu swoje piwo, po czym zdecydowałam się wychylić je duszkiem. I znowu sobie nalałam.

– Dobra – powiedziałam. – To chodź, przejdziemy się, zobaczymy, czy się na niego natkniemy.

Jesse i Carolyn zerwali w tym roku, jakoś tak w okolicy ferii wiosennych. Nie było takim znowu szaleństwem pomyśleć, że Jesse może zwrócić na mnie uwagę.

Tyle że to było szaleństwo. Kompletny absurd.

Był teraz kapitanem drużyny pływackiej i pod jego przywództwem nasza szkoła prowadziła przez trzy sezony. W lokalnej gazecie była wzmianka o nim, zatytułowana: „*Cudowne dziecko pływania, Jesse Lerner, pobił stanowy rekord na 500 metrów stylem dowolnym*”. Był nie z mojej ligi.

Wzięłyśmy z Olive kubki i wyszłyśmy na dwór, dołączając do chaosu panującego na podwórku i nad basenem. Na wyłożonym drewnem tarasie jakieś dziewczyny paliły, śmiejąc się, goździkowe papierosy, wszystkie w koszulkach na cienutkich ramiączkach i dżinsach biodrówkach. Zła byłam, że mam na sobie identyczne ciuchy.

Byłam w czarnej koszulce bez rękawów i dżinsach dzwonach, które kończyły się pięć centymetrów poniżej pępka. Między koszulką a dżinsami była przerwa, ukazująca kawałek brzucha. Olive włożyła spodnie w panterkę i fioletowy podkoszulek z dekoltem w serek, też odsłaniający brzuch. Kiedy teraz patrzę na nasze zdjęcia, zastanawiam się, co nas opętało, że wyszłyśmy z domu z pępkiem na wierzchu.

– Wyglądasz ekstra, swoją drogą – powiedziała Olive. – Możliwe, że jesteś teraz w swojej najseksowniejszej fazie.

– Dzięki – powiedziałam. Przypuszczałam, że ma na myśli moje długie ciemnoblonde włosy, które

nosiłam z przedziałkiem pośrodku. Ale podejrzewałam też, że ma to coś wspólnego z faktem, że zaczynałam się dobrze czuć we własnym ciele. Bardziej podobał mi się mój tyłek, mniej krępowałam się piersi. Prościej się trzymałam. Zaczęłam używać ciemnobrązowego tuszu do rzęs i rózu. Jak wszystkie dziewczyny w szkole, uzależniłam się od błyszczyka do ust. Daleko mi było do łabędzia, ale nie czułam się już brzydkim kaczątkiem. Byłam gdzieś pomiędzy i myślę, że moja rosnąca pewność siebie zaczynała być widoczna.

Olive pomachała sobie ręką przed twarzą, bo napłynęła fala goździkowego dymu.

– Czemu dziewczyny myślą, że jak dym ma troszkę korzenny zapach, to mam go większą ochotę wachać niż normalny? – Ruszyła szybciej w stronę basenu, żeby zostawić dym za sobą.

Dopiero kiedy poczułam pod stopami betonowe obramowanie basenu, zdałam sobie sprawę, kto się właśnie szykuje do skoku.

Na trampolinie, w mokrych biało-czerwonych spodenkach, przylegających do ud, z palcami idealnie na krawędzi deski stał... Sam.

Włosy miał mokre i przyklejone do czaszki. Tors był nagi, umięśniony, pokryty lekkim zarostem. A poniżej widniał... sześciopak.

Sam miał sześciopak!

Co?

Patrzyłyśmy z Olive, jak ugina nogi, szykując się do skoku. I już był w powietrzu.

Wylądował ze znajomym plaśnięciem, jakie towarzyszy uderzeniu brzuchem o wodę.

Ktoś krzyknął: „Ojjjjj, ziomal! Ale to musi boleć!” I zaraz na powierzchni ukazała się roześmiana twarz Sama. Wytrząsnął sobie wodę z ucha i zobaczył mnie.

Uśmiechnął się i zaczął płynąć do krawędzi, a tuż za nim skoczył drugi chłopak.

Nagle poczułam zdenerwowanie. Jeśli Sam wynurzy się z wody, mokry i półnagi, to co bym chciała, żeby się stało?

– Jeszcze jedno piwo? – spytała Olive, pokazując mi pusty kubek.

Pokiwałam głową, licząc, że pójdzie i przyniesie. Ona jednak powiedziała:

– Bądź miła. – I podała mi swój kubek.

Roześmiałam się.

– Aleś ty irytująca.

– Wiem – powiedziała z uśmiechem.

Podeszłam do stojącej na zewnątrz beczki i zdążyłam utoczyć piwa do jednego kubka, gdy dał się słyszeć charakterystyczny bełkot i ssanie.

– Ożeż, człowieku! – usłyszałam za sobą.

Odwróciłam się.

Piętnaście centymetrów za mną stał Jesse Lerner, w koszulce, dzinsach i skórzanych sandałach. Jego uśmiech był pewny siebie, ale i lekko nieśmiały, tak jakby wiedział, że jest przystojny i trochę go to peszyło.

– Wysączyłaś beczkę do ostatniej kropli.

Był to pierwszy raz, kiedy Jesse powiedział do mnie pełne zdanie, kiedy usłyszałam z jego ust podmiot, a potem orzeczenie, przeznaczone dla moich uszu.

Jedynie, co było w tym dziwne, to że wcale nie było to dziwne. W jednej chwili z kogoś, kogo widywałam z daleka, Jesse stał się chłopakiem, z którym, zdawało się, rozmawiałam przez całe życie. Nie zatkało mnie, choć zawsze mi się wydawało, że mnie zatka. Nie byłam nawet spięta. To tak, jakby całymi latami trenować do biegu i w końcu go rozpocząć.

– Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi – zadrwiłam.

– Zasada jest taka, że jeśli bierzesz ostatnie piwo, to musisz je wypić duszkiem – powiedział.

I wtedy z tłumu wytrysnęło słowo, którego nie chce słyszeć żaden nastolatek, trzymający w ręce

jednorazowy kubek.

– Gliny!

Jesse błyskawicznie się rozejrzał, próbując ustalić, czy groźba jest realna, czy nie jest to po prostu głupi kawał.

W odległym kącie dziedzińca, gdzie kończył się podjazd, można było dostrzec kładące się po trawniku niebieskie i czerwone smugi.

Po czym rozległ się gwizdek.

Rozejrzałam się za Olive, ale ona już wystartowała w stronę lasu na tyłach posesji. Uchwyciła mój wzrok i gestem wskazała, żebym zrobiła to samo.

Upuściłam kubek na ziemię, oblewając sobie nogi piwem. I wtedy poczułam na przegubie jakąś rękę. To Jesse ciągnął mnie za sobą, w przeciwną stronę niż wszyscy. Nie do lasu na tyłach, tylko w krzaki, które oddzielały dom od sąsiedniej posesji.

Wszystko się kotłowało. To, co wcześniej było rodzajem chaosu kontrolowanego, który szaleje na piwnej imprezie licealistów, zmieniło się w totalny zamęt. Ludzie biegali bezładnie we wszystkie strony. Nigdy nie widziałam nic, co w takim stopniu zbliżyłoby się do anarchii.

Kiedy dobiegliśmy z Jessem do krzaków, zanurkował w nie pierwszy i pociągnął mnie za sobą. Były gęste i kolczaste. Maleńkie ostrza zaczepiały o gołe ramiona i kostki.

Krzaki były dostatecznie wysokie, żebyśmy się w nich z Jessem zmieścili, i dostatecznie gęste, żebym się czuła schowana przed policją. Byliśmy na tyle daleko od pozostałych, że zaczynało być spokojnie – o ile odgłos syren policyjnych w oddali i ciężkie dudnienie butów można opisać jako spokój.

Tuż przy sobie czułam ciało Jessego, czułam ocieranie się jego ramienia o moje.

– Oj! – powiedział scenicznym szeptem.

– Co się stało? – odszepnęłam.

– Chyba cierń skaleczył mi wargę.

Ostry strumień światła przesunął się po krzakach, w których siedzieliśmy. Zamarłam.

Słyszałam własny oddech, czułam własne serce tłukące się w piersi. Byłam przerażona, nie da się ukryć. Do tej chwili byłam już pijana. Nie pod gazem, skąd, po prostu nawalona. Niebezpieczeństwo, że mnie złapią, było realne. Nie tylko że rodzice byliby w szoku, istniała realna groźba, że mnie zaaresztują.

Zarazem trudno było zaprzeczyć, że czułam dreszczyk podniecenia. Zapierało mi dech, kiedy cień policjanta przybliżał się coraz bardziej. Jakie to ekscytujące, gdy buzuje w tobie adrenalina!

Po jakimś czasie zaczęło się uspokajać. Nie było już odgłosów bieganiny, rozmów, nie było błysków światła. Usłyszeliśmy warkot odjeżdżających samochodów. Kostki mnie swędziały i wiedziałam, że coś mnie pogryzło. Był to, bądź co bądź, maj, co w Massachusetts oznacza, że wszystkie robale wyleciały chmarami, żądne krwi.

Nie byłam pewna, kiedy można coś powiedzieć, kiedy przerwać ciszę.

Z jednej strony wydawało się, że jest już bezpiecznie i możemy wyjść z krzaków. Z drugiej strony – zawsze można się pomylić.

– Emma? – usłyszałam cichy szept Jessego. – Wszystko dobrze?

Nawet nie wiedziałam, że zna moje imię, a tu proszę, wymawia je jak własne.

– Tak – odszepnęłam. – Trochę jestem podrapana, ale poza tym wszystko okej. A jak ty?

– Też okej.

Przez chwilę milczał, po czym szepnął:

– Myślę, że już jest bezpiecznie. Dasz radę wyjść?

Powiedział to tak, że pomyślałam, że może już się tak kiedyś chował w krzakach, może to nie pierwszy raz, kiedy był na imprezie, gdzie nie powinien być, robił rzeczy, których nie powinien robić.

– Tak – szepnęłam.

Niezgrabnie wyczołgałam się z krzaków i oto stałam na trawie, mając przed sobą Jessego Lernerę.

Miał ranę na wardze i zadrapanie na czole. Ja miałam parę zadrapań na rękach. Kostki dalej mnie swędziały. Podniosłam nogę i zobaczyłam parę krost, śladów po ukąszeniu.

Było ciemno choć oko wykol, światła w domu pogaszono. Wszędzie panowała martwa cisza. Jedynym dźwiękiem był szmer naszych oddechów i granie świerszczy.

Nie za bardzo wiedziałam, co dalej robić. Jak stąd dojechać do domu?

– Idziemy – powiedział Jesse i wziął mnie za rękę. Już drugi raz tego wieczoru trzymałam się za rękę z Jessem Lernerem. Musiałam sobie przypomnieć, żeby nie traktować tego osobiście. – Pójdziemy ulicą, dopóki nie natrafimy na kogoś, kto też uciekł, i zabierzemy się z nim.

– Dobra – zgodziłam się, bo nie miałam lepszego pomysłu. Chciałam po prostu dostać się jak najszybciej do domu, zadzwonić do Olive i upewnić się, czy wszystko z nią okej, i dać znać, że wszystko okej ze mną.

Aha, no i jeszcze Sam. Był tam, w basenie. Co się z nim stało?

Ruszyliśmy z Jessem ciemną podmiejską drogą, w nadziei że gdzieś nas doprowadzi.

– Dlaczego nie pływałeś? – spytałam po przejściu paru metrów.

Jesse spojrzał na mnie.

– Co masz na myśli?

– No przecież jesteś podobno największym pływakiem wszech czasów?

Jesse się zaśmiał.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Pisali o tobie w „Beacon”.

– Taak, ale nie jestem rybą. Egzystuję poza środowiskiem wodnym – zadrwił.

Wzruszyłam ramionami.

– Jednak pytanie nadal stoi. To była impreza basenowa.

Przez chwilę milczał. Pomyślałam, że może rozmowa skończona, może mamy już nie rozmawiać, może nie chce mu się rozmawiać ze mną. Kiedy jednak w końcu się odezwał, zdałam sobie sprawę, że przez chwilę się zamyślił, zastanawiając się, ile mi powiedzieć.

– Miałaś kiedyś wrażenie, że wszyscy ci mówią, kim jesteś? – spytał. – W sensie że ludzie zachowują się tak, jakby wiedzieli lepiej niż ty, w czym jesteś dobra i kim masz być?

– Tak – powiedziałam. – Myślę, że tak.

– Czy mogę ci zdradzić pewien dość chyba znany sekret?

– Tak.

– Rodzice chcą, żebym trenował do olimpiady.

– Aha. – Miał rację. To był sekret ogólnie znany.

– A mogę ci zdradzić inny, znacznie mniej znany?

Kiwnęłam głową.

– Nienawidzę pływania.

Patrzył przed siebie, rytmicznie stawiając stopy przed sobą.

– Twoi rodzice wiedzą o tym? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Nikt nie wie. To znaczy, w tej chwili nikt oprócz ciebie.

Nie mogłam wtedy zrozumieć, dlaczego mi o tym powiedział, dlaczego właśnie mnie, a nie komukolwiek innemu, powierzył prawdę o sobie. Myślałam, że to oznacza, że jestem dla niego wyjątkowa, że może zawsze coś do mnie czuł, tak jak ja do niego.

Teraz, patrząc wstecz, wiem, że było wręcz odwrotnie. Byłam dziewczyną bez znaczenia, w tle jego życia, i dlatego czuł się przy mnie bezpiecznie.

– Mnie i tak nigdy specjalnie nie obchodziło pływanie – powiedziałam pocieszająco. Powiedziałam, bo tak było rzeczywiście, ale była w tym także rozległa korzyść wtórna.

Teraz już wiedziałam, kim jest naprawdę, i nadal go lubiłam. I to sprawiło, że byłam inna niż wszyscy.

– Moi rodzice mają księgarnię – powiedziałam. – Blair Books.

– Wiem – odparł. – To znaczy, domyśliłem się tego. – Uśmiechnął się do mnie i odwrócił wzrok.

Okrążyliśmy róg ulicy i wyszliśmy na drogę główną.

– Chcą, żebym kiedyś przejęła księgarnię – ciągnęłam. – Zawsze dają mi w charakterze prezentów różne pięćsetstronicowe powieści i mówią, że któregoś dnia zakocham się w książkach, i... nie wiem.

– To znaczy? – spytał Jesse.

– Nienawidzę czytania.

Jesse uśmiechnął się, zaskoczony i zadowolony. Podniósł rękę, żebym przybiła mu piątkę. Powierzył mi sekret, sądząc, że jestem obcym człowiekiem, a tu się okazuje, że jestem swoja!

Zaśmiałam się i przybiłam. Przez chwilę przytrzymał moją dłoń.

– Jesteś pijana? – spytał.

– Troszeczkę. A ty?

– Troszeczkę.

Nie puszczał mojej ręki i pomyślałam, że może, może zamierza mnie pocałować. A potem pomyślałam: co za bzdura. To się nigdy nie zdarzy.

Później, kiedy mówiliśmy sobie z Jessem wszystko, spytałam go, o czym wtedy myślał. Powiedziałam: „Czy wtedy, kiedy trzymałeś mnie za rękę, tuż przed tym, jak nakryła nas policja, miałeś zamiar mnie pocałować?” Odpowiedział, że nie wie. Że jedyne, co pamięta, to że po raz pierwszy wtedy zauważył, jaka jestem ładna. „Pamiętam, że zauważyłem wtedy te piegi pod okiem. Więc być może. Być może zamierzałem cię pocałować. Nie wiem”.

I nigdy nie będziemy wiedzieli.

Bo właśnie gdy zebrałam się na odwagę, by o tej późnej nocnej godzinie spojrzeć Jessemu prosto w oczy, oślepiło nas światło policyjnej latarki, wymierzonej prosto w oczy. Byliśmy pijani, złapani na gorącym uczynku.

Długa lista niezdarnych kłamstw, dwa dmuchnięcia w balonik i już siedzieliśmy z Jessem, zakuci w kajdanki, pod ścianą posterunku policji w Acton, czekając na odebranie przez rodziców.

– Zabiją mnie – powiedziałam. – Chyba nigdy nie słyszałam, żeby tato był taki wściekły, jak teraz przez telefon. – W ostrym świetle policyjnego posterunku skaleczenie na wardze Jessego miało kolor burgunda, ślady po ukąszeniach na moich kostkach – niemal terakoty.

Myślałam, że Jesse odpowie, że u niego będzie jeszcze gorzej. Ale nie. Zamiast tego powiedział:

– Przepraszam.

– Nie! – Pokręciłam głową. Nie zdawałam sobie sprawy, jak często używam w rozmowie rąk, dopiero teraz, kiedy były skute. – To nie twoja wina.

Jesse wzruszył ramionami.

– Może. Ale i tak przepraszam.

– Dobra, to ja też przepraszam.

Uśmiechnął się.

– Przyjęte.

Na stole na lewo leżała lista ostatnich zatrzymań. Zerkałam na nią ukradkiem, żeby sprawdzić, czy jeszcze kogoś złapali. Rozpoznałam parę nazwisk ludzi z ostatniej klasy, ale nie było ani Olive, ani Sama. A więc z naszej trójki nakryto tylko mnie.

– Martwisz się w związku z rodzicami? – spytałam.

Jesse pomyślał chwilę i pokręcił głową.

– Moi rodzice mają bardzo specyficzny zbiór zasad i dopóki żadnej nie łamię, w zasadzie mogę robić, co chcę.

– Co to za zasady?

– Rekord stanu i oceny nie gorsze niż B minus^[4].

– Poważnie? – zdziwiłam się. – To jedyne zasady, których masz przestrzegać?

– Wiesz, jak trudno pobić rekord stanu i mieć nie mniej niż B minus ze wszystkich przedmiotów? – Nie był na mnie zły, ale w głosie pojawiła się nutka napięcia.

Kiwnęłam głową.

– Ale z drugiej strony specjalnie się nie złościł, kiedy zadzwoniłem do nich o pierwszej w nocy z wiadomością, że jestem na posterunku. Więc nie jest tak źle.

Zaśmiałam się i poruszyłam rękami w kajdankach, usiłując je tak ułożyć, żeby nie ocierały mi nadgarstków.

– Czemu nam to założyli? – spytałam. – Nawet nie jesteśmy zaaresztowani. Myślą, że co zrobimy? Uciekniemy?

Jesse się roześmiał.

– Może. Przecież możemy uciec. Jak Bonnie i Clyde. – Ciekawe, czy wie, że Bonnie i Clyde byli kochankami... Pomyślałam, że może by mu o tym powiedzieć.

– Czyli twoi rodzice nie przyjmą tego tak dobrze jak moi, tak? – spytał Jesse.

Pokręciłam głową.

– A skąd. Szlag, odtąd będę miała zmiany aż do dziewięćdziesiątki. Mogiła.

– W księgarni?

– Tak, to ulubiony rodzaj kary moich rodziców. A poza tym łudzą się, że przejmemy kiedyś z siostrą ten biznes, więc...

– A ty chcesz?

– Prowadzić księgarnię? Żartujesz? W życiu.

– A co chcesz robić?

– Wyjechać z Acton – powiedziałam. – To po pierwsze. Po drugie, chcę zwiedzać świat. Pierwszy przystanek: Pacyfik. A potem cała reszta.

– O, naprawdę? A ja myślę, żeby startować do paru szkół w Kalifornii. Pomyślałem, że jak wyjadę pięć tysięcy kilometrów stąd, to rodzice nie będą mogli mnie zmusić, żebym tak ostro trenował.

– Ja też o tym myślałam – podchwyciłam. – Znaczy o Kalifornii. Nie wiem, czy rodzice mnie puszczą, ale chciałabym pójść na Uniwersytet Los Angeles.

– I co studiować?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że chcę dołączyć do każdego zagranicznego programu, jaki będą mieli. Żeby zobaczyć świat.

– Brzmi super – powiedział Jesse. – Ja też chcę to robić. Też chcę zobaczyć świat.

– Tylko nie wiem, czy moi rodzice się zgodzą – wyraziłam wątpliwość.

– Jeśli ci na czymś zależy, dostaniesz to. Nie ma opcji.

– Co? To bez sensu.

– Oczywiście, że to ma sens. Jeśli coś jest dla ciebie takie ważne, jak najwyraźniej to, to znaczy, że musisz sprawić, żeby tak było. Jesteś to winna sobie samej. Ja tak robię. Chcę wyjechać, więc wyjeżdżam. Ty też tak powinnaś.

– Wątpię, żeby rodzicom się to podobało.

– Rodzice nie muszą być tobą. To ty musisz być sobą. Mam taki pogląd, że, no wiesz, bardzo długo robiłaś to, czego chcą oni. Nadchodzi czas, żebyś robiła to, czego sama chcesz.

Było jasne, że Jesse tak naprawdę nie mówi o moich rodzicach i o mnie. Ale wszystko, co mówił, znajdowało we mnie żywy oddźwięk. Zapadało we mnie i wibrowało w głowie, coraz głośniejsze, a nie coraz cichsze.

– Chyba masz rację – powiedziałam.

– Wiem, że mam rację – odparł z uśmiechem.

– Nie, naprawdę. Złożę papiery na Uniwersytet Los Angeles.

– No i dobrze.

– Ty też powinieneś. Skończ z pływaniem, skoro go nie cierpisz. Rób coś innego. Coś, co lubisz.

Jesse się uśmiechnął.

– Wiesz, jesteś zupełnie inna, niż sobie wyobrażałem.

– Co masz na myśli? – spytałam. Trudno mi było uwierzyć, że wcześniej o mnie myślał, że w ogóle wiedział o moim istnieniu.

– Nie wiem. Po prostu... jesteś inna.

– W dobrym czy złym sensie?

– Och, oczywiście że w dobrym. Jasne.

– A myślałeś, że jaka jestem? – Teraz koniecznie chciałam się dowiedzieć. Jak wyglądałam w jego oczach, skoro wyglądałam tak źle? Musiałam zadbać, żeby znowu tak nie wyglądać.

– Nieważne – powiedział.

– Daj spokój. Po prostu powiedz i już.

– No wiesz, nie chcę, żebyś była zakłopotana czy coś.

– Co? O czym ty mówisz?

Jesse popatrzył na mnie. A potem zdecydował się powiedzieć.

– Nie wiem... Ale miałem wrażenie, że może coś do mnie czujesz.

Poczułam, że się od niego odsuwam.

– Co? Nie, nic do ciebie nie czułam.

Wzruszył ramionami, tak jakby go to nie obchodziło.

– Okej. No widzisz? Myliłem się.

– A czemu ci to przyszło do głowy?

– Carolyn, moja była dziewczyna... – zaczął.

– Wiem, kto to jest Carolyn – przerwałam.

– Okej, no więc to ona tak powiedziała.

– Dlaczego niby?

– Nie wiem. Była zazdrosna, kiedy popatrywały na mnie inne dziewczyny. A ty pewnie kiedyś na mnie spojrzałaś. I dlatego tak pomyślała.

– Ale ty jej, znaczy, uwierzyłeś?

– No wiesz, miałem nadzieję, że tak jest.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego miałeś nadzieję, że coś do ciebie czuję? Chciałeś, żeby tak było?

– Oczywiście że chciałem. Przecież wszyscy chcą się podobać.

– Ale chciałeś, żebym to konkretnie ja coś do ciebie czuła?

– Jasne – powiedział Jesse, tak jakby to było oczywiste.

– Ale dlaczego?

– A czy to ważne dlaczego? Przecież nic do mnie nie czułaś. Więc to bez znaczenia.

Konwersacyjna blokada.

Blokada, którą mogłam usunąć tylko przez przyznanie się. Ważyłam za i przeciw, wreszcie zdecydowałam, że warto.

– Dobrze, no więc kiedyś coś do ciebie czułam. W pierwszej klasie.

Jesse spojrział na mnie z uśmiechem.

– O! Naprawdę?

– Tak, ale to już skończone.

– Dlaczego?

- No nie wiem, byłeś z Carolyn... i prawie cię nie znałam.
- Ale teraz nie jestem z Carolyn i mnie znasz.
- Co ty mówisz?
- Czemu nie czujesz czegoś do mnie teraz?
- A czemu ty nie czujesz czegoś do mnie teraz? – odbiłam piłkę.

I właśnie wtedy Jesse powiedział coś, co nadało bieg całemu mojemu dorosłemu życiu.

- Właśnie mi się wydaje, że coś do ciebie czuję. Od jakiejś półtorej godziny.

Spojrzałam na niego zdumiona. Usiłując znaleźć jakieś słowa.

- No dobrze, w takim razie ja też – powiedziałam w końcu.

- No widzisz? – powiedział z uśmiechem. – Tak myślałem.

A potem, kiedy nikt nie patrzył, nachylił się i mnie pocałował.

Tego lata, w ramach kary za picie w wieku niedozwolonym, musiałam pracować trzy razy tyle co zwykle. Musiałam też wysłuchać od rodziców czterech odrębnych kazań o tym, jak ich zawiodłam i jak to nigdy nie myśleli, że ich córka może być zatrzymana przez policję.

Marie została przyjęta na stanowisko zastępcy menedżera, co oznaczało, że przez jedną trzecią czasu, gdy nie spałam, była moją szefową. Przekonałam się, że jedyna rzecz, której nie lubię jeszcze bardziej niż z nią przebywać, to otrzymywać od niej polecenia.

Olive spędziła ze starszym bratem lato na półwyspie Cape, gdzie pracowała jako kelnerka i opalała się.

Sam wyjechał do Bostonu dwa tygodnie wcześniej, niż planował, i nie pożegnał się przed wyjazdem.

Ale nie przejmowałam się tym. Bo tego lata ja i Jesse zakochaliśmy się.

Mozesz się odwrócić, Emma?

– Co? – spytałam.

– Odwróć się, do jasnej Anielki!

Zrobiłam to. Za mną, na piaszczystej plaży Malibu, stał Jesse. W ręce trzymał nieduży pierścion z rubinem. Od czasu, gdy pocałowaliśmy się pierwszy raz na posterunku policji w Acton, upłynęło dziewięć lat.

– Jesse... – powiedziałam.

– Wyjdiesz za mnie?

Zatkało mnie. Ale nie dlatego, że chciał się ze mną ożenić. Mieliśmy po dwadzieścia pięć lat. Przez całe dorosłe życie byliśmy razem. Oboje przejechaliśmy cały kraj, żeby studiować na Uniwersytecie Los Angeles. Pierwszy rok spędziliśmy w Sydney w Australii, a po dyplomie pięć miesięcy włączyliśmy się z plecakami po całej Europie.

Stworzyliśmy sobie życie w LA, z dala od Blair Books i pięciuset metrów stylem dowolnym. Jesse został asystentem przy produkcji dokumentalnych filmów przyrodniczych i jeździł w związku z pracą w miejsca tak odległe jak Afryka i tak bliskie domu jak pustynia Mojave.

Ja, wskutek rozwoju wydarzeń, które wyraźnie budziły wściekłość Marie, zostałam pisarką – zaczęłam pisać teksty z podróży. Na drugim roku natknęłam się na wiadomość o zajęciach o nazwie „literatura podróżnicza”, prowadzonych przez Szkołę Dziennikarstwa. Słyszałam, że niełatwo się tam dostać. Profesor przyjmował co roku tylko dziewięciu studentów. Ale jeśli się człowiek dostał, to szkoła co roku finansowała wyjazd w różne miejsca. W tym roku miała to być Alaska.

Nigdy nie byłam na Alasce. Wiedziałam, że sama nie będę mogła sobie pozwolić na taki wyjazd. Ale nie interesowało mnie pisanie.

To Jesse ostatecznie skłonił mnie, żebym startowała.

Do aplikacji należało dołączyć esej złożony z tysiąca słów na temat dowolnego miasta na świecie. Napisałam o Acton. Ukazałam jego bogatą historię, system szkolny, lokalną księgarnię. Głównie starałam się spojrzeć na moje rodzinne miasto oczami ojca i przelać to na papier. Wydawało się to niewielką ceną za szansę zobaczenia Alaski.

Mój esej był, prawdę mówiąc, okropny. Ale tego roku zgłosiło się tylko szesnaścioro studentów i widocznie siedem pozostałych prac było jeszcze gorszych.

Alaska okazała się całkiem fajna. Po raz pierwszy opuszczałam wtedy kontynentalne Stany Zjednoczone. Musiałam jednak być uczciwa wobec siebie i przyznać, że jest troszkę przereklamowana. Łatwo jednak sobie wyobrazić zdziwienie wszystkich, kiedy odkryłam, że jeszcze bardziej, niż być na Alasce, lubię o niej pisać.

Jako główny kierunek wybrałam dziennikarstwo i ciężko pracowałam, żeby podciągnąć moją technikę wywiadu i metaforykę, zgodnie z tym, co mi radziła większość profesorów.

Skończyłam college jako pisarka.

Wiedziałam, że dla Marie będzie to cios w serce.

Ja byłam rodzinną pisarką, a ona prowadziła w Acton księgarnię.

Parę lat zajęło mi znalezienie pracy, która wiązałaby się z wyjazdami, ale gdy miałam dwadzieścia

pięć lat, dostałam posadę zastępcy redaktora blogu podróżniczego, z niewielką pensją, ale za to z luksusem wyjazdów gratis na pięć z siedmiu kontynentów Ziemi.

Złą stroną sytuacji było to, że mieliśmy z Jessem bardzo mało pieniędzy. W wieku prawie dwudziestu sześciu lat żadne z nas nie miało ubezpieczenia zdrowotnego i wciąż jeszcze zdarzało nam się jeść na kolację krakersy z masłem orzechowym.

Ale dobra strona była o wiele ważniejsza: zwiedzaliśmy świat. Zarówno razem, jak osobno.

Rozmawialiśmy z Jessem o małżeństwie. Dla wszystkich, włącznie z nami, oczywiste było, że któregoś dnia się pobierzemy. Wiedzieliśmy, że to coś, co zrobimy, kiedy przyjdzie właściwy czas, tak jak wiesz, że jeśli myjesz włosy szamponem, to potem nakładasz odżywkę.

Nie byłam więc zaskoczona, że Jesse poprosił mnie, żebym za niego wyszła.

Zaskoczyło mnie to, że w ogóle był jakiś pierścionek.

– Wiem, że jest mały – powiedział tonem usprawiedliwienia. – I nie jest to diament.

– Jest śliczny – powiedziałam.

– Poznajesz go?

Przyjrzałam się pierścionkowi dokładniej.

Obrączkę miał z żółtego złota, z okrągłym czerwonym kamieniem pośrodku. Był porysowany, wyraźnie z drugiej ręki. Bardzo mi się podobał. Wszystko mi się w nim podobało. Ale nie, nie rozpoznawałam go.

– Nie – powiedziałam.

– Jesteś pewna? Pomyśl chwilę.

Przyjrzałam się jeszcze raz. Ale pierścionek na dłoni Jessego był znacznie mniej interesujący niż męczyzna, który mi go dawał.

Jesse zawsze był pięknym chłopcem, ale z wiekiem tym bardziej wyprzystojniał. Barki mu się rozrosły, plecy były krzepkie i umięśnione. Nie trenował już, więc zyskał trochę ciała, ale dobrze mu to zrobiło. Wyraziste kości policzkowe widoczne były nawet w zupełnej niemal ciemności. A uśmiech z wiekiem stał się taki, że wiedziałam, że będzie przystojny również wtedy, kiedy się zestarzeje.

Odkąd sięgnę pamięcią, zawsze byłam w nim szaleńczo zakochana. Mieliśmy głęboką, znaczącą relację. To Jesse trzymał mnie za rękę, kiedy rodzice wściekali się, że nie składam papierów na Uniwersytet Massachusetts, i skłonił ich, żeby mnie wysłali do Kalifornii. To Jesse mnie wspierał, kiedy prosili, żebym po dyplomie wróciła do domu, Jesse ocierał mi łzy, kiedy ojciec był załamany, że nie pomogę mu w prowadzeniu księgarni. I to Jesse pomógł mi uwierzyć, że kiedyś się z rodzicami pogodzimy.

Chłopak, którego zobaczyłam tamtego dnia na basenie, wyrósł na solidnego, życzliwego, miłego faceta. Otwierał mi drzwi. Kupował mi dietetyczną colę i lody Ben & Jerry's Chunky Monkey, kiedy miałam zły dzień. Robił zdjęcia wszystkich miejsc, które zwiedzał i które zwiedzaliśmy razem, i dekorował nimi nasze mieszkanie.

A teraz, kiedy już mocno usadowiliśmy się w dorosłości i zbladły urazy dzieciństwa, Jesse zaczął znowu pływać na długich dystansach. Nieczęsto, nieregularnie, ale czasem tak. Mówił, że wciąż nie może znieść zapachu chloru na basenie, ale zaczyna się zakochiwać w słonej woni oceanu. Byłam w nim rozkochana.

– Przykro mi – powiedziałam. – Nie wydaje mi się, żebym kiedyś widziała ten pierścionek.

Jesse się zaśmiał.

– Barcelona. – Wieczór, kiedy...

Gwałtownie zaczerpnęłam tchu.

Uśmiechnął się, wiedząc, że nie musi kończyć zdania.

– Nie... – powiedziałam słabo.

Pokiwał głową.

Przyjechaliśmy wtedy do Barcelony pociągiem z Madrytu, z biletem Eurail^[5]. Na ulicy jakaś kobieta

sprzedawała biżuterię. Byliśmy zmęczeni i zmierzaliśmy prosto do naszego hostelu. Ale kobieta nie dawała nam spokoju i nalegała, żebyśmy rzucili okiem na jej stoisko.

Więc rzuciliśmy.

Zauważyłam pierścionek z rubinem.

– Widzisz? – powiedziałam do Jessego. – Nie potrzebuję żadnych luksusów typu diament. Zwykły pierścionek, a jaki ładny.

I oto był. Pierścionek z rubinem.

– Kupiłeś mi pierścionek z rubinem! – zawołałam.

Jesse pokręcił głową.

– Nie jakiś tam pierścionek z rubinem.

– To nie jest ten pierścionek z rubinem – powiedziałam z naciskiem na „ten”.

Jesse roześmiał się.

– Tak! To właśnie próbuję ci powiedzieć. To jest ten pierścionek.

Przyjrzałam mu się ze zdumieniem.

– Jak to, poważnie? Jak to zrobiłeś?

Miałam w głowie obraz Jessego, który wydzwania do Europy, a potem płaci niebotyczne sumy za przesyłkę, ale prawda okazała się znacznie prostsza.

– Wymknąłem się i kupiłem go jeszcze tamtego wieczoru, kiedy poszłaś szukać łazienki – powiedział.

Oczy mi się zaokrągliły.

– I trzymałeś go przez pięć lat?

Wzruszył ramionami.

– Wiedziałem, że się z tobą ożenię. Jaki sens był zwlekać i kupić ci później jakiś diament, skoro wiedziałem dokładnie, czego chcesz?

– O Boże... – szepnęłam. Czułam, że się rumienię. – Nie mogę uwierzyć... Pasuje idealnie. Jaka była szansa, że będzie dobry na wielkość?

– Cóż – powiedział wstydliwie Jesse – w zasadzie dość wysoka.

Spojrzałam na niego, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Zaniósłem go do jubilera i kazałem dopasować rozmiar do jednego z twoich obecnych pierścionków.

Widziałam, że się boi, że przez to cała rzecz jest mniej romantyczna. Ale dla mnie była romantyczna tym bardziej.

– O rany – powiedziałam. – Po prostu... o rany.

– Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie – przypomniał Jesse. – Wyjdiesz za mnie?

Absurdalne pytanie. Odpowiedź była oczywista. To tak, jakby pytać, czy ktoś lubi frytki albo czy deszcz jest mokry.

Staliśmy na plaży. Pod stopami mieliśmy piasek, a przed sobą Pacyfik. O parę kilometrów był nasz dom. Jak to możliwe, że miałam takie szczęście? Że dostałam od losu wszystko, czego chciałam?

– Tak – powiedziałam i objęłam go za szyję. – Absolutnie, zdecydowanie, na sto procent! Tak!

Pobraliśmy się w weekend Dnia Pamięci, w domku należącym do rodziny Jessego w Maine.

Wcześniej myśleliśmy, żeby się pobrać w Pradze, ale było to mało realne. Kiedy już pogodziliśmy się z tym, że weźmiemy ślub w Stanach, Jesse chciał, żeby to było Los Angeles.

Nie wiadomo jednak dlaczego, zaczęło mi nagle zależeć, żeby ślub i wesele były nie gdzie indziej, tylko w Nowej Anglii. Zaskoczyło mnie to. Tyle czasu buszowałam po świecie, tyle wysiłku włożyłam w to, żeby być jak najdalej od rodzinnych pieleszy.

Kiedy jednak oddaliłam się dostatecznie od miejsca, gdzie się wychowałam, zaczęłam dostrzegać jego piękno. Zaczęłam patrzeć na nie tak, jak patrzą ludzie z zewnątrz – może dlatego, że stałam się kimś z zewnątrz.

Powiedziałam więc Jessemu, że powinniśmy się pobrać w rodzinnych stronach, wiosną. I choć musiałam go nieco przekonywać, zgodził się.

Po czym stało się oczywiste, że najprościej będzie zrobić to w domku rodziców Jessego.

Moi rodzice byli naturalnie zachwyceni. Myślę, że w pewnym sensie tamta noc, kiedy zatrzymała mnie policja, i ten dzień, kiedy im powiedziałam, że zamierzamy się pobrać w Nowej Anglii, miały ze sobą wiele wspólnego.

W obu przypadkach zrobiłam coś, co rodzice uważali za kompletnie nie w moim stylu, i tak ich to zaskoczyło, że momentalnie zmieniło naszą relację.

Wtedy, w szkole, sprawiło to, że przestali mi ufać. Podejrzewam, że bardziej chodziło o kłopoty z policją niż o to, że piłam. A to, że zaczęłam się spotykać z chłopakiem, z którym zostałam nakryta, tylko pogłębiło problem. Z dnia na dzień zmieniałam się w ich oczach z kochanej miłej córeczki w chuligankę.

A jeśli chodzi o ślub, to z niezależnej globtroterki zmieniałam się w ptaka, który wraca do rodzinnego gniazda.

Mama ogarnęła mnóstwo detali: dogadywała się z rodzicami Jessego, zarezerwowała miejsce nad wodą koło latarni morskiej odległej raptem o półtora kilometra, wybrała weselny tort, jako że sami z Jessem nie byliśmy w stanie przyjechać na próbę smaku. Tato negocjował w pobliskim zajeździe, gdzie mieliśmy urządzić przyjęcie. Marie, która dziewięć miesięcy wcześniej wyszła za Mike'a, pożyczyła nam zastawę stołową i obrusy z własnego wesela.

Olive z Chicago, gdzie mieszkała, przyleciała do Los Angeles, żeby być gospodynią mojego panińskiego wieczoru, a potem przedślubnego przyjęcia z prezentami. Na pierwszym nawaliła się jak autobus, na drugi włożyła sukienkę-koszulkę i do tego za duży kapelusz. W weselny weekend przybyła jako pierwsza, jak zawsze dowodząc, że Olive niczego nie robi byle jak.

Nasza przyjaźń od czasu, gdy wyjechałyśmy na studia, była przyjaźnią na odległość. Nigdy jednak nie spotkałam dziewczyny, która znaczyłaby dla mnie tyle co ona. Z nikim tyle się nie naśmiałam, co z nią. Tak więc, choć dzieliło nas wiele setek kilometrów, moja najstarsza przyjaciółka pozostała moją najlepszą przyjaciółką, i dlatego chciałam, żeby była moim świadkiem.

Był krótki moment, kiedy mama i ojciec chyba nie byli pewni, co zrobić z faktem, że ani ja Marie, ani ona mnie nie zaprosiła do tej szacownej funkcji. No, ale byliśmy dla siebie nawzajem druhami, więc chyba to trochę łagodziło ich problem.

A jeśli chodzi o Jessego, to te role przypadły dwóm jego starszym braciom.

Rodzice Jessego nigdy nie darzyli mnie szczególną sympatią i wiedziałam, że to dlatego, iż to mnie obwiniają za fakt, że rzucił pływanię. Jesse powiedział im wprawdzie jasno i niedwuznacznie, że nie cierpiał pływania i że nigdy nie miał zamiaru kontynuować treningów po skończeniu szkoły. Ale cóż, chronologia biła po oczach: pojawiłam się ja i nagle Jesse przestał lubić to, co ich zdaniem zawsze lubił.

Kiedy się jednak zaręczyliśmy i kiedy Francine i Joe dowiedzieli się, że chcemy urządzić wesele w ich domku, troszkę się otworzyli. Być może uznali, że już po herbacie – Jesse ożeni się ze mną i tak, czy mnie lubią, czy nie. Ale wolę myśleć, że po prostu zaczęli mnie widzieć taką, jaka jestem. Kiedy spojrzeli uważniej, dostrzegli, że jest mnóstwo rzeczy, za które można mnie lubić. I że bez względu na to, czy Jesse zrealizował ich marzenia, czy nie, tak czy owak wyrósł na świetnego mężczyznę.

Nie licząc drobnych nieporozumień co do mojej sukni i tego, czy powinniśmy ćwiczyć do pierwszego tańca, czy nie, przygotowania do wesela przeszliśmy z Jessem względnie bezboleśnie.

A jeśli chodzi o sam dzień wesela, to prawda jest taka, że go nie pamiętam.

Pamiętam tylko migawki.

Pamiętam, jak matka pomaga mi włożyć suknię i jak ją na mnie wygładza.

Pamiętam, jak idąc, unoszę tren, żeby się nie zabrudził.

Pamiętam, że woń kwiatów była bardziej dusząca niż w kwiaciarni.

Pamiętam, jak idąc wzdłuż nawy, patrzyłam na Jessego – na jego czarny lśniący smoking, na nienagannie zaczesane, faliste włosy – i czułam, że ogarnia mnie przemożny spokój.

Pamiętam, jak na koktajlu pomiędzy ślubem a właściwym przyjęciem stoję obok niego i robię nam zdjęcie. Pamiętam, jak zaraz po błysku flesza szepcze mi do ucha: „Chcę być z tobą sam”.

Pamiętam, jak odpowiadam: „Wiem, ale... tyle wesela jeszcze przed nami”.

Pamiętam, jak w chwili, gdy fotograf wymieniał baterie w aparacie, biorę go za rękę i wmykamy się z pola widzenia.

Pobiegliśmy z powrotem do domku, gdzie nikt na nas nie patrzył. To tam, sam na sam z Jessem, mogłam się znowu skupić. Mogłam bez trudu oddychać. Czułam, że stoję na ziemi. Czułam się sobą – po raz pierwszy tego dnia.

– Nie do wiary, że wymknęliśmy się z własnego wesela – powiedziałam.

– No wiesz... – Jesse mnie objął. – To nasze wesele. Wolno nam.

– Nie jestem pewna, czy tak to powinno być – zauważyłam.

Zaczął mi już odpinać zamek sukni, ale ten ani drgnął. Podwinął mi więc spódnicę powyżej ud.

Nawet nie wyszliśmy z kuchni. Wskoczyłam na kuchenny blat. I kiedy się połączyliśmy, kiedy we mnie wszedł i pchnął, a ja przywarłam ciałem do niego, było inaczej niż dawniej.

Znaczyło to więcej.

Po upływie pół godziny, akurat kiedy wychodziłam z łazienki, gdzie poprawiałam fryzurę, do drzwi zapukała Marie.

Wszyscy chcieli wiedzieć, gdzie się podzialiśmy. Czekali.

Był czas na ceremonię przedstawienia nas jako pary.

– No to chyba musimy iść – powiedział Jessie, uśmiechając się do mnie. Była w tym wiedza o tym, co robiliśmy, gdy kazaliśmy im czekać.

– Chyba tak – odparłam w tym samym duchu.

– No. – Marie bynajmniej nie była rozbawiona. – Chyba tak.

Ruszyła przodem w stronę zajazdu, a my za nią.

– Wygląda na to, że wkurzyliśmy Córkę Księgarzy – szepnął Jesse.

– Wygląda, że masz rację – odszepnęłam.

– Mam ci do powiedzenia coś ważnego – rzekł. – Jesteś gotowa? To naprawdę ważne. Wiadomość z ostatniej chwili.

– No to mów.

– Zawsze cię będę kochał.

– Wiem – powiedziałam. – Ja ciebie też.

– Tak?

– Tak. Będę cię kochać do chwili, kiedy będziemy tacy starzy, że nie zdołamy chodzić o własnych siłach i będziemy musieli używać balkonika. A właściwie to jeszcze dłużej. Będę cię kochać do końca świata.

– Jesteś pewna? – uśmiechnął się i mnie przygarnął. Marie była już daleko, przy drzwiach. Wyobraziłam sobie salę pełną moich przyjaciół i krewnych, przedstawiających się sobie nawzajem. Pomyślałam, że Olive zdążyła się już zaprzyjaźnić z połową mojej rozległej rodziny.

Kiedy to wszystko się skończy, mieliśmy, dzięki rodzicom Jessego, pojechać z nim na dziesięciodniową wyprawę do Indii. Żadnego żywienia się tym, co w plecaku, i sypiania po hostelach. Żadnych terminów ani zdjęć na zamówienie. Po prostu dwoje ludzi zakochanych w sobie i w świecie.

– Żartujesz? – powiedziałam. – Jesteś moją jedyną prawdziwą miłością. Nawet nie myślałam, że potrafię tak kogoś kochać.

Podwójne drzwi się otworzyły i weszliśmy z Jessem na salę dokładnie w chwili, gdy DJ ogłaszał:

– Przedstawiam państwu... Jessego i Emmę Lernerów!

Nowe nazwisko w pierwszej chwili zabrzmiało w moich uszach rażąco. Poczułam się jak nie ja. Pomyślałam, że z czasem się przyzwyczaję, podobnie jak to bywa z nową fryzurą.

A poza tym nazwisko się nie liczyło. Nic się nie liczyło poza tym, że poślubiłam mężczyznę moich marzeń.

To był najszczęśliwszy dzień mojego życia.

Emma i Jesse. Na zawsze.

Trzysta sześćdziesiąt cztery dni później przepadł.

Kiedy widziałam go po raz ostatni, miał na sobie granatowe płócienne spodnie Vans i szarą koszulkę w odcieniu wrzosowym. Jego ulubione. Poprzedniego dnia zrobił pranie, żeby móc je włożyć.

Nazajutrz przypadała nasza rocznica ślubu. Udało mi się zdobyć zlecenie na tekst o nowym hotelu w dolinie Santa Ynez w północnej Kalifornii. Pomimo że wyjazd w celach zawodowych nie jest właściwie najbardziej romantycznym sposobem obchodzenia takiej okazji, Jesse zamierzał do mnie dołączyć. Mieliśmy uczcić naszą pierwszą rocznicę, zwiedzając hotel, robiąc notatki na temat jedzenia, a potem chcieliśmy się urwać do jakiejś winnicy.

Poproszono go jednak, żeby towarzyszył swojemu starszemu wiekiem szefowi w czterodniowej wyprawie na Aleuty.

A w przeciwieństwie do mnie nigdy nie był na Alasce.

– Chciałbym zobaczyć lodowiec – powiedział. – Ty już widziałaś lodowiec, a ja jeszcze nie.

Pomyślałam, jak to jest – patrzeć na coś, co jest tak białe, że aż wydaje się niebieskie, tak wielkie, że człowiek czuje się przy tym maleńki, tak niewzruszenie spokojne, że się zapomina, do jakiego stopnia zagraża środowisku. Rozumiałam, dlaczego chce tam polecieć. Ale zarazem wiedziałam, że na jego miejscu nie skorzystałabym z tej okazji.

Jednym z powodów było zmęczenie podróżami. Przez niemal dziesięć lat łapaliśmy każdą okazję, żeby wsiąść do pociągu czy samolotu. Pisałam na stałe na blogu podróżniczym, a oprócz tego na zlecenie na boku, i starałam się jak mogłam, żeby publikowano mnie w coraz ważniejszych tytułach.

Z zawodową sprawnością lawirowałam pomiędzy stanowiskami ochrony i miejscami odbioru bagażu. Miałam zebranych dostatecznie dużo punktów, uprawniających do darmowych lub zniżkowych przelotów, by móc polecieć dokładnie wszędzie, gdzie mi się tylko zamarzyło.

I nie twierdzę, że podróż nie jest czymś fantastycznym, że nasze życie nie było fantastyczne. Było.

Stałam na Chińskim Murze. Wspinałam się do wodospadów w Kostaryce. Jadłam pizzę w Neapolu, strudel w Wiedniu, kielbaski z tłuczonymi kartoflami w Londynie. Widziałam na żywo Monę Lizę. Byłam w świątyni Tadź Mahal.

Wiele cudownych przeżyć wiązało się z pobytem w odległych miejscach.

Ale wiele równie cudownych miało miejsce także w domu. Wymyślanie z Jessem tanich domowych kolacji, wyjście późnym wieczorem na lody, promienie słońca w rozsuwanych szklanych drzwiach, które budziły nas w sobotnie ranki.

Ideą przewodnią mojego życia było to, żeby zobaczyć wszystkie niezwykłości świata, z czasem jednak do mnie dotarło, że niezwykłość jest wszędzie.

I zaczynałam tęsknić za tym, żeby gdzieś osiąść i – być może, być może – nie musieć się więcej śpieszyć na samolot, żeby znaleźć się w zupełnie innym miejscu.

Właśnie się dowiedziałam, że Marie jest w ciąży. Kupowali z Mikiem dom tuż pod Acton, żeby mieć niedaleko do pracy. Wydawało się niemal pewne, że przejmie księgarnię. Córka Księgarzy w pełni realizowała swój potencjał.

Coś mnie jednak zaskoczyło: jakiś ledwie słyszalny głos zaczynał mi mówić, że może jej życie wcale nie jest takie złe.

Marie nie pakowała się w kółko i nie rozpakowywała. Nigdy nie była skołowana z powodu różnicy

czasów. Nigdy nie musiała kupować ładowarki do telefonu, którą już miała, bo zostawiła ją w miejscu odległym o tysiące kilometrów.

Powiedziałam o tym wszystkim Jessemu.

– Zdarzyło ci się kiedyś, że chciałeś po prostu pojechać do domu? – spytałam.

– Ale przecież jesteśmy w domu – odparł.

– Nie, do prawdziwego domu. Do Acton.

Jesse spojrział na mnie podejrzliwie.

– Ej, chyba cię podmienili. Prawdziwa Emma nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

Roześmiałam się i dałam spokój.

Ale tak naprawdę mi nie przeszło. No bo jeśli na przykład zamierzamy z Jessem mieć dzieci, to czy nadal będziemy wyskakiwać na parę dni do Peru? A co ważniejsze, czy jestem gotowa, żeby wychowywać dzieci w Los Angeles?

Kiedy pojawiły się te pytania, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że moje życiowe plany nigdy nie wykraczały poza okres, gdy mam dwadzieścia parę lat. Nigdy nie zadałam sobie pytania, czy zawsze chcę podróżować, czy zawsze chcę mieszkać daleko od rodziców.

Zaczynałam podejrzewać, że to elitarne życie, jakie prowadziliśmy z Jessem, zawsze traktowałam jako tymczasowe, jako coś pożądanego i fajnego, co jednak kiedyś się skończy.

Chyba raczej przewidywałam, że kiedyś się ustatkuję.

Uświadomienie sobie tego było dla mnie szokiem, a jeszcze większym szokiem było uświadomienie sobie, że nigdy dotąd sobie tego nie uświadamiałam.

Oczywiście nie ułatwiało sprawy to, że – byłam pewna – Jessemu nic z tych rzeczy nigdy nie przyszło do głowy. Byłam pewna, że w ogóle o tym nie myśli.

Życie, które sobie stworzyliśmy, było nieustającą przygodą. Polegało na odwiedzaniu wszystkich tych miejsc, o których ludzie mówią: muszę tam kiedyś pojechać, muszę to zobaczyć.

I nie mogłam ot tak, po prostu zmienić całego *modus operandi* naszego życia.

Więc chociaż wolałabym, żeby dał sobie spokój z Alaską i pojechał ze mną do północnej Kalifornii, powiedziałam mu, żeby jechał na Alaskę.

No i miał przecież rację. Ja już oglądałam lodowiec. A on – nie.

Tak więc zamiast świętować pierwszą rocznicę ślubu, zawiozłam Jessego na lotnisko, skąd miał samolot do Anchorage.

– Zrobimy sobie uroczystość, jak wrócę – obiecał. – Wszystko jak trzeba, świece, wino, kwiaty, te rzeczy. Nawet zaśpiewam ci serenadę. A jutro zadzwonię.

Z resztą ekipy miał się spotkać w Anchorage, a stamtąd lecieli prywatnym samolotem na wyspę Akun. Niemal przez cały czas miał filmować widoki z helikoptera.

– Nie przejmuj się tym za bardzo – uspokoiliam go. – Jak nie będziesz mógł zadzwonić, zrozumiem to.

– Dzięki. – Sięgnął po torby na tylnym siedzeniu, po czym spojrział na mnie. – Kocham cię bardziej, niż to się kiedykolwiek zdarzyło w historii świata. Wiesz o tym? Ani Antoniusz Kleopatry, ani Romeo Julii nie kochał tak, jak ja ciebie.

Roześmiałam się.

– Ja też cię kocham. Bardziej niż Liz Taylor Richarda Burtona.

Jesse obszedł samochód i stanął przy moim oknie.

– No, no – powiedział z uśmiechem. – To znaczy, że bardzo-bardzo.

– Jasne. To spadaj, dobrze? Mam sprawy do załatwienia.

Jesse roześmiał się i pocałował mnie na pożegnanie. Patrzyłam, jak przechodzi przez automatyczne drzwi i znika w czeluściach Międzynarodowego Dworca Lotniczego Los Angeles.

Zaraz potem w radiu puścili moją ulubioną piosenkę. Podkreśliłam głośność i śpiewając do wtóru na całe gardło, zjechałam z krawężnika.

Kiedy wracałam do domu, Jesse przysłał mi SMS-a:

„Kocham. Tęsknię”.

Musiał go wysłać, jeszcze zanim przeszedł przez bramkę albo tuż po. Ale zobaczyłam go dopiero w domu, po godzinie czy jakoś tak.

Odpisałam mu: „Tęsknię non stop. Przytulam, całuję”.

Wiedziałam, że przez jakiś czas może go nie zauważyć, że przez parę dni mogę nie mieć od niego wiadomości.

Wyobraziłam go sobie we wnętrzu niewielkiego samolotu, jak leci, ląduje na wyspie, przesiada się na helikopter, i wkrótce na widok ogromu lodowca zapiera mu dech w piersiach.

Rankiem w dniu naszej rocznicy obudziły mnie mdłości. Pobiełam do łazienki i zwymiotowałam.

Nie miałam pojęcia dlaczego. Aż do tego dnia nigdy się nie zdarzyło, żeby zaszkodziło mi jakieś jedzenie albo żebym potrafiła przeczuć nieszczęście, tak jak niektóre psy przeczuwają nadciągający huragan.

Jesse nie zadzwonił, żeby mi złożyć życzenia.

Samolot pasażerski dotarł do Anchorage.

Cessna dotarła do wyspy Akun.

Kiedy jednak wylecieli po raz pierwszy helikopterem, nigdy więcej nie wylądował z powrotem.

Jedyny wniosek, jaki się wszystkim nasuwał, to że runął do wody gdzieś nad północnym Pacyfikiem.

Czterech ludzi, którzy byli na pokładzie, przepadło bez śladu.

Mój mąż, moja jedyna prawdziwa miłość.

Przepadł.

Francine i Joe przylecieli do LA i wprowadzili się do mnie. Moi rodzice zamieszkali w hotelu o parę minut pieszo, ale i tak każdą chwilę, kiedy nie spali, spędzali przy mnie.

Francine wciąż powtarzała, że nie rozumie, dlaczego nie jest to główny temat wiadomości w całym kraju i dlaczego nie organizuje się ogólnokrajowej wyprawy poszukiwawczej.

Joe wciąż powtarzał, że cały czas zdarzają się katastrofy helikopterów. Mówił to tak, jakby to była dobra wiadomość, jakby to oznaczało, że istnieje jakiś plan na chwilę taką jak ta.

– Znajdą go – mówił w kółko do żony. – Nasz syn pływa jak ryba. Na pewno zdołał się jakoś uratować.

Wytrzymywałam to, dopóki mogłam. Przytulałam Francine, gdy płakała w moich ramionach. Powtarzałam jej, tak jak Joe, że już niedługo zadzwonią do nas z wiadomością, że Jesse jest cały i zdrowy, że to tylko kwestia czasu.

Mama robiła zapiekanki, a ja kroiłam je na części i nakładałam Joemu i Francine na talerze, mówiąc rzeczy w stylu: „Trzeba coś jeść”. Sama jednak nie jadłam.

Płakałam, kiedy nikogo przy mnie nie było, i z trudem przychodziło mi spojrzeć w lustro, ale wciąż mówiłam, że tylko patrzeć, jak Jesse zostanie odnaleziony.

Po czym na wybrzeżu wyspy Adak znaleziono śmigło helikoptera. I plecak Jessego. I ciało pilota.

Wiadomość, na którą czekaliśmy, nadeszła.

Ale zupełnie nie taka, jakiej oczekiwaliśmy.

Jessego nie odnaleziono.

Wszystko wskazywało na to, że nie żyje.

Kiedy skończyłam rozmowę i wyłączyłam telefon, Francine wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Joe skamieniał. Moi rodzice wpatrywali się we mnie oniemiałi.

– Bzdura – powiedziałam. – Jesse miałby umrzeć? Wykluczone. Nie zrobiłby mi tego.

Francine zaczęła dostawać tak silnych ataków paniki, że Joe zabrał ją do domu i oddał do szpitala.

Mama i ojciec czuwali na dmuchanym materacu obok mojego łóżka, śledząc każdy mój ruch. Mówiłam im, że się trzymam. Byłam pewna, że tak jest.

Trzy dni krążyłam oszołomiona po domu, czekając na telefon, czekając, że zadzwoni ktoś inny i powie, że pierwsza wiadomość była błędna.

Ta druga wiadomość nie nadeszła. Nieustannie dzwonili za to ludzie, pytając, co ze mną.

I wreszcie któregoś dnia zadzwoniła Marie. Powiedziała, że zostawia księgarnię na głowie Mike’a i przylatuje, żeby być przy mnie.

Byłam zbyt odrętwiała, żeby zdecydować, czy chcę ją mieć przy sobie.

W dniu, kiedy miała przylecieć Marie, obudziłam się około południa. Mama poszła do sklepu, a ojciec pojechał po Marie na lotnisko. Pierwszy raz byłam w domu sama. Miałam uczucie, że będę już na zawsze.

Dzień był pogodny. Poczulałam, że nie mam już ochoty siedzieć w domu. Ale wyjść też mi się nie chciało. Ubrałam się i poprosiłam sąsiadów o pożyczenie drabiny, bo chciałam oczyścić rynny.

Nie miałam zamiaru niczego czyścić. Chciałam się po prostu znaleźć wysoko na ziemi, niezabezpieczona przez ściany, sufit i podłogę. Chciałam się znaleźć na tyle wysoko, że gdybym spadła, zabiłabym się. To nie to samo, co pragnienie śmierci.

Weszłam na dach. Stałam na nim i szklistymi, przekrwionymi oczami popatrzyłam przed siebie, na wierzchołki drzew i okna wieżowców. Nie czułam się ani trochę lepiej niż w domu. Ale też ani trochę gorzej. Więc zostałam na dachu. Stałam i patrzyłam. Na cokolwiek, co nie budziło we mnie pragnienia, by zwinąć się w kłębek i zniknąć.

I wtedy, w niewielkiej przestrzeni pomiędzy dwoma blokami, tak daleko, że niemal nie sposób było cokolwiek rozpoznać, zobaczyłam...

Ocean.

Pomyślałam: może gdzieś tam, w tej wodzie, jest Jesse. Może płynie. Może buduje tratwę, żeby dotrzeć do domu.

Nadzieja, której się uchwyciłam w tamtej chwili, nie była przyjemna ani wyzwalająca. Była okrutna. Tak jakby świat podawał mi linę na tyle tylko długą, żebym mogła się na niej powiesić.

Zeszłam na dół i zaczęłam grzebać w rzeczach Jessego. Przekopałam szafę, bielizniarkę i biurko. I wreszcie znalazłam.

Lornetkę.

Wróciłam na dach i stanęłam w miejscu, skąd widać było skrawek oceanu. Czekałam.

Nie podziwiałam widoku. Nie delektowałam się ciszą i spokojem. Nie rozkoszowałam się samotnością.

Wypatrywałam Jessego.

Widziałam bijące o brzeg fale. Widziałam jakąś łódź. Widziałam ludzi leżących na ręcznikach pod parasolami, tak jakby nie wiedzieli, że jest do zrobienia coś ważnego.

Z dołu dobiegły odgłosy: wrócił ojciec z siostrą. Słyszałam, jak wchodzi do domu i zaczynają mnie szukać. Słyszałam ich nawoływanie: „Emma! Emma!” Strach w ich głosach narastał, bo za każdym razem odpowiadała im coraz większa cisza. Wkrótce do chóru dołączyła mama.

Nie mogłam im jednak odpowiedzieć. Musiałam stać i wypatrywać Jessego. To był mój obowiązek jako żony. Musiałam go zobaczyć jako pierwsza, kiedy dobije do brzegu.

Kiedy usłyszałam, że ktoś wchodzi na dach, uznałam, że to tato. Pomyślałam: „Dobrze, on też może obserwować”.

Ale to była Marie.

Stała na dachu i popatrzyła na mnie. Z lornetką przy oczach wpatrywałam się w ocean.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

– Co robisz? – spytała, podchodząc do mnie.

– Muszę go znaleźć.

Poczułam na ramieniu rękę Marie.

– Nie znajdziesz... to niemożliwe – powiedziała.

– Muszę go wypatrywać. Nie mogę położyć na nim kreski.

– Em, daj mi lornetkę.

Chciałam ją zignorować, ale trzeba było jej wytłumaczyć moją logikę.

– Jesse może wrócić. Musimy obserwować, czy do nas nie płynie.

– On nie wróci.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

– Nie, ty po prostu nie możesz znieść, że nie jestem już w twoim cieniu – powiedziała. – Bo to znaczy, że nie jesteś centrum wszechświata. Jesse wraca, Marie. A ja tu będę stać i czekać, dopóki nie

wróci. Znam mojego męża. Wiem, na co go stać. I nie pozwolę, żebym przez ciebie miała przestać w niego wierzyć, tylko dlatego że wolałabyś, żebym dalej czuła się przy tobie malutka.

Marie cofnęła gwałtownie głowę, tak jakbym ją uderzyła.

– Muszę tu stać i go wypatrywać. To mój obowiązek. Jako żony.

Kiedy zobaczyłam na twarzy Marie ten wyraz, mieszaną współczucia i lęku, zdałam sobie sprawę, że myśli, że zwariowałam.

„O Boże. Zwariowałam?” – pomyślałam przez chwilę.

– Emma, tak mi przykro – powiedziała i przytuliła mnie, tak jak matka przytula dziecko, jakbyśmy były zrobione z tego samego ciała. Nie byłam przyzwyczajona do tego typu siostry, siostry, która jest także przyjaciółką. Przywykłam do tego, że po prostu mam siostrę, tak jak niektórzy nasi nauczyciele są po prostu nauczycielami, a niektórzy współpracownicy – współpracownikami. – Jesse nie żyje. Nie masz co go wypatrywać, on nie wróci. Odszedł. Na zawsze. Tak strasznie mi przykro...

Przez chwilę pomyślałam: „A może ona ma rację?”

– Nieprawda, żyje – powiedziałam. – On tam jest.

– Nie, nie ma go. Nie żyje.

Przez chwilę pomyślałam: „Czy to możliwe?”

I nagle jak grom uderzyła we mnie świadomość prawdy.

Plakałam tak strasznie i tak długo, że rano po przebudzeniu nie byłam w stanie otworzyć spuchniętych oczu. Przez trzy tygodnie się nie ubierałam.

Opłakiwałam jego, to, co straciłam, życie, które mi jeszcze zostało, każdy dzień, który będę musiała przeżyć bez niego.

Mama musiała mnie zmuszać, żebym się kąpała. Stała ze mną pod prysznicem i trzymała mnie w ramionach, niemal bezwładną, bo nie byłam w stanie stać o własnych siłach.

Świat wydawał mi się ciemny, pusty, pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia. Życie wydawało mi się okrutne i bez sensu.

Myślałam o tym, jak dbał o mnie Jesse. Jak to on trzymał mnie w ramionach. Wspominałam jego dłonie na moich plecach, woń jego oddechu, taką miłą, taką człowieczą.

Straciłam miłość. Straciłam nadzieję. Straciłam wszystko, w cokolwiek wierzyłam..

Powiedziałam mamie, że chcę umrzeć.

Powiedziałam, choć wiedziałam, że ją to zaboli. Musiałam powiedzieć, bo tak strasznie mnie bolało.

Skrzywiła się i zamknęła oczy:

– Wiem – powiedziała po chwili. – Ale nie możesz umrzeć. Musisz żyć. Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby żyć dalej.

Półtora miesiąca po tym, jak odprowadziłam Jessego na lotnisko, wyszłam z mojego pokoju, weszłam do kuchni, gdzie siedzieli, rozmawiając, rodzice, i powiedziałam ze spokojem i świadomością celu, których brakowało mi od tygodni:

– Chcę wrócić do Acton. Nie chcę już tu być.

Ojciec skinął głową, a mama powiedziała:

– Oczywiście, co tylko zechcesz.

Nie pamiętam, kto pakował moje rzeczy, kto sprzedał mój samochód i meble. Nie pamiętam, jak wsiadaliśmy do samolotu. Jedyne co pamiętam, to że w tydzień później wylądowaliśmy w Porcie Lotniczym Logan.

W domu.

Emma i Sam, czyli jak się pozbierać

Kiedy tracimy kogoś, kogo kochamy, trudno nam sobie wyobrazić, że kiedykolwiek poczujemy się lepiej. Że pewnego dnia będziemy w dobrym nastroju tylko dlatego, że jest ładna pogoda albo że barman w sklepie z kawą prawidłowo zapamiętał nasze zamówienie.

Ale tak się zdarza.

Jeśli tylko jesteśmy cierpliwi i pracujemy nad tym.

Zaczyna się to już w chwili, gdy znowu oddychasz powietrzem Massachusetts. Dusza się jakby leciutko doładowuje, kiedy widzisz brukowane bostońskie chodniki i domy z czerwonobrazowego piaskowca, kiedy zatrzymujesz się na podjeździe rodzicielskiego domu i wprowadzasz na powrót do swojej dawnej sypialni.

Twoja emocjonalna moc rośnie, gdy skryta przed resztą świata, śpisz w łóżku, w którym sypiałaś jako dziecko i jesz na śniadanie przyrządzone przez matkę naleśniki.

Całymi dniami oglądasz Travel Channel, aż w końcu cię to nudzi. Ze stosu książek, które dostawałaś kiedyś od rodziców i nigdy ich nawet nie otworzyłaś, wybierasz jakąś powieść.

Czytasz ją, by pod koniec się przekonać, że mąż bohaterki umiera. Ciskasz książką z całej siły i tłuczysz stojącą przy łóżku lampę. Kiedy wieczorem mama wraca do domu, opowiadasz jej o tym. Prosisz ją o książki, w których nikt nie umiera.

Dwa dni później zastajesz rodziców w salonie. Na stoliku przed nimi leży stos książek. Przerzucają je uważnie, upewniając się, że każda z postaci żyje do końca książki. Wieczorem masz przy łóżku stosik powieści do czytania. Otwierasz pierwszą, spokojna, że nie spotka cię żaden cios.

I właśnie wtedy po raz pierwszy od bardzo dawna czujesz się bezpieczna.

Marie dowiaduje się, że urodzi jednojajowe bliźnięta, dziewczynki. Chcesz jej kupić dwie pary identycznych śpioszków, ale nie masz ochoty wychodzić z domu. Zamawiasz je w sieci i jako adres wysyłki podajesz jej. Kiedy system pyta cię o wiadomość towarzyszącą prezentowi, wiesz, że powinnaś Marie pogratulować i użyć wielu entuzjastycznych określeń, ale nic takiego w tobie nie ma. Nie jesteś w stanie wzbudzić w sobie entuzjazmu, i to tak dalece, że nie potrafisz się nawet zmusić do napisania czegoś w tym stylu. Piszesz więc po prostu: „Dla moich siostrzeniczek”.

Mama wraca do domu z nową stojącą lampą, taką specjalnie do czytania. Długi pręt, wystrzelający z podstawy, sięga ci nad głowę i lampa świeci wprost na stronie. W tym tygodniu czytasz kolejno trzy książki, w dzień przy w świetle padającym z okna, a wieczorem przy lampie.

Rodzą się twoje siostrzenice. Otrzymują imiona Sophie i Ava. Bierzesz je na ręce. Są śliczne. Zastanawiasz się, jak to możliwe, że Marie dostała od losu wszystko, czego chciała, a ty... skończyłaś, jak skończyłaś. Wiesz, że to się nazywa litowanie się nad sobą. Nie obchodzi cię to.

Z Chicago przylatuje Olive, żeby się z tobą zobaczyć. Wszyscy są pewni, że zatrzyma się u swoich rodziców, czujesz jednak ogromną ulgę, kiedy mówi, że wolałaby spać na podłodze w twoim pokoju. Nie pyta, jak się czujesz, bo wie, że nie ma na to odpowiedzi. Za to opowiada ci, że ma zamiar zrezygnować z kawy, i prosi, żebyś jej pomogła śledzić na Facebooku faceta, z którym właśnie zaczęła się spotykać. Czujesz się z nią mniej sama i jest to pożądane wytchnienie od miazdzącej samotności, która towarzyszy ci niemal bez przerwy. Kiedy ma wracać i pakuje się, żartujesz, że się z nią zabierzesz i wciśniesz się w

samolocie na półkę nad jej fotelem. Olive mówi: „Pewnie w tej chwili nie potrafisz tego zobaczyć, ale to miejsce jest dobre dla ciebie”.

Któregoś dnia wspomnienia tego, jak poznaliście się z Jessem jako nastolatki i jak się w sobie zakochaliście, wspomnienia, które straszą w każdym zakątku domu i miasta, troszeczkę bledną i stają się możliwe do udźwignięcia. Odważasz się więc wyjść na zewnątrz.

Idziesz do waszej rodzinnej księgarni.

Zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś gotowa, aby spędzić cały dzień poza domem, w chwili gdy załamujesz się przy kolekcji książek Shel Silverstein, którą Marie wyłożyła w kącie sklepu.

Nawet nie bardzo wiesz, dlaczego się załamałaś. Nie ma nic takiego w książkach Shel Silverstein, co by ci przypominało o Jessem. Tyle że Shel Silverstein pisze o tym, co to znaczy być żywym, a ty masz uczucie, że nie jesteś już żywa. Bo nie ma Jessego. Masz uczucie, że kiedy go zabrakło, przestałaś żyć. Wydaje ci się, że reszta dni, które ci pozostały, będą już tylko zabijaniem czasu w oczekiwaniu na śmierć.

Wiesz, że jedyne, co możesz zrobić, to wsiąść do samochodu ojca i pozwolić, żeby cię zawiózł do domu i położył do łóżka.

Potem jednak, w tym łóżku, czujesz się coraz silniejsza. Tak jakbyś, pozwalając płynąć łzom, wydzielała zarazem z siebie ból i cierpienie. Wyobrażasz sobie, że krwawisz smutkiem, że słona woda ciekąca z twoich oczu to ból właśnie. Wyobrażasz sobie, że opuszcza twoje ciało i wsiąka w materac.

Któregoś dnia budzisz się z uczuciem, że jesteś sucha i kompletnie pusta, tak pusta, że gdyby ktoś w ciebie zapukał, odpowiedziałoby mu głucho dudnienie.

Pustka jest strasznym uczuciem, kiedy człowiek przywykł do tego, że wypełnia go radość. Nie jest jednak taka zła, kiedy przywykłaś, że wypełnia cię ból.

Pustka wydaje ci się w porządku.

Pustka wydaje się początkiem.

Co jest miłe, bo od tak dawna miałaś uczucie, że jesteś na końcu.

Prosisz rodziców o nowe łóżko. Robiąc to, czujesz się jak dziecko. Ale w ogóle nie masz pieniędzy, bo od dawna nic nie napisałaś i rzuciłaś pracę w redakcji bloga.

Rodzice nie rozumieją, dlaczego chcesz mieć nowe łóżko, a ty nie możesz im tego wytłumaczyć. Mówisz tylko: „To jest brudne”. Ale chodzi ci o to, że masz uczucie, że łóżko wchłonęło twoje cierpienie. Wiesz, że brzmi to bez sensu, ale wierzysz, że twój ból wsiąkł w materac i nie chcesz go wchłonąć z powrotem.

Wiesz, że to nie takie proste. Ale tak to czujesz.

Dwa tygodnie później masz nowy materac i sprężynową podkładkę. Patrzysz, jak tato umieszcza stare w furgonetce pożyczonej od znajomego. Patrzysz, jak odjeżdża, kierując się w stronę składowiska.

Czujesz, że ci ulżyło. Czujesz się bardziej wolna.

Uświadamiasz sobie, że to się nazywa przesąd.

Ale nie przeszkadza ci to.

Wiesz, że nigdy nie uwolnisz się od smutku do końca. Wiesz, że musisz nauczyć się z nim żyć, radzić sobie z nim.

Zaczynasz rozumieć, że smutek jest chroniczny. Że raczej chodzi o remisję i nawroty, niż o wyzdrowienie. Dla ciebie oznacza to, że nie możesz po prostu czekać, aż przeminie. Musisz się w nim poruszać, brnąć przezeń, tak jak wtedy, kiedy się płynie pod prąd.

Pod koniec urlopu macierzyńskiego Marie rodzice dostają zatrucia pokarmowego. Nie ma nikogo, kto otworzyłby rano księgarnię. Ofiarowujesz się, że zrobisz to ty. Mówią, że nie musisz. Mówią, że mogą poprosić kogoś z personelu. Odpowiadasz, że sobie poradzisz.

Kiedy ci dziękują, zdajesz sobie sprawę, że brakowało ci tego, żeby na tobie polegano. Przypominasz sobie satysfakcję, jaką daje człowiekowi świadomość, że jest użyteczny.

Wstajesz wcześniej, bierzesz prysznic i wsiadasz do samochodu. Kiedy wkładasz klucz w drzwi

księgarni, przychodzi ci do głowy, że Jesse umarł, ale być może twoje życie trwa nadal. Być może potrafisz coś z nim zrobić.

Na trzy dni przed spodziewanym powrotem do pracy Marie mówi rodzicom, że nie chce wracać. Ma w oczach łzy. Mówi, że przykro jej, że sprawia im zawód, ale po prostu chciałaby zostać w domu, z dziećmi. Że nie może sobie wyobrazić, że miałyby być bez nich przez cały dzień. Rodzice są zaskoczeni, ale szybko zaczynają ją popierać.

Tego wieczoru słyszysz przypadkiem, jak o tym rozmawiają. Słyszysz, jak matka pociesza ojca. Mówi mu, że księgarnia wcale nie musi przejść na ciebie albo Marie. I że tak będzie dobrze.

Nazajutrz zaczynają się rozglądać za nowym menedżerem.

Wiesz, co powinnaś zrobić.

Wieczorem każesz im usiąść przy kuchennym stole i prosisz ich o tę pracę. Kiedy pytają, czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz, odpowiadasz, że tak, choć prawda leży gdzieś w szarej strefie pomiędzy „tak” a „nie”.

Zaskoczeni, ale uradowani, rodzice się zgadzają. Mówią, że nic nie mogłoby im sprawić większej radości niż to.

Masz więc teraz pracę.

I tak powoli, dzień za dniem, minuta za minutą, w tempie tak ślimaczym, że niemal nie zauważasz, że w ogóle coś się dzieje, znajdujesz znowu cel życia.

Mieści się tu, w Blair Books, miejscu, od którego całe życie uciekałaś. W kąciку czytelniczym dla dzieci i w zabałaganionym magazynie. W starannie urządzonym stoisku z nowościami na froncie sklepu i w pojemniku z książkami przecenionymi na tyłach. Patrzysz na zakładki do książek. Te, na których jest napisane: „Czytając książki, zwiedzasz świat”.

Ty już zwiedziłaś świat.

W którąś niedzielę Marie i Mike przychodzą z dziewczynkami na obiad i tuż przed deserem Mike wspomina mimochodem, że na wtorek mają umówioną wizytę u specjalisty od słuchu. Wieczorem słyszysz przypadkiem, jak rodzice mówią, że już najwyższy czas. Uświadamiasz sobie, że tak mało przebywaś z siostrzenicami i siostrą, że nawet nie zdawałaś sobie sprawy, że bliźniaczki przestały reagować na własne imiona czy głośne dźwięki.

Po wizycie decydujesz się zadzwonić do Marie. Zamierzasz być uważną siostrą. Zamierzasz być dobrą ciotką.

Marie odbiera we łzach, mimo to udaje ci się zrozumieć, o co chodzi.

Twoje siostrzenice głuchną.

Ma to coś wspólnego z genem o nazwie Connexin 26.

Wieczorem jedziesz do Marie i przynosisz jej to, co zawsze lubiałaś, kiedy miałaś zły dzień. Przynosisz jej dietetyczną colę i lody Ben & Jerry's. Specjalnie poszukałaś kokosowo-czekoladowych, bo wiesz, że jej ulubiony batonik to Almond Joy. Marie wkłada lody do zamrażalnika, a colę zostawia na blacie. Ale ściska cię tak mocno, że na pewno zostaną ci znaki. Trzymasz ją w ramionach i pozwalasz, żeby się wyplakała.

Wyprowadzasz się od rodziców do kawalerki w Cambridge. Mówisz, że to dlatego, że wolisz mieszkać w budynku z piaskowca, ale prawda jest taka, że wyprowadzasz się, bo Olive zgodziła się z tobą, że czas, abyś zaczęła się spotykać z ludźmi. Wszystko jedno jakimi. Nowymi.

Po pięciu miesiącach pracy prosisz rodziców, aby usiedli, i zachęcasz ich, żeby zaczęli sprzedawać e-booki i czytniki. Szkicujesz im plan, jak to zrobić. Kiedy mówią, że jesteś świetna w tym, co robisz, wybuchasz płaczem i tęsknisz za Jessem. Szczęśliwe chwile są najgorsze, ból jest wtedy najsilniejszy. Ale ocierasz oczy, wracasz do pracy, a kiedy wieczorem kładziesz głowę na poduszce, oceniasz ten dzień jako dobry.

Do księgarni przychodzi stary znajomy twojego ojca ze studiów. Chce się z nim widzieć, ale ojca w tej

chwili nie ma. Mężczyzna widzi, że jesteś tu kierowniczką i pyta cię o nazwisko. Mówisz, że nazywasz się Emma Lerner. Mężczyzna marszczy brwi i mówi, że Colinowi zawsze tak zależało, żeby księgarnię przejęła jedna z córek. Mówisz, że właśnie jesteś jedną z córek. Znajomy ojca przeprosza za pomyłkę.

Marie i Mike kupują dom na tej samej ulicy, przy której stoi dom rodziców. Mike będzie miał daleki dojazd do swoich sklepów z artykułami sportowymi, ale dla Marie jest ważne, żeby miała blisko do rodziców.

Kiedy się już wprowadzili, dzwoniś do niej i pytasz, czy nie chciałaby zapisać się z tobą na naukę języka migowego w Bostonie. Mówisz, że strasznie jesteś ciekawa, jak to jest rozmawiać za pomocą rąk. Zgadza się i jest to jedyny czas, który spędza poza domem, bez dzieci. Po paru tygodniach zdajesz sobie sprawę, że stanowisz jedyne życie towarzyskie twojej siostry.

Któregoś dnia po zajęciach Marie proponuje, żebyście poszły razem w mieście na lunch. Zabierasz ją do mongolskiej knajpy z grillem i wpadasz tam na starszego brata Jessego, Chrisa. Mówisz mu cześć, chwilę rozmawiacie, co słyhać, i jesteś zaskoczona, że nie płaczesz.

Kiedy wracacie do metra, Marie pyta, jak się czujesz. Zaczynasz mówić i nagle uderza cię jak obuchem w głowę pewna rzecz. Nieraz zdarzało ci się słyszeć, jak mówią o zmarłych: „Niech pamięć jego będzie błogosławieństwem”. Zdajesz sobie sprawę, że tak właśnie jest.

Jesteś bardziej szczęśliwa, że go znałaś, niż nieszczęśliwa, że go straciłaś.

Zastanawiasz się, czy smutek jest mniej chroniczny, niż myślałaś. Czy remisja może trwać latami.

Pewnego dnia idziesz do fryzjerki, która pyta, czy myślałaś o tym, żeby sobie zrobić pasemka. Mówisz, żeby ci je zrobiła. Wychodząc z salonu, czujesz się jak milion baksów. Zaczynasz planować kolejne wizyty.

Rodzice częściowo odchodzą na emeryturę i przekazują ci księgarnię. Jesteś taka dumna, taka szczęśliwa, tak się palisz do jej przejęcia, że postanawiasz wrócić do dawnego nazwiska. Nazywasz się teraz Blair. Jesteś dumna z tego, że nazywasz się Blair. W dniu, kiedy przychodzi twoje prawo jazdy na nowe nazwisko, płaczesz, spoglądasz w niebo, tak jakby Jesse tam był, i mówisz: „To nie znaczy, że cię nie kocham. To tylko znaczy, że lubię moje pochodzenie”.

Kiedy Marie się dowiaduje, że rodzice przekazali ci sklep, jest zła. Oskarża cię, że go jej zabrałaś. Odpowiadasz, że po prostu podniosłaś piłeczkę, którą ona upuściła. Obie wybuchacie. Ona się drze i ty się drzesz. Marie, wściekła, wrzeszczy: „Och, przestań! I tak wszyscy wiedzą, że jesteś faworytką rodziców. Wspaniała Emma, która zawsze wszystko robi tak, jak mamusia i tatuś sobie życzą”.

Zaczynasz się śmiać. Bo to przecież kompletny absurd.

Po czym zdajesz sobie sprawę, że to prawda.

Stałaś się taka, jaką zawsze chcieli cię widzieć rodzice, i niemal w całości stało się to przez przypadek.

Nigdy nie myślałaś, że kiedykolwiek będziesz chciała mieć do czynienia z książkami, mieszkać w Massachusetts czy być blisko z siostrą. Ale okazało się, że chcesz. I że dzięki temu jesteś szczęśliwa.

Po chwili mówisz sobie: chwileczkę, to coś nie tak. Przecież nie mogę być szczęśliwa.

Bo nie masz jego. Umarł. Więc nie możesz być szczęśliwa, prawda?

Po czym mówisz: stop. I uczciwie pytasz siebie samą: czy jestem szczęśliwa?

I zdajesz sobie sprawę, że być może.

Przepraszasz Marie. Ona przeprosza cię. Mówisz do niej językiem migowym: „Byłam idiotką”. Marie się śmieje.

Trochę później pytasz ją, czy to zdrada wobec Jessego, jeśli czujesz się dobrze, lubisz swoje życie. Marie odpowiada: „Absolutnie nie. Przecież on by tego chciał. To jest właśnie to, czego chciałby dla ciebie”.

Myślisz, że może i ma rację.

Zdejmujesz obrączkę i wkładasz ją do koperty z miłosnymi listami i zdjęciami. Nigdy się jej nie

pozbędziesz, ale nie potrzebujesz jej nosić.

Idziesz znowu do fryzjerki i pytasz, jak myśli, czy byłoby ci dobrze z krótkimi włosami. Odpowiada, że jej zdaniem byłoby świetnie. Ufasz jej. Wracasz do domu ostrzyżona i nie możesz na siebie patrzeć.

Później jednak ogląda twoją nową fryzurę Marie i mówi, że wyglądasz jak gwiazda filmowa. I kiedy ponownie patrzysz w lustro, w pewnym sensie dostrzegasz, o co jej chodziło.

Pół roku później postanawiasz kupić pianino.

I ten krok – wejście do sklepu z instrumentami muzycznymi – nadaje bieg twojemu drugiemu życiu.

Mogłam zacząć od nauki gry na pianinie. Zdecydowałam się jednak skoczyć na głowę. Chciałam mieć coś, czym mogłabym zająć ręce w domu po pracy. Mogło to być albo pianino, albo gotowanie, a gotowanie, cóż, wydawało się zajęciem brudnym.

Znalazłam więc sklep z używanymi instrumentami w Watertown i w niedzielę po południu tam pojechałam.

Kiedy wchodziłam, zadźwięczał potrącony dzwoneczek w drzwiach, które zamknęły się za mną automatycznie. Wnętrze sklepu, wypełnione rzędami gitar, lekko pachniało skórą. Znalazłam stojak z czasopismami i przerzuciłam je przez chwilę, niepewna, czego właściwie szukam.

Nagle poczułam się niezręcznie i kompletnie nie w swoim żywiole. Nie wiedziałam, o co pytać ani komu zadawać pytania.

Otoczona przez saksofony, trąbki i inne instrumenty, których nie potrafiłabym nawet nazwać, zdałam sobie sprawę, że to nie moja liga. Poczułam pokusę, żeby zrezygnować, odwrócić się i wyjść. Odłożyłam czasopisma, cofnęłam się o krok i wpadłam na dwa bębny z brązu. Potrącone, wydały głośny brzdęk. Ustawiałam je na powrót i rozejrzałam się, czy ktoś mnie widział.

O parę metrów ode mnie stał sprzedawca. Spojrzał na mnie z uśmiechem.

Nieśmiało oddałam mu uśmiech i wróciłam do stojaka z magazynami.

– Hej – powiedział sprzedawca. Stał już obok mnie. – Czy gra pani na kotłach?

Podniosłam wzrok i w tej samej sekundzie, kiedy go rozpoznałam, zobaczyłam rozpoznanie i w jego oczach.

– Sam?

– Emma Blair... – wykrztusił, zdumiony.

– O Boże... – powiedziałam. – Sam Kemper! Nawet nie wiedziałam... Nie widzieliśmy się od...

– Dziesięciu lat, albo i więcej – uzupełnił. – O rany... Wyglądasz... wyglądasz znakomicie.

– Dziękuję – powiedziałam. – Ty też.

– Jak się mają rodzice?

– Dobrze, dziękuję.

Na chwilę zapadła cisza. Wpatrywałam się w niego, zaskoczona, że tak się zmienił. Próbowałam sobie przypomnieć, czy zawsze miał takie wspaniałe oczy. Brązowe, ciepłe, wydawały się takie miłe i ciepłe, tak jakby na wszystko patrzyły ze współczuciem. A może po prostu projektowałam na jego twarz to, co przechowała o nim moja pamięć.

Nie było jednak wątpliwości, że wyrósł na atrakcyjnego mężczyznę. Twarz mu nieco wyszczuplała i nabrała charakteru.

Zdałam sobie sprawę, że się na niego gapię.

– Grasz teraz na kotłach? – spytał Sam.

Popatrzyłam na niego, jakby mówił po francusku.

– Co?

Wskazał na dwa stojące za mną bębny.

– Zobaczyłem cię koło kotłów i pomyślałem, że może zaczęłaś na nich grać.

– Och, nie – podparłam. – Nie, nie. Znasz mnie. Nigdy na niczym nie grałam. To znaczy, oprócz tego,

że kazali nam się kiedyś uczyć *Miała Marysia małą owieczkę* na flecie prostym, ale to się chyba nie liczy.

Sam się roześmiał.

– Nie były to, ściśle biorąc, kotły, ale myślę, że się liczy.

– Nie wszyscy mogą grać na keptylionie instrumentów, czy ile ich tam było, tak jak ty. Na szczęście, tak?

Sam uśmiechnął się wstydliwie.

– Właściwie od tamtej pory doszło parę. Większość jednak na poziomie amatorskim

– A ja tu wyskakuję ze swoim fletem... Oj! – krzyknęłam, nagle sobie przypominając. – Przecież grałam też na cymbałkach palcowych! Na koncercie gwiazdkowym w czwartej klasie. To już dwa!

Roześmiał się.

– No to jesteś ekspertką! To ja powinienem zadawać ci pytania.

Podjęłam grę, udając skromnego geniusza.

– No cóż, cymbałki palcowe to podstawa. W zasadzie wystarczą dwie okrągłe blaszki, które mocujemy do palców, po czym uderzamy nimi o siebie, tak by wydały brzęczący dźwięk. – I aby zademonstrować, ochoczo uderzyłam jednym palcem wskazującym o drugi. – W cymbałkach palcowych chodzi przede wszystkim o śmiałość i rozmach.

Znowu się roześmiał. Zawsze czułam się przy nim jak najdowcipniejsza osoba pod słońcem.

– No, a opanowanie tej podstawy otwiera nieograniczone wprost możliwości – ciągnęłam. – Znam dziewczynkę, która zaczęła od cymbałków palcowych, a teraz gra na prawdziwych cymbałkach.

Poczułam lekkie zakłopotanie, tak jakbym bezpodstawnie potraktowała jego śmiech jako licencję na odgrywanie komedii jednego aktora. On jednak znowu się roześmiał. Z całego serca. I mój niepokój zniknął.

– Właściwie to wszystko nieprawda. To znaczy, owszem, grałam na cymbałkach palcowych, ale... zastanawiam się nad nauką gry na pianinie. I dlatego stoję tu z głupią miną, bo nie wiem, od czego zacząć.

– Ach tak. – Sam pokiwał głową. – No więc jeśli interesuje cię moja opinia...

– Interesuje – przerwałam. – Twoja opinia to jest dokładnie to, czego potrzebuję.

Uśmiechnął się.

– W takim razie uważam, że powinnaś kupić któreś z pianin Yamaha PSR, tam, za perkusyjnymi. Mają tylko sześćdziesiąt jeden klawiszy i klawisze nie są ważone, ale jeśli dopiero zaczynasz i nie wiesz na pewno, czy będzie to twoja życiowa pasja, to myślę, że głupio byłoby wydawać czterysta baksów na keyboard. Ale to ja tak uważam.

– Nie, to świetna rada. Chciałbyś mi pokazać któreś z tych pianin, o których mówisz?

– O – powiedział, jakby zdziwiony, że go naprawdę słuchałam. – Jasne. Myślę, że mają tu jakieś.

Odwrócił się i ruszył w głąb sklepu. Poszłam za nim.

– Dalej dużo grasz na pianinie? – spytałam.

Obejrzał się lekko i skinął głową.

– Tak, dla przyjemności. – Zatrzymał się przy krótkim czarnym keyboardzie na stojaku. – Ten powinien być dla ciebie w sam raz.

Uderzyłam w parę klawiszy. Wydawały jedynie głuchy stuk, powstały skutek fizycznego uderzenia klawisza o podstawę.

– Chyba nie jest włączony – zauważył Sam.

– A tak. Rzeczywiście, to ma sens. – Byłam słusznie zawstydzona – próbowałam grać na wyłączonym z gniazdka keyboardzie... Ostatni raz byłam podobnie zakłopotana parę miesięcy temu, kiedy klientka zwróciła mi uwagę, że mam rozpięty zamek w spodniach. – Ile kosztuje?

– Och, hm... – Schylił się, szukając ceny. Była o połowę niższa niż kwota, którą spodziewałam się wydać.

Postanowiłam chwycić okazję.

– Okej, biorę go.

Roześmiał się.

– Mówisz poważnie?

– Tak – powiedziałam. – Od czegoś muszę zacząć, no nie?

– Chyba masz rację.

Zapadła cisza.

– O rany – powiedziałam. – Nie mogę uwierzyć, że na ciebie wpadłam.

– No! – podchwycił. – Niewielką mieliśmy szansę.

– No, skoro mieszkamy w tym samym mieście, to raczej sporą.

Sam się roześmiał.

– Po prostu zakładałem, że mieszkasz gdzieś w Kalifornii.

Skinęłam głową, niepewna, ile Sam wie.

– Taak... No więc... teraz już wiesz.

Sam pokiwał posępnie głową.

– Taak – powiedział. – Rozumiem.

Teraz już wiedziałam, że wie o wszystkim. I moim odruchem było uciec od niego jak najdalej i jak najszybciej.

– No to moi rodzice bardzo się ucieszą, jak im powiem, że dobrze ci idzie – powiedziałam i wyciągnęłam do niego rękę. – Dziękuję ci za pomoc, Sam. Fajnie, żeśmy się spotkali.

Widziałam, że jest wyraźnie zaskoczony tym nagłym zakończeniem rozmowy.

– No, bardzo fajnie – powiedział.

Po czym przeprosiłam go i ruszyłam do kasy.

– Czy ktoś pani pomógł w zakupie? – spytała kobieta za kontuarem, zwracając mi kartę kredytową.

– Hm? – Wzięłam kartę i umieściłam we właściwej przegródce w portfelu.

– Czy ktoś z personelu pomógł pani wybrać instrument?

– O tak – powiedziałam. – Sam mi pomógł. Jest świetny.

– Sam?

– Tak.

– Nie mamy żadnego pracownika o tym imieniu.

Przez moment myślałam, że znalazłam się w rzeczywistości alternatywnej.

– Sam Kemper – powtórzyłam. – Właśnie doradził mi ten keyboard.

Kobieta pokręciła głową, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

Odwróciłam się, rozejrzałam po sklepie, po czym wspierałam się na palce, żeby lepiej widzieć. Nigdzie go nie było. Przyszło mi do głowy, że być może zwariowałam.

– Metr osiemdziesiąt parę wzrostu, w czarnym podkoszulku, lekki zarost... – W spojrzeniu kasjerki pojawił się jakby domysł, więc nacisnęłam. – Bardzo ładne oczy...?

– Ach, tak... No to chyba wiem, o kogo pani chodzi.

– Super.

– Ten człowiek tu nie pracuje – powiedziała.

– Jak to nie pracuje? Co pani przez to rozumie?

– To klient. Ale często tu bywa.

Zamknęłam oczy i westchnęłam. Cały czas rozmawiałam z nim tak, jakby był sprzedawcą...

– Mój błąd – powiedziałam. – Idiotka ze mnie.

Roześmiała się.

– Niech się pani nie przejmuje. – Podała mi paragon. – Pomóc pani zanieść instrument do samochodu?

– Hm... – Popatrzyłam na keyboard i zdecydowałam, że dam radę sama. – Dziękuję, nie trzeba. Do widzenia.

Wzięłam keyboard i ruszyłam do drzwi, wypatrując po drodze Sama. Dostrzegłam go dopiero przy drzwiach. Schodził po schodach.

– Sam! – zawołałam.

– Emma! – Jego intonacja była identyczna jak moja.

– Jesteś jeszcze! A ja myślałam, że poszedłeś.

– Byłem na górze. Oglądałem baby grandy.

Przyznam, że chwilkę mi zajęło, zanim zdałam sobie sprawę, że baby grand to nie jest jakiś batonik.

– Ojej, czyli że kupujesz fortepian gabinetowy – powiedziałam, odstawiając na chwilę keyboard. – Kolejny dowód, że tu nie pracujesz.

Uśmiechnął się.

– Przepraszam, że wzięłam cię za sprzedawcę. To pewnie dlatego, że pracowałeś u nas w księgarni i... Wszystko jedno, tak czy siak wyszłam na głupią, kiedy przy płaceniu próbowałam zostawić dla ciebie prowizję od mojego zakupu.

Sam się roześmiał.

– Wiesz, pod koniec zacząłem podejrzewać, że bierzesz mnie za kogoś z personelu, ale nie wiedziałem, jak wyjaśnić sytuację, żeby...

– Żeby nie poczuła się jak idiotka?

Zaśmiał się.

– Coś w tym stylu.

– No dobrze, w takim razie ogłaszam oficjalnie, że czuję się jak idiotka.

– Niepotrzebnie – rzekł. – To dla mnie przyjemność, że mogłem ci pomóc. Naprawdę. Tak miło znowu cię zobaczyć. – Szczerość w jego spojrzeniu, kiedy na mnie patrzył, była rozbrajająca. I nie byłam pewna, czy mi się to podoba, czy nie. Może i się podoba.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziałam. – Bardzo mi pomogłeś.

– Potrzebujesz może lekcji? – spytał. – Jakbyś chciała, to może mógłbym... cię uczyć? Jak myślisz? Pokazałbym ci parę rzeczy, tak na początek.

Patrzyłam na niego, niepewna, jak zareagować.

– A jeśli nie, to być może mógłbym cię po prostu zabrać czasem na drinka.

Świadomość tego, co właśnie ma miejsce, uderzyła we mnie jak fala. Nie ta niewielka, która liże ci stopy i moczy rąbek dzinsów, kiedy spacerujesz po plaży. Jak ta, która, gdy wychodzisz z wody zwrócona plecami do oceanu, nagle pojawia się nie wiadomo skąd i zwała cię z nóg.

– O Boże – powiedziałam zdumiona. – Czy ty mnie zapraszasz na randkę?

Zanim zdążył to ukryć, dostrzegłam opadnięcie jego ramion i przemykający po twarzy wyraz rozczarowania.

– Próbowałem to zrobić subtelnie i od niechcienia. Być może na taką, co to żadne z nas nie byłoby pewne, czy to randka, czy nie – powiedział, a potem pokręcił głową. – Minęło ponad dziesięć lat, a ja jestem w tym tak samo kiepski, jak za pierwszym razem, no nie?

Poczułam, że się rumienię, a mój rumieniec sprawił, że zarumienił się i Sam.

– Przepraszam – powiedział. – Właśnie kończę naprawdę długi związek, więc wyszedłem z wprawy. Możesz mi nie wierzyć, ale na studiach bardzo dobrze umiałem rozmawiać z kobietami. Jak zawsze mówi mój tato, bądź bezpośredni, ale...

Spojrzał na mnie tak, jakby ujawnił przede mną jakiś okropny sekret. Uszczypnął się w nos.

– Czyżbym się właśnie przyznał, że radzę się ojca w sprawie randek?

Zaśmiałam się. Po cichu. Śmiechem typu: „Tak, właśnie tak, ale nie szkodzi”.

I właśnie wtedy sobie przypomniałam, że zawsze go lubiłam.

Lubiłam go.

Był przystojny. I miły. I uważał mnie za dowcipną.

– Nie ma sprawy – powiedziałam. – Popatrz: ja cię wzięłam za sprzedawcę. Ty radzisz się ojca, jak podrywać dziewczyny. Jeśli chodzi o interakcje społeczne, to jesteśmy jak Tweedeldee i Tweeldum z *Alicji w krainie czarów*.

Roześmiał się. Najwyraźniej mu ulżyło.

Poczułam, że chcę się z nim spotkać jeszcze raz. Taka była prawda. Chciałam spędzić z nim więcej czasu. Chciałam być blisko niego.

– To może zrobimy tak – zaproponowałam. – Ty mnie nauczysz walczyka *Chopsticks*, a ja ci postawię piwo.

– Wiesz co, jeśli chodzi ci właśnie o *Chopsticks*, to mam świetny pomysł.

Popatrzyłam na niego z ciekawością.

Wziął mój keyboard i ruszył po schodach, a ja za nim. Chybotliwe, wąskie stopnie prowadziły do sali wypełnionej potężnymi instrumentami. Kilka klasycznych pianin, harfa, wiolonczela. Sam poprowadził mnie do lśniącego czarnego fortepianu baby grand. Odstawił keyboard i siadł przy klawiaturze, po czym zapraszającym gestem poklepał miejsce obok siebie na ławeczce. Usiadłam.

Spojrzał na mnie i delikatnie położył dłonie na klawiszach. Potem schylił się lekko i zaczął grać *Chopsticks*.

Patrzyłam, jak jego ręce biegają po klawiaturze. Wydawało się, jakby same z siebie, instynktownie wiedziały, co robić. Miał ładne dłonie, silne, ale delikatne. Krótko obcięte, czyste paznokcie, długie, szczupłe palce. Wiem, że kobiety twierdzą czasem, że lubią, kiedy mężczyzna ma na rękach odciski i zgrubiałe stawy, kiedy ręce pokazują jego siłę i twardość. Patrząc jednak na dłonie Sama, uznałam, że to błędny sposób myślenia. Podobała mi się ich zwinność i niemal elegancja. Bezwiednie spojrzałam na nadgarstki, potem wyżej, na ramiona i barki.

Obserwując jego grę, przypomniałam sobie, jaki jest zręczny, biegły, utalentowany – i złapałam się na tym, że myślę, co jeszcze potrafiłby tymi rękami zrobić.

Wydaje ci się, że wiesz, kim jesteś, że znasz na pamięć swoją tożsamość, że opatrzona podpisem i zapieczętowana spoczywa raz na zawsze w pudełku z napisem „ja” – i w jakiejś chwili do ciebie dociera, że pociągają cię muzycy, że „biegły” znaczy dla ciebie „seksowny”, i musisz na nowo przemyśleć wszystko, co o sobie wiesz.

Sam przestał grać.

– W porządku, teraz ty.

– Ja? – zdumiałam się. – Nawet nie wiem, jak zacząć.

Sam przycisnął biały klawisz tuż przede mną. Posłusznie położyłam na nim palec wskazujący.

– Spróbuj tym – powiedział i położył na klawiszu mój środkowy palec.

Skinęłam głową.

– A teraz uderz w klawisz, o tak.

Rytmicznie uderzył w inny klawisz, sześć razy.

Zrobiłam więc to samo z moim klawiszem.

– A teraz uderz w ten – wskazał kolejny.

Robiłam wszystko, co mi kazał. Miałam patrzeć na klawisze, ale równie często popatrywałam na niego. Raz czy dwa mnie na tym przyłapał. Szybko zwróciłam spojrzenie na własne palce i klawisze, na których spoczywały.

Grałam powoli i niemelodyjnie. Palce to się wahały, to znów poruszały się za szybko, jakby wystraszone. Można było jednak rozpoznać słaby przejaw moich własnych ruchów.

Nasze ciała ocierały się o siebie. Wciąż dotykał palcami moich.

– W porządku – powiedział. – Jak myślisz, potrafiłabyś teraz zagrać to szybko? Ja będę w tym czasie grał swoją partię.

– Okej – odparłam. – Myślę, że dam sobie radę.

Położyłam palec na pierwszym klawiszu. On swój, leciutko, na klawiszu tuż poniżej.

– Zaczynamy na trzy – powiedział. – Raz... dwa... trzy.

Uderzyłam w mój klawisz.

On uderzył w swój.

I poszło.

La la la la la La la la la la La la la la La la la...

Chopsticks.

Graliśmy tylko parę sekund, bo natychmiast skończyły się nuty, które znałam. Trochę onieśmielona, złożyłam ręce na kolanach. Jakaś część mnie liczyła, że będziemy grać dalej. Ale ręka Sama zatrzymała się i spoczęła łagodnie na klawiaturze. Spojrzał na mnie.

– No to już umiesz zagrać *Chopsticks*. Co z piwem?

Roześmiałam się.

– Jesteś sprytniejszy, niż myślisz.

– Tato mówi, że trzeba być wytrwałym – zażartował. Był pewny siebie. Pełen nadziei.

Pomyślałam o tym przez chwilę.

Pomyślałam, jak miło byłoby zamówić gimlet i siedząc przy stoliku, rozmawiać z kimś, kto jest zarazem przystojnym mężczyzną i starym znajomym.

Kiedy jednak Sam patrzył na mnie, czekając na odpowiedź, nagle poczułam ostry lęk. Prawdziwy lęk.

To nie będzie kolacja ze starym znajomym.

To będzie randka.

Nie mogę się tak po prostu rzucić w coś takiego.

Patrzyłam na uśmiech Sama. W miarę jak kazałam mu czekać, bladł.

– Innym razem – powiedziałam. – Dobrze?

– Jasne – powiedział. – Oczywiście. Nie ma sprawy.

– Naprawdę tego chcę – zapewniłam go.

– Ależ rozumiem.

– Po prostu mam coś do zrobienia.

– Spoko.

– Dam ci mój numer. – Chciałam, żeby wiedział, że naprawdę chcę się z nim zobaczyć, że naprawdę jestem zainteresowana. – Być może będziemy mogli spotkać się w weekend.

Sam uśmiechnął się i podał mi swój telefon.

Zadzwoiłam do siebie, tak że jego numer pokazał się i w mojej komórce. Oddałam mu telefon.

– Muszę iść – powiedziałam. – Ale niedługo się zdzwonimy?

– Jasne – powiedział. – Super.

– Naprawdę miło mi było cię zobaczyć.

– Mnie ciebie też, Emma. Poważnie.

Podał mi rękę. Wymieniliśmy uścisk dłoni, ale rozłączyliśmy je dopiero po sekundzie zwłoki. W rezultacie wyszło coś pomiędzy zwykłym gestem pożegnania a wzięciem za rękę.

Wracając do domu, z keyboardem w bagażniku i numerem Sama w telefonie, złapałam się na tym, że zastanawiałam się, czy mogłabym być z kimś takim jak Sam, czy Sam może coś dla mnie znaczyć.

Zawsze miałam do niego słabość, zawsze mi na nim jakoś zależało. I może już czas, żebym poszła na jakąś randkę z przyjemnym facetem? Przyjemnym facetem, który zawsze był dla mnie dobry, któremu kiedyś, w liceum, mogłam nawet powiedzieć „tak”, gdyby sprawy ułożyły się inaczej.

Dobre rzeczy nie czekają, aż będziemy gotowi. Czasem przychodzą tuż przedtem, kiedy jesteśmy niemal gotowi.

Pomyślałam, że kiedy się to wydarza, możemy pozwolić, by nas minęły, jak autobus, na który nie czekamy. A możemy się też zmobilizować i sprawić, że będziemy gotowi.

Więc się zmobilizowałam. I byłam.

Myślałam o tym całą noc. Rzuciałam się po łóżku i przewracałam z boku na bok. Po czym rano, w drodze do księgarni, napisałam do Sama SMS-a.

„Piątek koło 19.30? Gdzieś w Cambridge? Ty wybierasz”.

Było tuż przed dziewiątą. Nie liczyłam, że odpowie o tej porze.

Ale telefon piknął natychmiast.

„Mc Cools na Avery Street?”

No proszę.

Umówiłam się na randkę.

Z Samem Kemperem.

Nigdy dotąd się nie zdarzyło, żebym za jednym zamachem była radośnie podekscytowana i miała mdłości.

Co ja mam zrobić, jeśli się zdarzy, że coś do kogoś poczuję?

Może to nie będzie Sam. Może to będzie dopiero za parę lat. Kiedy jednak uświadamiasz sobie, że chcesz, aby w twoim życiu była miłość, oznacza to, że musisz pozwolić jej wejść do twojego życia.

A to z kolei znaczyło, że muszę pozwolić Jessemu odejść.

Nie potrafiłam wymyślić innego sposobu na to, innej formy załatwienia tego, niż wyrażenie tego w słowach. Wieczorem po pracy usiadłam więc na kanapie, wzięłam kartkę i długopis i napisałam list.

Drogi Jesse!

Nie ma cię już ponad dwa lata, ale nie było w tym czasie ani jednego dnia, żebym o tobie nie myślała.

Czasem wspominam twój słony zapach, kiedy poszedłeś popływać w oceanie. Albo się zastanawiam, czy podobałby ci się film, który właśnie obejrzałam. Kiedy indziej przypomina mi się po prostu twój uśmiech. Pamiętam, że robiły ci się przy tym kurze łapki w kącikach oczu, a ja za każdym razem zakochiwałam się w tobie odrobinę bardziej.

Myślę o tym, jak mnie dotykałeś. Jak ja dotykałam ciebie. Bardzo często o tym myślę.

Z początku wspomnienia o tobie strasznie bolały. Bolały tym bardziej, im więcej myślałam o twoim uśmiechu, twoim zapachu. Ale lubiłam się dręczyć. Lubiłam ból, bo ból to byłeś ty.

Nie wiem, czy istnieje właściwy i niewłaściwy sposób przeżywania żałoby. Wiem tylko, że utrata ciebie przemaglowała mnie tak, że nie sądziłam, by to było możliwe. Ból, który czułam, był naprawdę nieludzki.

Czasami traciłam od tego rozum. (Powiedzmy szczerze, że wtedy na dachu byłam trochę szalona).

Czasami byłam bliska załamania.

I cieszę się, że mogę ci powiedzieć, że teraz przyszedł czas, kiedy wspomnianie ciebie jest dla mnie taką radością, że na samą myśl o tobie się uśmiecham.

Cieszę się też, że mogę ci powiedzieć, że jestem silniejsza, niż mi się kiedykolwiek zdawało.

Znalazłam sens życia. Nigdy bym nie myślała, że znajdę go w tym, w czym go znalazłam.

A teraz zaskakuję siebie samą jeszcze raz: zdałam sobie sprawę, że jestem gotowa pozostawić przeszłość za sobą i pójść naprzód.

Kiedyś myślałam, że smutek i żaloba są chroniczne, że jedyne, co można zrobić, to docenić dobre dni i przyjąć je tak samo jak złe. Potem zaczęło mi się wydawać, że być może dobre dni to nie są tylko dni, że mogą to być dobre tygodnie, miesiące, lata.

Teraz przychodzi mi do głowy, że być może żaloba jest jak skorupa.

Nosisz ją długo, po czym któregoś dnia zdajesz sobie sprawę, że z niej wyrosłeś.

Więc ją zostawiasz.

Nie znaczy to, że chcę odrzucić wspomnienia o tobie czy o tym, jak cię kochałam. Ale owszem, znaczy to, że chcę odrzucić smutek.

Nigdy cię nie zapomnę, Jesse. Nie chcę tego i nie sądzę, żebym była do tego zdolna.

Ale owszem, myślę, że potrafię odrzucić ból. Myślę, że mogę odłożyć go i odejść, i odwiedzać go tylko raz na jakiś czas, ale nie nieść go dłużej ze sobą.

I nie tylko myślę, że potrafię to zrobić. Myślę, że tego potrzebuję.

Zawsze cię będę miała w sercu, ale nie mogę już dłużej dźwigać na plecach ciężaru utraty ciebie. Gdybym dźwigała nadal, to nigdy więcej nie znalazłabym żadnej nowej radości. Zmiażdżyłby mnie ciężar wspomnień o tobie.

Muszę spojrzeć przed siebie, w przyszłość, w której nie może cię być. A nie do tyłu, w przeszłość wypełnioną tym, co było między nami.

Muszę pozwolić ci odejść i muszę cię poprosić, abys pozwolił odejść mnie.

Wierzę, że jeśli będę ciężko pracować, potrafię stworzyć sobie życie, jakiego zawsze dla mnie chciałeś. Szczęśliwe. Satysfakcjonujące. Takie, w którym jestem kochana i sama kocham.

Potrzebuję twojego pozwolenia, żebym znalazła w sobie przestrzeń na miłość do kogoś innego.

Przykro mi, że nie będziemy mieli przyszłości, o jakiej tyle rozmawialiśmy. Nasze wspólne życie byłoby wspaniałe.

Mimo to wychodzę teraz do świata z otwartym sercem. I zamierzam iść wszędzie, dokądkolwiek zanieś mnie życie.

Mam nadzieję, że wiesz, jakie to było cudowne i wyzwalające – kochać cię, kiedy tu byłeś.

Byłeś miłością mojego życia.

Może to samolubne – chcieć więcej, może to chciwość – pragnąć jeszcze raz takiej miłości.

Ale nic nie mogę na to poradzić.

Pragnę jej.

Dlatego zgodziłam się na randkę z Samem Kemperem. Lubię myśleć, że ze względu na mnie też byś go lubił, że byś go zaakceptował. Ale chcę też, żebyś wiedział, w razie gdyby nie było to oczywiste bez słów, że nikt nigdy nie zastąpi ciebie. Chodzi po prostu o to, że potrzebuję jeszcze w życiu miłości.

I proszę cię o błogosławieństwo, bym mogła ją znaleźć.

Kocham cię,

Emma

Przeczytałam list, i jeszcze raz, i jeszcze. Po czy złożyłam go, włożyłam do koperty, napisałam na niej jego imię i odłożyłam.

Poszłam do łóżka i zasnęłam.

Spałam twardo. Obudziłam się, gdy w okno uderzyły pierwsze promienie słońca. Czułam się wypoczęta i odrodzona, tak jakbym w pełni zgadzała się ze światem co do tego, kiedy powinno wzejść słońce.

Kiedy weszłam do baru, Sam miał na sobie koszulę z ciemnego dżinsu i szare płócienne spodnie. Sprawiał wrażenie, jakby położył sobie na włosy trochę żelu, a kiedy podeszłam, żeby go objąć na powitanie, poczułam zapach wody kolońskiej.

Wiedziałam, że to randka. Chciałam, żeby to była randka.

Ale woda kolońska, mieszanka woni lasu i cytrusów, sprawiła, że stało się to jasne jak słońce.

Podobałam się Samowi.

A on podobał się mnie.

I może o to tylko chodzi.

Wiedziałam, że to nie takie proste. Ale może powinno być.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział Sam.

Kiedy szykowałam się tego wieczoru do wyjścia, włożyłam obcisłą czarną spódniczkę i czarno-biały pasiasty podkoszulek z długimi rękawami, opinający to, co we mnie najlepsze. Od lat nie włożyłam tyle wysiłku w malowanie rzęs. Kiedy się posklejały, użyłam do rozdzielenia agrafki, tak jak to widywałam w dzieciństwie u mamy.

Potem włożyłam blad różowe baleriny i ruszyłam w stronę drzwi.

Wychodząc, złowiłam w lustrze moje odbicie.

Coś było nie tak. Nie, nie. Wróciłam i zmieniłam balerinki na czarne szpilki. Nagle moje nogi zaczęły wyglądać na dłuższe, niż miałyby prawo.

Zadowolona, ruszyłam do łazienki i obrysowałam kontury warg purpurową kredką, po czym wypełniłam środek szminką o nazwie Rosyjska Czerwień. Użyłam jej dotąd tylko raz, kiedy zabrałam Marie na elegancką kolację w Back Bay. Ale podobała mi się wtedy. I podobała mi się teraz.

Kiedy wróciłam do wyjścia i jeszcze raz rzuciłam okiem w lustro, poczułam się bliska niezniszczalności.

Wyglądałam dobrze.

Wiedziałam, że wyglądam dobrze.

To był mój dobry wygląd.

– Dziękuję – powiedziałam do siedzącego przy barze Sama. Zaciśnęłam wargi i usiadłam koło niego na wysokim stołku. – Ty też nienajgorzej.

Podeszła barmanka, wysoka, efektowna kobieta o długich ciemnych włosach, i spytała mnie, czego chcę się napić. Szybko przejrzałam listę ich firmowych koktajli i żaden jakoś nie przemówił mi do wyobraźni. Wszystkie wyglądały jak rozmaite mieszanki soków owocowych z wódką.

– Może gimlet? – powiedziałam.

Skinęła głową, odwróciła się i zabrała do przyrządzania.

– A ty co masz? – spytałam Sama. Stało przed nim jasne piwo beczkowe. – Mam nadzieję, że nie płaciłeś za nie. To miała być moja działka.

Sam popatrzył na mnie i uśmiechnął się przepaszająco.

– Kazali mi zapłacić od razu, jak przynieśli. Ale to znaczy tylko tyle, że będziesz musiała mi zamówić drugie.

– Racja.

Barmanka postawiła przede mną drink, a ja podałam jej kartę kredytową. Zniknęła.

– Ale wiesz, jako drugie piwo zamierzałem zamówić najdroższe, jakie mają w karcie.

Siedzieliśmy oboje twarzą do baru i rzucaliśmy na siebie spojrzenia, zwracając głowę w bok.

– Nie ma sprawy – powiedziałam. – Chociaż tak mogę ci się odwdziżyć za to, że nauczyłeś mnie tego. – I zagrałam prawą ręką *Chopsticks*, tak jakby blat baru to była klawiatura.

Sam przechylił się w moją stronę, żeby sprawdzić.

– Bardzo dobrze! – powiedział, kiedy skończyłam.

– A z plusem? – spytałam.

Pomyślał chwilę, sącząc piwo.

– A z minusem – powiedział, odstawiając szklanekę. – Do pełnego A odrobinę ci zabrakło.

– Co? Niby co zrobiłam nie tak?

– Opuściłaś jedną nutę.

– Nieprawda! – zawołałam.

– Ależ tak. Zrobiłaś tak. – Zagrał na barze tymi samymi palcami co ja przed chwilą. – A powinno być tak. – Znowu zagrał. Wyglądało to zupełnie tak samo jak za pierwszym razem.

– Nie ma żadnej różnicy.

Sam roześmiał się i pokręcił głową.

– Nieee. Jest.

– Zagraj jeszcze raz.

– Znaczy, którą wersję?

– Obie. Zagraj tak jak ja, a potem pokaż, jak ma być.

Zaczął powtarzać moje ruchy.

– Nie, nie! – zawołałam. – Wolniej! Tak żebym mogła uchwycić różnicę.

Zaczął od nowa, wolniej.

Zagrał tak jak ja.

A potem jak należy.

Jest! Przy samym końcu. Opuściłam jeden klawisz.

– Ożeż! – powiedziałam z uśmiechem. – Spaprałam robotę.

– I tak jesteś bardzo dobra jak na początkującą.

Spojrzałam na niego z powątpiewaniem.

– To znaczy – powiedział, zwracając się całym ciałem w moją stronę – bardzo ładnie grasz na barze.

Przewróciłam oczami.

– Poważnie, naprawdę. Jakbyś się przyłożyła, idę o zakład, że byłabyś naprawdę dobra.

– Pewnie mówisz to wszystkim dziewczynom – powiedziałam i zbyłam jego komplement machnięciem ręki. Z gracją ujęłam napełniony po brzegi kieliszek i ostrożnie podniosłam go do ust. Gimlet smakował słodko i czysto. Alkohol był ledwie wyczuwalny.

– Tylko moim uczennicom – powiedział.

Spojrzałam na niego zmieszana.

– To chyba dobry moment, żeby ci powiedzieć, że jestem nauczycielem muzyki – wyjaśnił

Uśmiechnęłam się.

– O, super! Idealny zawód dla ciebie.

– Dzięki – rzekł. – A ty? Jesteś, zdaje się, wielką reporterką-podróżniczką? Moja mama mówiła, że widziała kiedyś twoje nazwisko w „Travel+Leisure”.

– Taak – zaśmiałam się. – Kiedyś byłam... Zajmowałam się tym przez jakiś czas. Ale teraz... nie, teraz po prostu prowadzę księgarnię.

– Niemożliwe – powiedział Sam z niedowierzaniem.

– Zaskakujące, wiem. Ale prawdziwe.

– No nie. Największe marzenie Colina Blaira... Jedna z Blairównien prowadzi księgarnię Blair Books! Roześmiałam się.

– Wygląda na to, że marzenia się spełniają. W każdym razie marzenia mojego taty.

– A nie twoje? – spytał Sam.

– Jak wiesz, z początku nie było to moim marzeniem. Ale zaczynam myśleć, że człowiek nie zawsze wie, jakie są jego marzenia. Czasem trzeba wpaść na marzenie i zderzyć się z nim, żeby je rozpoznać.

– No, no... To wypijmy za to. – Wyciągnął w moją stronę butelkę, a ja stuknęłam o nią kieliszkiem. – Czy mogę na chwilę zmienić temat?

– Proszę bardzo.

– Wygląda na to, że z czasem jeszcze bardziej wypiękniałaś.

– Och, przestań – powiedziałam, odpychając go żartobliwie.

Flirtowałam. Ja. Ja flirtowałam.

Jak przyjemnie jest flirtować. Nikt mi nigdy o tym nie mówił. W tej chwili jednak miałam wrażenie, że to właśnie flirt jest tym, dzięki czemu kręci się ziemia.

Ekscytujące oczekiwanie, co teraz powie ten drugi. Radosna świadomość, że ktoś na ciebie patrzy i że mu się podobasz. Podniecenie faktem, że ty patrzysz na kogoś i to, co w nim widzisz, jest fajne. Flirtowanie to prawdopodobnie w takim samym stopniu zakochanie się w sobie samym, co zakochanie się w drugiej osobie.

Patrzysz na siebie cudzymi oczami i uświadamiasz sobie, że jest w tobie mnóstwo rzeczy, które mogą się podobać, mnóstwo powodów, by ktoś spijał ci z ust każde słowo.

– Czyli że jesteś nauczycielem muzyki – podjęłam. – A gdzie masz zajęcia?

– Właściwie to niedaleko Blair Books. W college'u Concord.

– Poważnie? – zdumiałam się. – To jesteś tak blisko i nigdy nie wstąpiłeś, żeby się przywitać?

Sam spojrzał na mnie.

– Gdybym wiedział, że tam jesteś – powiedział szczerze – to możesz być pewna, że bym wstąpił.

Nie mogłam powstrzymać wykwitającego mi na twarzy uśmiechu. Ujęłam kieliszek i upiłam łyk. Szklanka Sama była już prawie pusta.

– Może zamówię ci następne?

Skinął głową. Przywołałam barmankę.

– Najdroższe piwo, jakie mają państwo w karcie, jeśli można – powiedziałam z galanterią, Sam się roześmiał.

– To naprawdę drogi porter. Jest pani pewna? – upewniła się barmanka.

Spojrzałam na Sama. Rozpostarł uniesione dłonie, jakby mówiąc: „to twoja kasa”.

– Tak, poproszę – powiedziałam.

Barmanka wyszła. Odwróciłam się z powrotem do Sama. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, nie wiedząc, co teraz powiedzieć.

– Jaką piosenkę najbardziej lubisz grać? – spytałam. To było głupie pytanie. Wiedziałam to już w chwili, gdy je wypowiadałam.

– Na pianinie?

– No.

– A co byś chciała usłyszeć?

Roześmiałam się.

– Nie mówię teraz. Tu nie ma pianina.

– O czym ty mówisz? Przed chwilą graliśmy *Chopsticks*, o tu, na tym barze.

Roześmiałam się, gotowa do zabawy. Nagle jednak się okazało, że nie mogłam sobie przypomnieć, jakie piosenki grywa się na pianinie.

– Może *Piano Man*?

Skrzywił się.

– Trochę za poprawne, nie sądzisz?

– Nic innego nie potrafię wymyślić!

– Okej, w porządku – powiedział. – Właściwie to dobry wybór, bo na początku ma taki fajny popisowy kawałek

Wyprostował się i podwinął rękawy, tak jakby miał grać na prawdziwym instrumencie. Odsunął serwetkę, a potem podniósł mój kieliszek.

– Gdyby była pani tak miła i zechciała usunąć mi go z drogi – poprosił.

– Oczywiście, proszę pana.

Splótł palce i wyciągnął ręce przed siebie.

– Gotowa?

– Zamieniam się w słuch.

Skłonił teatralnie głowę i zaczął przebiegać dłońmi po kontuarze, tak jakby miał przed sobą fortepian. Patrzyłam, jak jego palce fruwały po nieistniejących klawiszach. Robił to tak pewnie, że niemal wierzyłam, że gra naprawdę.

– Wybacz – powiedział, nie przerywając gry – ale uważam, że teraz powinna dołączyć harmonijka.

– Co? Ja nie potrafię grać na harmonijce.

– Oczywiście że potrafisz.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Z pewnością wiesz, jak trzymają harmonijkę muzycy. Zakładam, że widziałaś w życiu przynajmniej jeden zespół bluesowy.

– Nie no, jasne.

Z pochyloną głową grał dalej. Ludzie zaczynali się nam przyglądać. Nie przejmował się tym. Ja też.

– No to dawaj harmonijkę.

I ku własnemu zaskoczeniu zrobiłam to. Przyłożyłam ręce do ust, tak jakbym trzymała w nich harmonijkę, i wodziłam ustami po przestrzeni, którą rzekomo zajmowała.

– Wolniej – powiedział Sam. – Nie jesteś Neil Young.

Roześmiałam się i na chwilę przerwałam.

– Ja w ogóle nie mam pojęcia, co robię!

– Świetnie ci idzie! Nie przerywaj.

Więc grałam dalej.

– Dobra, zaczekaj chwilę, w tej części nie ma harmonijki.

Odłożyłam rzekomą harmonijkę, a on grał dalej. Było jasne, że gra całą piosenkę, od początku do końca, każdą nutę. Patrzyłam, jak lekko, bez wysiłku mu to przychodzi. W ruchu palców widać było oczekiwanie, że wydobędą piękny dźwięk, a przecież nie wydobywały w ogóle żadnego dźwięku.

– Teraz! Dawaj organki. To twój moment.

– Tak? Nie wiedziałam! – Desperacko uniosłam ręce do twarzy i oddałam się grze.

Po czym Sam zwolnił i widziałam, że piosenka dobiega końca. Opuściłam ręce i patrzyłam, jak bierze parę ostatnich nut. I koniec. Spojrzał na mnie.

– Następne życzenie?

– Pójść ze mną na kolację?

Po prostu samo wyskoczyło mi to z ust. Chciałam z nim jeszcze porozmawiać, spędzić z nim więcej czasu, więcej się o nim dowiedzieć. Chciałam więcej.

– Możemy zjeść albo tutaj, albo gdzieś w pobliżu, jeśli masz ochotę na coś szczególnego.

– Emma... – powiedział poważnie.

– Tak?

– Możemy pójść na *burritos*?

Dos Tacos, w przeciwieństwie do przyjaznego błękitnego oświetlenia baru, było zalane jaskrawym blaskiem w odcieniach żółci i pomarańcza. Ale i tak wewnątrz było fajne. A ja wciąż czułam się ładna.

Nawet kiedy wgrzyłam się w gigantyczne *carne asada deluxe*.

– Gdybym miał do końca życia jeść wyłącznie jedzenie meksykańskie, dla mnie byłoby okej – powiedział Sam. – Totalnie okej.

Miałam ochotę mu powiedzieć, że jedzenie w Meksyku smakuje zupełnie inaczej. Miałam ochotę opowiedzieć o tym, jak spędziliśmy z Jessem trzy tygodnie w Mexico City i jak znaleźliśmy tę maciupcią knajpkę, gdzie podawano fantastyczne *chiles relenos*.

Ale nie chciałam rozmawiać o przeszłości.

– Ja też bym nie miała nic przeciw temu – powiedziałam. – Absolutnie. – Sięgnęłam do koszyka po chipsa i w tej samej chwili zrobił to Sam.

Nasze ręce przelotnie się zetknęły. Jego dotyk był dla mnie przyjemny. Na tym właśnie polega randka, pomyślałam. Na tym polega normalność.

– Jeśli jednak chodzi o desery – podjął Sam – to nie wiem, czy na resztę życia wybrałbym meksykańskie. Francuskie być może... eklery i krem waniliowy. Włoskie też mogłyby być interesujące, *tiramisu* i *gelato*.

– Bo ja wiem – powiedziałam. – Hinduskie desery są po prostu powalające. Wszystkie kremowe i z orzechową nutą. Na przykład ryżowy pudding z czymś w rodzaju pistacjowych lodów w środku. Myślę, że mogłabym przy tym pozostać.

– Ojejku, brzmi fantastycznie.

Skinęłam głową.

– Chociaż, kto wie... być może nic się nie może równać z *tres leches*.

– Czy to meksykańskie? – spytał Sam.

– Mam wrażenie, że każdy kraj Ameryki Łacińskiej, do jakiego pojedziesz, twierdzi, że to ich specjalność. To tak jak z bakławą. Słowo daję, rozmawiałam chyba z dwudziestką ludzi, którzy gotowi byli przysiąc, że to w ich kraju wymyślono bakławę.

– W takim razie łąą jak najęci, bo to moja rodzina wymyśliła bakławę. Tu, w Stanach.

Roześmiałam się.

– A ja osobiście wynalazłam *tres leches*.

Sam się roześmiał, a ja rozejrzałam się i stwierdziłam, że niemal wszyscy już wyszli, a personel za kontuarem zabiera się za porządki.

– O nie... Wygląda na to, że zamykają. – Wyjęłam z torebki telefon i sprawdziłam godzinę. Było dwie po dziesiątej.

– Mówisz, że wieczór się kończy? – spytał Sam, wyjadając resztę chipsów. Sposób, w jaki to powiedział, uśmiech, z jakim spojrzął mi w oczy, świadczyły, że jego zdaniem wcale się nie kończy, i wie, że moim zdaniem też nie.

– Zaproponowałabym, żebyśmy poszli do baru na drinka – powiedziałam – ale drinka już mamy za sobą.

Sam kiwnął głową.

– Wygląda na to, że robimy wszystko w odwrotnej kolejności, prawda? Może powinniśmy pójść teraz na lunch.

– Albo na kawę. – Zgarnęłam pozostałości na tacę. – Tak czy siak, powinniśmy się zbierać. Nie chcę być jak ten facet, co to zawsze przychodził poczytać książki na dziesięć minut przed zamknięciem. Pamiętasz go?

– Czy pamiętam? – Sam wstał. – Ja go dotąd nienawidzę.

Roześmiałam się.

– Dokładnie.

Wrzuciliśmy pozostałości do pojemnika, podziękowaliśmy człowiekowi za kontuarem i wyszliśmy. Był to jeden z tych bostońskich wieczorów, które niemal sprawiają, że warto za nie zapłacić zimą. Ciepłe, ale rześkie powietrze, księżyc w pełni. Wysokie, stare budynki, które za dnia często wyglądają na brudne, teraz lśniły w mroku.

– Mam pewien szalony pomysł – powiedział Sam.

– No to mów.

– A jakbyśmy tak poszli na spacer?

Moja pierwsza myśl była taka, że to wspaniałe, a druga – że na moich obcasach spacer nie potrwa dłużej niż dziesięć minut.

– Zbyt staroświeckie? – spytał. – Tak jakby to były lata pięćdziesiąte, a ja bym cię zapraszał na mleczny koktajl?

Roześmiałam się.

– Nie! Bardzo mi się ten pomysł podoba. Po prostu wiem, że będą mnie bolały nogi.

Wtem dostrzegłam przed sobą te wszędobylskie szkarłatne litery, którymi upstrzone jest miasto – CVS.

Siedem minut później szpilki były w torebce, a na nogach miałam gumowe japonki z drogerii za pięć dolarów. Sam – snickersa w rozmiarze XXL.

– To gdzie idziemy? – spytałam, gotowa zdobywać miasto.

– Właściwie to nie miałem konkretnego planu. Ale... – Sam spojrzał w górę i w dół ulicy. – Tędy? – Wskazał w stronę, gdzie nie było gęstej zabudowy.

– Super – powiedziałam. – Chodźmy.

I poszliśmy. Najpierw powoli, po prostu stawiając jedną stopę przed drugą i rozmawiając.

Miasto szumiało. Na chodnikach było sporo ludzi. Grupki dziewczyn, chłopcy z college'u, podchmieleni pijackowie z papierosem w ustach na skraju chodnika, pary trzymające się za rękę w drodze na miasto lub do domu.

Sam opowiadał o swojej pracy w ósmej klasie, gdzie prowadził orkiestrę i jazz band, o tym, jak ostatnio zaczął parę razy na miesiąc dorabiać sobie jako muzyk studyjny.

Ja mu opowiadałam, co słychać w księgarni, co u rodziców. Zaktualizowałam jego wiedzę na temat Marie, opowiedziałam o Sophie i Avie, pokazałam mu nawet parę znaków, jakich się ostatnio nauczyłam. Opowiedziałam o tym, jak parę dni temu rozpoznałam, że Ava mówi: „Poproszę mleko”.

Sam słuchał, jakbym była najbardziej interesującą kobietą we wszechświecie, a ja zdałam sobie sprawę, że już od bardzo, bardzo dawna nikt mnie w ten sposób nie słuchał.

Dowcipkowaliśmy sobie, że mieszkamy w tym samym mieście i pracujemy w tej samej podmiejskiej okolicy, w której się wychowaliśmy, co stanowi odwrotność wspólnych dojazdów do pracy.

Nadeptywaliśmy na gumę do zucia, ustępowaliśmy drogi innym przechodniom, schylaliśmy się, żeby pogłaskać psa. Minęliśmy akademiki, a potem dziedziniec Harvardu. Dwa razy przeszliśmy koło przystanku metra i pomyślałam, że być może ku niemu grawitujemy i powinniśmy potraktować to jako okzję, żeby się pożegnać. Ale moje stopy nie skręcały w tę stronę i Sama też nie. Szliśmy dalej, powoli i spokojnie, coraz głębiej w noc.

W końcu znaleźliśmy się nad rzeką Charles. Zaczęły mnie boleć nogi i zaproponowałam Samowi, żebyśmy usiedli na jednej z ławeczek, stojących wzdłuż brzegu.

– No, już myślałem, że nigdy tego nie powiesz. Chyba już gdzieś koło Porter Square zaczął mi się robić pęcherz na nodze.

Usiedliśmy i wyjęłam telefon, żeby sprawdzić godzinę. Była pierwsza w nocy. Nie czułam się zmęczona. I nie chciało mi się iść do domu.

O tylu różnych rzeczach już rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy o pracy, o muzyce, o naszych rodzinach, o książkach. Rozmawialiśmy o wszystkim i niczym – tylko nie o Jessem.

Kiedy jednak usiedliśmy, jakoś nie sposób było dłużej ignorować tego tematu.

– No więc chyba wiesz, że jestem wdową – powiedziałam.

Sam spojrzął na mnie i kiwnął głową.

– Słyszałem – odparł. – Ale nie byłem pewien, czy poruszać ten temat. – Wziął mnie za rękę, łagodnie i czule. – Tak mi przykro, Emma.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Mam nadzieję, że to dla ciebie okej, że tu jesteśmy. Razem.

Skinęłam głową.

– Może to trochę surrealistyczne... ale tak, okej.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musi być trudne dla ciebie. Jak dawno się to zdarzyło?

– Niedawno minęły dwa lata.

– To dla ciebie krótko czy długo?

Właśnie wtedy zrozumiałam, że Sam słucha mnie naprawdę, że naprawdę chciałby się dowiedzieć, kim jestem w tej chwili. Zdałam sobie sprawę, że Sam mnie rozumie, być może zawsze mnie rozumiał jak mało kto. I znaczyło to, że wie, że dwa lata to zarówno wieczność, jak chwilka.

– Zależy od dnia. Ale w tej chwili wydaje mi się, że długo. A jak u ciebie? Kto ci złamał serce?

Sam westchnął, tak jakby szykując się do długiej opowieści.

– Byłem sporo lat z pewną kobietą – powiedział, nie patrząc na mnie. Patrzył na wodę.

– I co się stało? – spytałam. – Wilkołak ją porwał?

Sam się roześmiał i spojrzął na mnie.

– Taak. Brutalnie. Wprost z moich ramion.

Uśmiechnęłam się i czekałam, co dalej.

– Po prostu wyrośliśmy z siebie – rzekł w końcu. – Jak to banalnie brzmi... Ale boli strasznie. Jak nigdy przedtem.

Nic nie wiedziałam o wyrastaniu z siebie. Wiedziałam tylko, jak to jest, kiedy związek rozrywa jakaś siła z zewnątrz. Wyobraziłam sobie jednak, że to jak wtedy, gdy korzenie drzewa, rosnąc, stopniowo stają się tak silne, że rozsadzają chodnik.

– Przykro mi – powiedziałam. – To okropne.

– Po prostu w wieku trzydziestu lat nie jestem tym samym człowiekiem, którym byłem, kiedy miałem dwadzieścia. I ona też.

– Chyba nikt nie jest – zauważyłam.

– Teraz trochę mnie to dręczy, prawdę mówiąc – powiedział. – Czy, na przykład, kiedy stuknie mi czterdziestka, będę tym samym człowiekiem? Czy...

– Czy też z siebie wyrośniemy? – dokończyłam.

I wtedy Sam powiedział coś, co zapamiętałam na zawsze.

– Myślę jednak, że to dobry znak, że miałem fioła na twoim punkcie w wieku szesnastu lat i mam fioła teraz.

Uśmiechnęłam się.

– To rzeczywiście obiecujące.

Sam przysunął się nieco i objął mnie ramieniem. Moje ramię wśliznęło się pod jego pachę. Uścisnął mnie leciutko.

Nie wydawało się to łatwe – myśl, żeby znowu kogoś kochać.

Ale wydawało się możliwe.

Siedziałam więc z nim, patrzyłam na rzekę i pozwalałam sobie znowu mieć nadzieję, znowu czuć radość, znowu czuć, jak to miło siedzieć nad rzeką w ramionach mężczyzny.

Nie wiem, jak długo to trwało.

Wiem tylko, że kiedy w końcu dotarłam do domu, była czwarta.

Pod drzwiami, piętnaście lat po tym, jak się poznaliśmy, o tej nadrannej godzinie Sam Kemper w końcu

mnie pocałował.

Była w tym świeżość i delikatność. Pachniał jak poranna rosa, jak cudowny początek.

– Kiedy cię znowu zobaczę? – spytał, patrząc na mnie.

Oddałam mu spojrzenie. Nie było między nami żadnej sztuczności.

– Jestem tutaj – powiedziałam. – Zadzwoń do mnie.

Po czterech i pół miesiąca naszego związku powiedziałam Samowi, że go kocham. On zrobił to parę tygodni wcześniej, mówiąc zarazem, że nie muszę mu się rewanżować tym samym, w każdym razie nie w tej chwili. Powiedział, że kochał się we mnie przez całe liceum, od pierwszej chwili, kiedy zobaczył mnie w księgarni. Powiedział, że jednym z powodów, dla których porzucił pracę w Blair Books, było to, że zakochałam się w Jessem i wiedział, że nie ma szans.

– Chcę przez to powiedzieć, że kochać cię, nie będąc pewnym wzajemności, to dla mnie znajome terytorium – powiedział. – Podjąłem to tak, jak podejmuje się jazdę na rowerze po dłuższej przerwie. I mogę tak jechać jeszcze przez jakiś czas, jeśli tego potrzebujesz.

Byłam mu szalenie wdzięczna, bo to było dokładnie to, czego potrzebowałam.

Nie znaczy to, że go nie kochałam. Kochałam. Wiedziałam, że go kocham, zanim jeszcze mu o tym powiedziałam. Ale nie potrafiłam wypowiedzieć tych słów. Nie byłam gotowa uznać zmiany, która się już dokonała. Nie byłam gotowa rozstać się ze słowem „żona” i zastąpić je słowem „dziewczyna”.

Ale tamtej nocy, po czterech i pół miesiąca związku, kiedy leżeliśmy w moim łóżku, nadzy, w zmiętej pościeli, zdałam sobie sprawę, że nawet jeśli nie jestem gotowa na przyjęcie prawdy, nie przestaje ona być prawdziwa.

– Kocham cię – powiedziałam w ciemność, wiedząc, że ten dźwięk nie może trafić nigdzie indziej, tylko do jego uszu.

Chwycił mnie za rękę i uścisnął ją.

– Tak myślałem, że może – powiedział. Z jego głosu wiedziałam, że się uśmiecha.

– Przepraszam, że powiedziałam ci to dopiero teraz.

– Nie ma sprawy. Rozumiem.

Sam zawsze zdawał się chwytać to, co naprawdę ważne. Nigdy nie zwracał sobie głowy drobiazgami. Istota sprawy była dla niego ważniejsza niż detale. Bardziej zwracał uwagę na czyny niż na słowa.

Nie miałam już dłużej ochoty spać w łóżku bez niego. W kinie zawsze trzymałam go za rękę. Przez cały dzień niecierpliwiłam się, kiedy go wreszcie zobaczę, tylko po to, żeby go pocałować w to delikatne miejsce koło oka, tam gdzie zaczynały się pojawiać zmarszczki.

Wiedział, że jestem zakochana. Nie przeszkadzało mu więc, że trochę mi zajęło, zanim wypowiedziałam to na głos. A dzięki temu kochałam go jeszcze bardziej.

– Po prostu... czasem trudno jest nie kojarzyć posuwania się naprzód z zapominaniem o przeszłości – powiedziałam.

– Jeśli to może pomóc... – Sam przysunął się do mnie bliżej. Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności i widziałam teraz jaśnienie jego skóry. – Nie oczekuję, że przestaniesz go kochać, tylko dlatego, że kochasz mnie.

Prawdopodobnie powinnam się uśmiechnąć albo go pocałować. Powinnam była mu powiedzieć, jak doceniam jego wieloduszność i brak egoizmu. Ale zamiast tego zaczęłam płakać tak strasznie, że aż łóżko się trzęsło.

Trzymał mnie w objęciach i całował w czubek głowy. Po czym powiedział:

– Czy to będzie okej, jeśli powiem ci parę innych rzeczy, o których myślałem?

Pokiwałam głową.

– Myślę, Emma, że między nami jest coś, co może przetrwać długie lata. Być może wiedziałem o tym już w szkole i może dlatego taki byłem tobą oczarowany. Ale przy tobie czuję się, zawsze się czułem, bardziej sobą niż przy jakiegokolwiek innej kobiecie. I po raz pierwszy zaczynam rozumieć, co to znaczy rozwijać się wraz z kimś, a nie obok kogoś, tak jak to było z Aishą. Nie martwię się o naszą przyszłość, choć myślałem, że będę, kiedy się znowu zakocham. Wystarczy mi być z tobą i patrzeć, dokąd to wszystko zmierza. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jeśli to, co jest między nami, przetrwa i jeśli pewnego dnia zaczniemy myśleć o ślubie, dzieciach i tym wszystkim, o czym się myśli, kiedy ludzi łączy coś prawdziwego... chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie będę usiłował zastąpić Jessego. Nie będę oczekiwał, że przestaniesz go kochać. Możesz kochać swoją przeszłość z nim. Mojej obecnej miłości do ciebie to nie zagraża. Po prostu... chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie każę ci wybierać. Nigdy nie będę oczekiwał, że powiesz, że jestem twoją jedyną prawdziwą miłością. Wiem, że wobec kogoś takiego jak ty nie byłoby to fair. I nigdy cię o to nie poproszę.

Przez chwilę trwała cisza. Przetwarzałam w głowie to, co powiedział. Sam objął mnie i mocno przytulił. Powąchał moje włosy. Pocałował mnie w ucho.

– Po prostu myślę o tym od jakiegoś czasu i chciałem, żebyś wiedziała.

Przestałam płakać. Odetchnęłam głęboko.

W pokoju pachniało potem i snem. Łóżko pod nami było miękkie i bezpieczne. Znalazłam mężczyznę, który mnie rozumiał i akceptował mnie całą, który był wystarczająco silny, by pogodzić się z tym, że w zakątku serca zachowuję dawną miłość do innego.

– Kocham cię – powiedziałam jeszcze raz. Za drugim razem przyszło mi to z mniejszym wysiłkiem.

– Ja też cię kocham – powiedział. – Kocham wszystko to, czym jesteś. Zawsze kochałem.

Przesunęłam się na moją stronę, żeby móc na niego spojrzeć. Odwrócił się do mnie. Patrzyliśmy na siebie z uśmiechem.

– Taka jestem szczęśliwa, że jesteś w moim życiu – szepnęłam. – Nie wiem, czym sobie na ciebie zasłużyłam.

Sam się uśmiechnął.

– Pomyśl, ilu jest ludzi na świecie – powiedział, zakładając mi za ucho najdłuższy kosmyk. – A ja miałem na tyle szczęścia, żeby cię odnaleźć dwa razy.

– Pomyśl, ile jest kobiet, które chcą kupić pianino – powiedziałam. – I tylko mnie się udało wpaść na ciebie.

Sam się roześmiał.

– Odwróć się, dobrze? – poprosił. Zawsze tak mówił, kiedy chciał, żebym wtuliła się w niego jak łyżeczka w łyżeczkę. Zrobiłam to z ochotą.

– Dobranoc, kochanie – szepnął. Czuję słodycz i miętę jego oddechu.

– Dobranoc – odszepnęłam. I po chwili dodałam: – Nie wiem, jak to możliwe, że miałam takie szczęście.

Na tym poprzestałam. Nie powiedziałam na głos wszystkiego, co pomyślałam:

„Nie wiem, jak to możliwe, że miałam szczęście mieć was obu. Moje dwie prawdziwe miłości”.

Sam załatwił nam bilety do filharmonii. Byliśmy już razem od około roku. Właśnie przeprowadziliśmy się do mieszkania w Cambridge i zaadoptowaliśmy dwa koty. Moi rodzice, zachwyceni, że w ich życiu znowu pojawił się Sam, zaczęli żartem mówić do niego „synu”.

Tego wieczoru, gdy wyszliśmy z filharmonii, ja w szmaragdowej sukience, Sam w uroczystym ciemnym garniturze, powinnam była pewnie snuć refleksje na temat muzyki, której słuchaliśmy, albo spytać Sama, co myśli o tym lub owym wykonawcy.

Jedyne jednak, o czym potrafiłam myśleć, to jaka jestem głodna.

– Strasznie jesteś zamyślona – zauważył Sam, gdy szliśmy ulicami Bostonu w stronę stacji metra Green Line.

– Jestem strasznie głodna – powiedziałam. – Wiem, że jedliśmy kolację, ale ja zjadłam tylko troszkę sałatki i teraz mam wrażenie, że zmieściłabym cały posiłek.

Sam się roześmiał.

– Czy mamy gdzieś wstąpić?

– Tak! – zawołałam. – Gdzieś, gdzie dają frytki.

Wkrótce, oboje w uroczystych, wyjściowych strojach, szliśmy ulicą, ja pożerając hamburgera (kartonik frytek pożarłam już wcześniej), Sam – w jednej ręce niosąc resztę zawartości torby, w drugiej kubek, z którego pociągał mleczno-czekoladowego shake’a.

– Jak twoje stopy? – spytał Sam.

– W porządku. A co?

– Może byśmy się przeszli kawałek, zanim wsiądziemy do metra? Wyglądasz fantastycznie, pogoda jest piękna i... bo ja wiem. Chciałbym przedłużyć ten moment.

Uśmiechnęłam się. Wyobraziłam sobie, jak po paru minutach marszu zaczynają mnie obcierać szpilki.

– Wchodzę w to – powiedziałam i ugryzłam kolejny kęs hamburgera. Kiedy przełknęłam, przyszło mi do głowy, że w jego argumentacji jest skaza. – Jak możesz twierdzić, że to piękna chwila między nami, skoro ja jem whoppera?

Sam się roześmiał.

– Chyba po prostu tak bardzo cię kocham – powiedział. – Tak, że nawet stanie obok ciebie, kiedy rąbiesz burger kinga, to dla mnie coś niezwykłego. – W wytwornym ciemnym garniturze, pociągnął przez słomkę kolejny łyk. Patrzyłam, jak zasysają mu się przy tym policzki, i dobrze wiedziałam, o co mu chodzi. Czułam dokładnie to samo.

– Ślicznie wyglądasz, jak wciągasz tego shake’a – powiedziałam

– No widzisz? I stąd właśnie wiem, że mnie kochasz. Tobie też odbiło.

Odgryzłam kolejny kęs i podjęliśmy marsz.

– Mówię serio – powiedział Sam. – Jestem w tobie szaleńczo zakochany. Mam nadzieję, że wiesz jak bardzo.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Podejrzewam, że tak – zadrwiłam.

– Nie wiem, czy to na pewno właściwy czas, ale... chcę się upewnić, że wiesz, że chcę być z tobą do końca życia. Nie wiem, czy przekazuję to jak należy, ale ja już w to wszedłem – na zawsze. Moje jedyne

zmartwienie, to żeby nie wywierać na ciebie presji.

– Nie czuję presji – powiedziałam. Przetwarzałam w głowie jego słowa i zaczynałam rozumieć, jak doniosła jest ta chwila.

– Jesteś pewna? Bo muszę być uczciwy. Ja jestem gotów. Jestem gotów, żeby się zobowiązać na całe życie i nie mam w tej sprawie najmniejszej wątpliwości. Nigdy nie byłem taki szczęśliwy, jak przez ten rok z tobą. I, tak jak ja to widzę – jesteś dla mnie stworzona. Jesteś dla mnie wszystkim.

Patrzyłam na niego, słuchałam go. Nie odpowiadałam, bo cała pławiłam się w uczuciu, jak to cudownie jest być mną w tej chwili, jak dobrze jest być tak kochaną, jak on kocha mnie.

Sam odwrócił wzrok i pociągnął z kubka. Potem znowu spojrzał na mnie i powiedział:

– Chyba chcę przez to powiedzieć, że jestem gotów. Teraz będę po prostu czekał, aż ty będziesz gotowa, jeśli kiedykolwiek będziesz. Jeśli kiedykolwiek zechcesz.

– Jeśli kiedykolwiek zechcę... – Chciałam się upewnić, że prawidłowo rozumiem to, co mówi.

– Wyjdź za mnie – powiedział, pociągając kolejny łyk shake'a.

– Chwileczkę, czy ty... – Chciałam go spytać, czy się oświadcza, ale to słowo było jakies takie strasznie oficjalne, takie śmiałe.

– Ja się nie oświadczam – rzekł Sam. – Chcę jednak powiedzieć, że nie oświadczam się nie dlatego, że nie chcę się oświadczyć. Chcę. Po prostu chcę poczekać, aż będziesz gotowa na to, że się oświadczę.

– Chyba nie rozumiem połowy tego, co powiedziałaś – uśmiechnęłam się.

– Nie była to najbardziej przejrzysta z moich wypowiedzi – przyznał ze śmiechem.

– Czy mógłbyś powiedzieć to jasno i zwięźle?

Sam uśmiechnął się i skinął głową.

– Emmo Blair, jeśli kiedykolwiek uznasz, że chcesz za mnie wyjść, to proszę, powiedz mi. Bo ja chcę się z tobą ożenić.

Upuściłam hamburgera na chodnik. Nie zamierzałam tego zrobić, po prostu wypadł mi z ręki, tak jakby mózg powiedział palcom: „Cokolwiek robicie, przestańcie i skupcie się na tym, co się dzieje”. Po czym ujęłam w dłonie twarz Sama i pocałowałam go z całą miłością, jaką miałam dla niego w sercu.

– Zróbmy to – powiedziałam, kiedy go puściłam.

– Co? – spytał Sam.

– Chcę za ciebie wyjść.

– Chwileczkę. Jesteś pewna? – Wiedziałam, że nie może uwierzyć w to, co słyszy, i przez to kochałam go jeszcze bardziej.

– Absolutnie – powiedziałam. – Chcę za ciebie wyjść. Kocham cię. Bardzo, bardzo.

– Ożeż... – Sam uśmiechnął się tak szeroko, że zrobiły mu się zmarszczki przy oczach. – To znaczy, że... jesteśmy zaręczeni?

Zaśmiałam się, szczęśliwa.

– Myślę, że tak.

Sam dokonał oceny chwili.

– Nie, nie, nie – pokręcił głową. – To nie wystarczy. Trzeba to zrobić lepiej. Nie możemy się zaręczyć, kiedy trzymam w ręce shake'a.

Wyrzucił kubek do kosza na śmieci. Ja podniosłam z chodnika mojego hamburgera i też wyrzuciłam.

– W porządku – powiedział Sam. – Zrobimy to jak należy.

Przyklęknął na kolano.

– O Boże... – wykrztusiłam zdumiona. – Sam! Co ty robisz?

– Nie mam w tej chwili pierścionka, ale wszystko inne wiem. Chodź tutaj.

Wziął mnie za rękę.

– Emma – powiedział ze łzami w oczach. – Chcę być z tobą do końca życia. Zawsze chciałem. Ty i ja... pasujemy do siebie jak elementy w maszynie, jak zazębiające się części, które bez wysiłku łączą się

w jeden mechanizm i obracają się gładko, idealnie zsynchronizowane. Wierzę w nas, kochana. Wierzę, że jestem dla ciebie odpowiedni i że z tobą jestem lepszym człowiekiem. I resztę życia chcę spędzić przy tobie. A więc, Emmo, czy chcesz za mnie wyjść?

Pierwsza myśl, jaka pojawiła się w mojej głowie, to: „Czy to nie za wcześnie?” Ale zaraz nastąpiła druga: „Chyba zasługuję na to, żebym była szczęśliwa”.

– Tak – powiedziałam cicho. Zaskoczyło mnie, że tak trudno mi wydobyć głos, że zdumienie tak go przytłumiło. Ale on mnie usłyszał. Wiedział, co powiedziałam. Wstał i pocałował mnie tak, jakby to było po raz pierwszy.

Poczułam łzy w oczach i wiedziałam, że nie zdołam ich powstrzymać. Zaczęłam ryczeć.

– Co ci jest? – spytał Sam.

Pokręciłam głową.

– Nic – wykrztusiłam. – Jestem taka...

Nie byłam pewna, jakiego słowa szukam, jakiego przymiotnika mogłabym użyć, żeby opisać ten euforyczny chaos, jaki kotłował się w moim sercu.

– Kocham cię – powiedziałam, uświadamiając sobie, że to te proste słowa najlepiej oddają prawdę.

– Ja ciebie też.

Kusiło mnie, żeby dodać: „Taka jestem wdzięczna, że istniejesz” albo „Nie mogę uwierzyć, że jesteś prawdziwy”. Zamiast tego objęłam go i z całej siły uścisnęłam.

Otarł mi łzy. Wezwaliśmy taksówkę. Podczas jazdy trzymał mnie za rękę. Kiedy weszliśmy do mieszkania, odgarnął mi włosy z twarzy.

Pomógł mi rozpiąć sukienkę. Kochaliśmy się w naszym łóżku, trochę na ukos, tak jakbyśmy nie mieli czasu położyć się prawidłowo. Zatraciliśmy się w sobie. Ostatni ślad muru między nami został zburzony.

Później Sam otworzył butelkę szampana. Wziął telefon, włączył głośnik i dzwoniliśmy do wszystkich, żeby oznajmić im dobre wieści.

Kiedy skończyliśmy, przeszliśmy do salonu i zagraliśmy razem *Heart and Soul*, półnadzy, pijani i zachwyceni.

Siedząc obok niego na ławeczce, powiedziałam:

– A gdybym wtedy nie weszła do tego sklepu muzycznego...

Sam uśmiechnął się lekko i delikatnie przebiegając palcami po klawiszach, podniósł na mnie wzrok.

– Ale weszłaś.

Uznałam, że to jest moja odpowiedź na pytania o przeznaczenie. Mogłabym w kółko pytać: a gdyby nie zdarzyło się X, i odpowiedź zawsze będzie: ale się zdarzyło.

A gdyby Jesse nie wsiadł do tego helikoptera?

Ale wsiadł.

Postanowiłam nie zastanawiać się dłużej nad tym, co by się zdarzyło, gdyby sprawy potoczyły się odmiennie. Zamiast tego skoncentruję się na tym, co mam przed sobą. Będę myśleć o rzeczywistości, a nie zadawać sobie pytania o fikcję.

Pocałowałam Sama w skroń.

– Zanieś mnie do łóżka! – powiedziałam.

Sam roześmiał się i zdjął dłonie z klawiatury.

– Nie ma sprawy, ale kiedy kobieta mówi coś takiego, zwykle rozumie to w sensie seksualnym.

Roześmiałam się.

– Ja rozumiem to w sensie spalnym.

Po czym krzyknęłam, gdy Sam dźwignął mnie na ręce.

– Proszę bardzo, w sensie spalnym. – Złożył mnie po mojej stronie łóżka i otulił kołdrą. Zasnęłam z głową na jego ramieniu, w chwili gdy mówił: „Znajdę dla ciebie śliczny pierścionek z diamentem. Obiecuję ci to”.

To był radosny wieczór.

Czułam, że zrobiłam krok naprzód.

Pomyślałam, że gdyby Jesse widział mnie z miejsca, w którym się teraz znajduje, uśmiechałby się.

Czego nie pomyślałam, to: „Jesse żyje. Za dwa miesiące będzie w domu. Co ja narobiłam”.

Po

Emma, Sam i Jesse, czyli jak zagrozić wszystkiemu, co kochasz

Leżę w łóżku obok Sama i wpatruję się w sufit. Nasz szary kot, Mozart, zwinął się w kłębek na moich stopach. Homer, jego czarno-biały brat, nigdy nie opuszcza swojego miejsca pod pianinem w salonie, chyba żeby coś zjeść.

Jest prawie dziewiąta rano, środa. To jeden z moich wolnych dni, Sam zaś w ten dzień ma zajęcia dopiero o jedenastej. W takie późne poranki miewam iluzje, że wyjdziemy gdzieś razem na śniadanie, ale Sam nigdy nie otwiera oczu wcześniej niż w ostatniej chwili. W tym roku szkolnym, jak dotąd, w środę wychodziliśmy na śniadanie dokładnie zero razy. W tej chwili Sam śpi głęboko obok mnie.

Od chwili, kiedy się dowiedziałam, że Jesse żyje, minęło siedem tygodni. Nasza pierwsza rozmowa była krótka, a ze względu na obawy co do zdrowia Jessego nasz kontakt był dotąd ograniczony. Wiadomości o nim otrzymywałam głównie drogą mejlową albo od jego matki, Francine.

Wiem tylko, że był zagrożony ze względu na zespół szoku pokarmowego i komplikacje spowodowane hipoglikemią.

Lekarze nie pozwalali mu na opuszczenie szpitala aż do wczoraj.

Co oznacza, że jutro wraca do domu.

Kiedy wczoraj wieczorem powiadomiłam o tym Sama, powiedział: „Okej. Jak się z tym czujesz?”

Odpowiedziałam zgodnie z prawdą: „Nie mam pojęcia”.

Jestem w zamęcie. Prawdę mówiąc, jestem w strasznym zamęcie w związku z tym, że jestem w zamęcie co do tego, w jak strasznym jestem zamęcie.

To, co jest między Samem a mną... to miłość. Czysta, prosta, prawdziwa.

Ale ja sama nie czuję się już czysta, nic nie jest proste i nie jestem już pewna, co jest prawdą.

– O czym myślisz? – pyta Sam.

Spoglądam na niego. Nie zdawałam sobie sprawy, że już się obudził.

– Och – mówię, znowu odwracając się w stronę sufitu – o niczym. Naprawdę. O wszystkim i niczym.

– O Jessem?

– Chyba tak.

Sam przełyka ślinę i nic nie mówi. Potem odwraca się, wstaje i idzie do łazienki. Słyszę, jak odkręca kran, a potem plusk wody, gdy myje twarz i szoruje zęby. Po chwili dobiega mnie znajomy pisk i szum prysznicza.

Dzwoni mój telefon. Sięgam na nocny stolik, żeby sprawdzić kto to. Nie rozpoznaję numeru. Powinnam przełączyć na pocztę głosową, ale nie przełączam. Ostatnio nie jestem w stanie nie odebrać nawet

jednego telefonu.

– Słucham?

– Czy pani Emma Lerner? – Głos młodej kobiety.

– Emma Blair – mówię. – Ale tak, słucham.

– Pani... – Kobieta wyraźnie gryzie się w język. – Pani Blair, nazywam się Elisabeth Ivan. Dzwonię z redakcji „The Beacon”.

Zamykam oczy i złorzeczę sobie za to, że odebrałam,

– Tak?

– Przygotowujemy artykuł na temat Jessego Lenera z Acton.

– Tak.

– Chcieliśmy panią poprosić o wypowiedź w tej sprawie.

Czuję, jak kręcę głową, tak jakby dziennikarka mogła odebrać moje niewerbalne sygnały.

– Przykro mi. Nie sądzę, żebym miała ochotę wypowiadać się publicznie na ten temat.

– Jest pani pewna? Państwo Lernerowie się wypowiedzieli.

– Ach tak – mówię. – No cóż, mimo wszystko nie sądzę, żeby mi to odpowiadało, ale bardzo dziękuję za danie mi szansy.

– Czy jest pani...

– Dziękuję, pani Ivan. Miłego dnia.

Kończę rozmowę, zanim zdąży się odezwać jeszcze raz. Dwa razy sprawdzam, czy telefon jest wyłączony, po czym rzucam się z powrotem na poduszki i zakrywam twarz rękami. Czy jeszcze kiedykolwiek w życiu będę odczuwała tylko jedną emocję?

Bo ostatnio przeżywam wyłącznie szczęście i strach, radość i smutek, poczucie winy i poczucie słuszności – równocześnie.

Nie jest to po prostu szczęście. Po prostu strach. Po prostu radość. Po prostu smutek.

Ogłuszająca cisza, jaka panuje w pokoju, oznacza, że moje uszy mogą skoncentrować się wyłącznie na odgłosie lecącej z prysznicia wody.

Myślę o parze, która zaczyna wypełniać łazienkę.

Myślę o tym, jak tam musi być ciepło.

Myślę o tym, że gorąca woda na pewno jest przyjemna i kojąca. Myślę o Samie. O tym, jak wygląda, kiedy jest mokry. Myślę o wodzie spływającej mu z ramion. Z ramion, które wносиły po schodach na drugie piętro moje nieprzyzwoicie wielkie biurko, kiedy się wprowadzaliśmy do wspólnego mieszkania. Z ramion, które dźwigały dwa pudła z książkami naraz, a on droczył się ze mną, że powinnam przestać gromadzić książki, doskonale wiedząc, że to się nigdy nie stanie.

Sam to moje życie. Moje nowe, wspaniałe, magiczne życie.

Wstaję z łóżka i otwieram drzwi łazienki. Jest dokładnie tak zaparowana, jak myślałam. Lustro jest zbyt zamglone, żebym się w nim widziała, kiedy zdejmuję koszulę, ale wiem, co bym zobaczyła, gdybym mogła: niską trzydziestoparolatkę o sylwetce gruszki i krótkiej blond czuprynie, z paroma piegami pod prawym okiem.

Lekko odsuwam kurtynę i wchodzę pod prysznic. Sam otwiera oczy. Widzę, że na mój widok czuje ulgę. Obejmuje mnie ramionami i mocno przygarnia. Ciepło jego ciała grzeje mnie dokładnie tak, jak wiedziałam, że będzie.

Wspiera podbródek na moim ramieniu.

– Wiem, że wszystko jest teraz skomplikowane. Zrobię, co tylko zechcesz. Po prostu... muszę wiedzieć, o czym myślisz.

– Kocham cię – mówię w jego ramiona. Gorąca woda spływa mi po twarzy i przykleja włosy do czoła. – Tak strasznie cię kocham.

– Wiem – mówi, po czym puszcza mnie i odwraca się do mnie plecami.

Spłukuje szampon z włosów.

Biorę kawałek mydła, namydlam ręce i rozprowadzam pianę po jego ramionach i plecach. Sięgam do przodu i mydlę mu pierś. Kiedy woda spłukuje mydło, przytulam policzek do jego pleców. Ogarniam go ramionami. Przykleiłabym się do niego, gdybym mogła. Przez ostatnie trzy noce miałam sny o tym, że jesteśmy związani sznurem. Że jesteśmy związani tak mocno, że żadne z nas nie może uciec. Śniłam o węzłach tak ciasnych, że nie da się ich rozwiązać. O linie tak grubej, że nie da się jej przeciąć.

Sam wspiera się ramionami o ścianki kabiny, żeby zachować stabilność. Po czym mówi:

– Po prostu... po prostu zrób mi przysługę.

– Wszystko, co zechcesz.

– Nie zostawaj ze mną, jeśli chcesz być z nim. Nie rób mi tego.

Moje sny, te o linie i węzłach... Dobrze wiem, co znaczą.

Nie przywiązujesz się do czegoś sznurem, jeśli się nie lękasz, że możesz odlecieć.

Początek grudnia to moja najmniej ulubiona pora w Massachusetts. Zawsze odczuwa się to jako ciszę przed burzą.

Powietrze często jest przenikliwe i lodowate, tak jakby się miało roztrzaskać niczym szkło. Przynajmniej dziś jednak jest na tyle ciepło, że lekkie opady to tylko mżawka, a nie początek śnieżnej zamieci. Niemniej jest to niezbyt pożądane przypomnienie, że niedługo spadnie pierwszy śnieg.

Mam na sobie czarne dżinsy, luźny kremowy sweter, brązowe kozaki i czarną wełnianą kurtkę w marynarskim stylu. Nigdy się nie zastanawiałam, jak będę ubrana, kiedy znowu zobaczę Jessego, bo nigdy nie myślałam, że to nastąpi.

Mimo to, oto odpowiedź na pytanie, którego nigdy sobie nie zadałam: dżinsy i sweter.

Nie ma żadnego określonego stroju, przewidzianego na tego typu okazję: ponowne spotkanie z ukochanym, który zniknął w pierwszą rocznicę ślubu.

Jednego z ukochanych.

Jednego z.

Sam wstał dziś wcześniej i nie obudził mnie, żeby powiedzieć „do widzenia”. Otworzyłam oczy dopiero na łoskot zamykanych drzwi, kiedy wychodził. Obserwowałam go przez okno sypialni. Patrzyłam, jak idzie do samochodu i jak wsiada. Twarz miał po stoicku spokojną, ale zdradzała go postawa. Obwisłe ramiona, pochylona głowa – człowiek u kresu sił.

Zanim zdążyłam na niego zawołać, odjechał, a kiedy zadzwoniłam, nie odebrał.

Jesse ląduje o trzeciej. Co oznacza, że mam jeszcze przed sobą cały ranek, przedpołudnie i część popołudnia, i muszę je jakoś przetrwać, choć jest to najbardziej nieprawdopodobny dzień w moim życiu.

Tuż przed dziewiątą podjeżdżam na parking za księgarnią. Wchodzę i zapalam wszystkie światła, przywracając ją do życia – jak niemal każdego ranka.

Rodzice w przyszłym roku oficjalnie przechodzą na emeryturę. De facto jednak już w tej chwili są niemal emerytami. To ja prowadzę sklep. To ja za wszystko odpowiadam. Sprzedawcy podlegają mojej zastępczyni, Tinie, która podlega mnie.

Tato nadal nadzoruje sprawy księgowo-finansowe. Mama przychodzi w soboty po południu i obsługuje klientów – chce wiedzieć, co ludzie czytają, i lubi podtrzymywać kontakt z klientami, o których przywykła się troszczyć przez ponad dwadzieścia lat.

Cała reszta to moja działka.

Blair Books to w tej chwili jedyna rzecz w moim życiu, z której jestem zdecydowanie dumna.

Czasem bywam troszkę przytłoczona, czasem czuję, że mnie to przerasta, ale generalnie dobrze mi idzie prowadzenie tej księgarni.

W porównaniu ze zmianami w przemyśle nasze pensje są stabilne. Niewielu ludzi może to powiedzieć

o swoich zarobkach. Oczywiście najważniejszy jest sam fakt, że utrzymujemy się na rynku, gdy zamykane są nawet wielkie sieciówki. Prawdę mówiąc jednak, nie z tego przede wszystkim jestem dumna. Najbardziej rajcuje mnie to, w jaki sposób przyciągamy czytelników.

Co najmniej dwa razy na miesiąc mamy wieczory autorskie. Mamy w sprzedaży podpisane przez autora egzemplarze bestsellerów. Mamy jedenaście różnych grup czytelniczych i warsztaty pisania, przy czym każde z tych spotkań odbywa się tu, w księgarni, raz na miesiąc. Kwitnie sprzedaż online. Mamy znakomitą obsługę klienta. Raz na tydzień mamy pączki za friko.

Szczególnie dumna jestem z tych pączków.

Kiedy tego ranka kończę porządkowanie sklepu, idę do kantorka, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną. Na samej górze widzę wiadomość od matki.

Tytuł mejla brzmi: „Widziałaś to?” Treść to link do artykułu o Jessem w „The Beacon”. Musiał ukazać się rano. Pod linkiem matka pisze: „Dzwoń o każdej porze, jeśli będziesz chciała pogadać. Myślę o tobie”.

Nie jestem pewna, czy mam ochotę czytać artykuł, ale nie mogę się powstrzymać przed kliknięciem.

Zaginiony mężczyzna przeżył na wysepce na Pacyfiku

Elizabeth Ivan

„Po trzech i pół roku od zaginięcia został niedawno odnaleziony Jesse Lerner, lat 31, pochodzący z Acton.

Lerner był członkiem ekipy, która leciała na Aleuty, aby filmować tamtejsze krajobrazy i przyrodę. Podczas lotu silnik helikoptera doznał poważnej awarii i runął do oceanu. Trzech innych członków załogi zginęło. Lenera, wówczas 28-letniego, także uznano za zmarłego. Siedem tygodni temu odkrył go na oceanie statek, zmierzający w stronę atolu Midway.

Midway to dawna placówka lotnictwa marynarki wojennej, obecnie pozostająca pod zarządem Agencji Ochrony Dzikiej Fauny i Flory USA. Choć położona w odległym zakątku Pacyfiku, w odległości jednej trzeciej drogi pomiędzy Honolulu a Japonią, zawsze stacjonuje tam od trzydziestu do sześćdziesięciu członków stowarzyszenia.

Przyjmuje się, że cały ten czas Lerner spędził na bezludnej wysepce około tysiąca kilometrów od Midway. Nie ma na razie oficjalnego komunikatu co do tego, w jaki sposób zdołał się uratować.

Hospitalizowany wkrótce po uratowaniu, Lerner został niedawno wypisany ze szpitala i w tym tygodniu wraca do Massachusetts, najprawdopodobniej liniami Hanscom Field. Jego rodzice, Joseph i Francine Lernerowie, nie mogą się doczekać jego przylotu. „Nie jesteśmy w stanie opisać bólu, jaki towarzyszy utracie dziecka. I nawet nie będziemy usiłowali opisać naszej ulgi, kiedy się dowiedzieliśmy, że żyje i wraca do domu” – powiedzieli państwo Lernerowie.

Ponad dziesięć lat temu Jesse Lerner trafił na nagłówki gazet po pobiciu stanowego rekordu uczniów szkół w pływaniu na pięćset metrów stylem dowolnym. Na rok przed zaginięciem poślubił mieszkankę Acton, Emmę Blair. Poproszona o wypowiedź, pani Blair odmówiła jakiegokolwiek komentarza”.

Kończę artykuł i czytam go od nowa. I jeszcze raz. I jeszcze. Otrząsam się dopiero na głos Tiny, która woła mnie po imieniu.

– Dzień dobry, Emmo – mówi swoim bostońskim akcentem, wchodząc tylnym wejściem tuż przed dziesiątą.

Dla mnie bostoński akcent jest wspaniały, brzmi ciepło i przytulnie. Kiedy słyszę, jak robią sobie z niego jaja w telewizji, zawsze się zastanawiam, czy żartowniś lub żartownisia w ogóle byli kiedykolwiek w naszej okolicy. Mnóstwo ludzi w Massachusetts w ogóle nie ma tego akcentu, a ci, co mają, na pewno nie pałkują na podwółku Hałwałdu.

Na dziedzińcu Harvardu nie da się zaparkować.

– Dzień dobry, Tino – mówię.

Tina to typ pracownika, jakiego ze świecą szukać. Jest niepracującą dotychczas matką, której piskłeta właśnie wyfrunęły z gniazda, i kocha książki jak mało kto. Dla wszystkich jest bardzo miła, ale wobec tych, którzy są niegrzeczni, potrafi być twarda. Tęskni za dziećmi, które wyjechały na studia, i pracuje, żeby zająć czymś umysł. Nie sędzę, żeby ona czy jej mąż potrzebowali pieniędzy, które u nas zarabia. Nie żebym ją o to pytała, po prostu co najmniej ćwierć swojego wynagrodzenia wydaje co tydzień na książki po rabatowej cenie, która jej przysługuje.

Kiedy zaczynam być przytłoczona wszystkimi tymi sprawami, które trzeba załatwić, kiedy się prowadzi sklep, to Tina jest tą osobą, na którą mogę liczyć.

Inną rzeczą, którą w niej lubię, jest to, że w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowana tym, żeby się ze mną zaprzyjaźnić. Razem pracujemy. Jestem jej szefową. Jesteśmy dla siebie miłe i od czasu do czasu pośmiejemy się razem w magazynie. I na tym koniec.

Kiedy zaczęłam pracę na stanowisku kierowniczym, miałam kłopoty z ustaleniem granic i jasnym określeniem oczekiwań. Chciałam, żeby wszyscy mnie lubili. Chciałam, żeby ludzie mieli wrażenie, że należą do rodziny – bo tym właśnie była dla mnie zawsze ta księgarnia. Rodziną. Ale biznes tak nie działa. I nie potrzebuję, żeby pracownicy mnie lubili. Potrzebuję, żeby mnie szanowali i żeby dobrze wykonywali swoją pracę.

Opłaciłam tę wiedzę paroma trudnymi doświadczeniami, ale koniec końców mogę powiedzieć, że ją opanowałam. W tej chwili mam zespół pracowników, którzy być może czasem na mnie narzekają, ale są dumni ze swojej posady, z tego, że prowadzą świetną księgarnię.

Dziś jestem szczególnie wdzięczna losowi, że moi pracownicy nie są moimi przyjaciółmi. Wiem, że Tina czyta „The Beacon”. Jestem pewna, że czytała ten artykuł. Ale wiem, że o nic mnie nie spyta.

Kiedy o jedenastej schodzą się na swoje comiesięczne spotkanie członkinie Aktońskiego Towarzystwa Czytelniczego Pań, zaczynam się niepokoić.

Samolot Jessego ląduje za cztery godziny.

Jesse, mój Jesse, będzie dziś w domu.

Trzy lata i siedem miesięcy temu wysadziłam go z samochodu na dworcu lotniczym LAX w Los Angeles, a dziś po południu pojedę po niego na lokalne lotnisko linii Hanscom.

Od południa do drugiej robota idzie mi marnie. Jestem rozkojarzona, niecierpliwa i nieuważna.

Podliczam jakąś kobietę na szesnaście osiemdziesiąt siedem, a kiedy podaje mi banknot dwudziestodolarowy, wydaję jej szesnaście dolarów osiemdziesiąt siedem centów reszty.

Jakiś mężczyzna pyta, czy jest *Strasznie głośno, niesamowicie blisko* Jonathana Foera, a ja odpowiadam: „Tak, mamy wszystkie książki Jonathana Lethema”.

Kiedy Mark, jedyny z moich pracowników, którego określiłabym jako książkowego snoba, przychodzi mnie zastąpić, jestem chodzącą definicją ulgi.

Czas jechać.

Mogę jechać.

Mogę stąd wyjść.

Kiedy zbieram manatki i rzucam na siebie okiem w łazienkowym lustrze, przez chwilę żałuję, że nie przyjaźnię się bliżej z Tiną. Miło byłoby spojrzeć na kogoś i spytać: „Jak wyglądam?” I usłyszeć odpowiedź: „Świetnie. Wszystko będzie dobrze”.

Gdy wsiadam do samochodu, przychodzi mi do głowy, że może by zadzwonić do Marie. To chyba odpowiednia osoba, żeby wstawić mi podnoszącą na duchu gadkę, jakiej człowiek potrzebuje, gdy jedzie na spotkanie z dawno zaginionym mężem. Kiedy jednak biorę do ręki telefon, moją uwagę odwraca SMS od Sama.

„Kocham cię”.

Tego typu rzeczy piszemy sobie codziennie, dziś jednak jest to zarówno podnoszące na duchu, jak i rozdzierające serce.

Patrzę przed siebie przez przednią szybę, zdumiona, co się stało z moim spokojnym, uporządkowanym życiem.

Mam męża i narzeczonego.

Zapalam silnik, ruszam i wyjeżdżam z parkingu.

Mężczyzna, którego straciłam, wraca po latach do domu.

Kiedy przyjeżdżam na lotnisko, parking jest pusty. Sprawdzam czas. Jestem o osiemnaście minut za wcześnie.

Wiercę się niespokojnie na siedzeniu, nie wiedząc, co zrobić z nerwową energią wypełniającą mi ciało. I wtedy telefon wybuchą znanym dźwiękiem dzwonka i na ekraniku widzę twarz Olive.

Odbieram.

– Jak się czujesz? – pyta, nie mówiąc nawet „cześć”.

– Nie wiem – mówię

– Już jest?

– Niedługo będzie. Mają lądować za piętnaście minut.

– Jezu.

– Właśnie.

– Co mogę zrobić?

Oto Olive w funkcji go-to. „Co mogę zrobić?” Jest to wspaniąła cecha u przyjaciółki. Oznacza, że zawsze to ona jest tą, która sprząta ze stołu talerze, jeśli do Ciebie przyjechała. Zawsze ona jest tą, która przysyła przemyślane prezenty i sprawdza, czy wszystko u Ciebie w porządku. Ale sytuacja taka jak ta to nie jest jej żywioł.

Bo nie ma tu dla niej nic do roboty.

Nic się nie da zrobić.

Jest jak jest. Po prostu.

– Może przynajmniej przysyłę ci kwiaty? – mówi.

Uśmiecham się.

– Wątpię, czy kwiaty mogą coś pomóc na fakt, że mam jednocześnie męża i narzeczonego.

– Mówisz kompletne bzdury. Kwiaty pomagają na wszystko.

Śmieję się.

– Dziękuję ci, że potrafisz być w tej chwili zabawna – mówię.

– A ja ci dziękuję, że myślisz, że żarty z poważnych spraw są na miejscu – mówi Olive. – Tracey tak nie uważa.

Tracey to dziewczyna Olive. Muszę powiedzieć, że fakt, że są parą, jest dla mnie absolutnie bez sensu. Tracey jest poważną erudytką, która poprawia błędy językowe innych osób. Jest smukła, królewska, wspaniąła. W Olive zaś w moich oczach najlepsze jest to, że zawsze mówi, co tylko przyjdzie jej do głowy, zjada wszystko, co ma pod ręką, i jest gotowa spróbować wszystkiego, co jej zaproponujesz.

Sam łatwo oddała problem, tłumacząc powierzchownie, że przeciwieństwa się przyciągają, ale ja nadal doszukuję się w tym czegoś więcej. Sam przynajmniej raz na miesiąc zmuszony jest powiedzieć: „Czy naprawdę musimy wciąż rozmawiać o Olive i Tracey?”

– Jak myślisz, wszystko z nim w porządku? – pyta Olive.– To znaczy, wiem, że żyje i że uznali go już za wystarczająco zdrowego, ale nie sądzisz, że może się okazać, że ma coś nie tak z głową? Jak myślisz? Trzy lata samotności! Na pewno żywił się orzechami kokosowymi i rozmawiał sam ze sobą.

– To nie pomaga – mówię. – Wręcz przeciwnie.

– Przepraszam. Już się zamykam.

– Nie, nie zamykaj się. Po prostu przestań mówić o tym, że mój mąż jest na pewno niezrównoważony umysłowo. Porozmawiajmy o czymś innym. Muszę jakoś zabić czas do jego przylotu, a obawiam się, że jeśli będę go zabijała w pojedynkę, to ja się okażę tą, która jest niezrównoważona umysłowo.

Olive się śmieje.

– Mówiłam już, że w kryzysie nie opuszcza cię poczucie humoru.

– To nie był żart – mówię.

Po czym obie wybuchamy śmiechem, bo to właśnie jest najśmieszniejsze ze wszystkiego, prawda? To, że to jest takie serio, że w ogóle nie jest śmieszne.

I właśnie w chwili, gdy śmiejemy się z całego serca, na parking zajezdża biała terenówka i zanim jeszcze zobaczę, kto prowadzi, wiem, że to rodzice Jessego.

– Ojej, muszę kończyć. Przyjechali Francine i Joe.

– O Boże – wzdycha Olive. – Co za niezręczna sytuacja...

– Troszeczkę, to prawda – przyznaję i wyłączam silnik.

– Kiedy ostatni raz z nimi rozmawiałaś?

– W zasadzie nie rozmawiałam, odkąd zaginął – mówię. Przez parę miesięcy zachowywaliśmy pozory rodziny, dzwoniliśmy do siebie z życzeniami na urodziny i święta. Ale to się szybko skończyło. Szczerze mówiąc, myślę, że dla nas wszystkich było to zbyt bolesne. Przez ostatnie kilka lat, mieszkając w tym samym mieście, nie widywaliśmy się w ogóle, nie licząc przypadkowych spotkań w sklepie spożywczym.

– Dobra, to życz mi powodzenia i kończę. Muszę lecieć.

Olive ma okropny zwyczaj, którego nie zauważałam, dopóki nie przeprowadziłyśmy się do innych miast i nasza relacja z konieczności nie zaczęła bazować na kontakcie telefonicznym. Kiedy się jej mówi „muszę kończyć”, odpowiada: „okej”, po czym gada przez kolejne pół godziny.

– Okej – mówi. – Powodzenia. Jestem z tobą. A jak Sam? Jak to znosi?

– Sam... – Nie wiem, jak dokończyć to zdanie i nie mam na to czasu. – Nie wiem – mówię. – I naprawdę muszę już kończyć. Dzięki za telefon. Nie wiem, jak dałabym sobie radę bez ciebie.

– Dzwoń, kiedy tylko zechcesz – mówi Olive. – I daj mi znać, jeśli będę mogła jakoś pomóc.

– Dam – obiecuję. – Dobra, to jesteśmy w kontakcie.

– Jesteśmy w kontakcie – powtarza. – A jak wasze plany ślubu z Samem? W tej chwili pod znakiem zapytania, co?

– Olive! – mówię, tracąc cierpliwość.

– Przepraszam. – Do Olive dociera, co robi. – Cała ze mnie Olive.

Śmieję się.

– Tak jakby.

– Dobra, to kończę. Kocham cię. Jestem z tobą. Nawet nie pytam, jak Ava i Sophie, wiem, że nie masz czasu.

– Świetnie. Dziękuję. Kocham cię. Na razie.

– Na razie.

Kiedy się rozłącza, dociera do mnie, jaka jestem samotna. Przez chwilę mi się zdawało, że mój problem to pozbyć się Olive. Teraz sobie przypominam, na czym polega prawdziwe wyzwanie.

Wysiadam. Francine dostrzega mnie i macha w moją stronę.

Ja też jej macham i ruszam ku nim.

Francine ma na sobie obcisłą sukienkę w kolorze burgunda i granatową marynarską kurtkę. Kręcone ciemne włosy sięgają ramion.

Ścisną mnie mocno, żarliwie, tak jakby za mną tęskniła przez cały ten czas. Potem bierze mnie w ramiona Joe. Wygląda, jakby się wybierał do kościoła: szare spodnie, jasnoniebieska koszula, granatowy blezer. Zauważam, że zaczynają mu rzednąć włosy. Na twarzy w miejscu dawnych równin pojawiły się doliny.

– Cześć, kochanie – mówi.

– Emma – Francine owija szyję szalikiem – jak to dobrze cię widzieć. Całkiem jakby człowiek zaczerpnął świeżego powietrza.

– Dziękuję – mówię. – Wzajemnie. – Nie wiem, jak się do niej zwracać. Kiedy byłam małą, nazywałam ją panią Lerner. Kiedy wyszłam za jej syna, zwracałam się do niej per Franny.

– Spójrz na jej włosy! – Francine wskazuje mężowi moją krótką fryzurkę, ale jej nie dotyka. – Zupełnie inaczej niż dawniej.

Jestem silniejsza niż wtedy, gdy byłam z nimi w kontakcie. Prościej się trzymam. Jestem cierpliwsza. Bardziej doceniam to, co mam, mniej żałuję tego, czego nie mam. Mniej się denerwuję. Czytam o wiele więcej książek. Gram na pianinie. Jestem zaręczona.

Ale, rzecz jasna, tego wszystkiego nie widać.

Na pierwszy rzut oka widać tylko moją krótką blond fryzurkę.

– Bardzo chłopięca.

– Dziękuję – mówię, tak jakbym była przekonana, że to komplement, ale Francine mówi to tak, że bynajmniej nie jestem.

– Jak się masz? – pyta.

– Hm. Dobrze. A wy?

– My też, my też. Niezbadane są drogi Pana, ale zdumiona jestem, właściwie pełna pokory, że dostajemy dziś od niego taki dar.

Jesse nie otrzymał żadnego wychowania religijnego i w szkole średniej słyszałam raz, jak Francine mówi do mormona, który zadzwonił do ich drzwi: „Nie obchodzi mnie, czego pańskim zdaniem chce od nas Bóg”. Czyżby to się zmieniło? Czyżby utrata Jessego spowodowała jej nawrócenie, a odzyskanie go stanowi w jej oczach dowód, że jest na właściwej drodze?

Joe spogląda na mnie przelotnie i odwraca wzrok. Nie wiem, co myśli, ale wygląda, jakby było w nim więcej wątpliwości w związku z tym wszystkim. Francine zdaje się sądzić, że zaledwie Jesse wysiądzie z samolotu, życie znowu stanie się sielanką. Ale Joe chyba rozumie, że wszystko będzie teraz o wiele bardziej skomplikowane.

– No dobrze – mówi Francine. – To może wejdziemy? Nie mogę uwierzyć, że on zaraz wylądaje. Popatrzcie tylko, idziemy w trójkę na spotkanie naszego chłopca!

Wyjmuje telefon i sprawdza.

– No to Chris i Tricia z chłopakami zaraz będą. Danny i Marlene też.

Wiedziałam, że Chris i Tricia mają dzieci. Nie dlatego, że ktoś mi o tym powiedział, tylko że w zeszłym roku widziałam Tricię w sklepie TJ Maxx z drepczącym u jej boku maluchem i w zaawansowanej ciąży.

Kim jest Marlene, nie wiem. Mogę się tylko domyślać, że to dziewczyna, narzeczona lub żona Danny’ego.

Prawda jest taka, że nie wiem już niemal nic o tym, co słyhać u Lernerów, a oni nie wiedzą niemal nic, co słyhać u mnie. Nie wiem nawet, czy w ogóle wiedzą o Samie.

Francine rusza pewnym krokiem w stronę terminalu, a my z Joem za nią.

– Trudno przewidzieć, jak on się będzie czuł – mówi, idąc, Francine. – Z tego, co mi powiedzieli lekarze, w tej chwili naszym głównym zadaniem jest zapewnić mu poczucie bezpieczeństwa.

– Oczywiście – mówię.

Tuż przed drzwiami Francine odwraca się i patrzy na mnie.

– I zgodnie z tym postanowiliśmy nie wspominać mu na razie, co się u ciebie zmieniło.

A więc wiedzą. No oczywiście, wiedzą.

– Okej – mówię, bo co innego mogłabym powiedzieć poza potwierdzeniem, że słyszałam.

Zrywa się wiatr. Szkoda, że nie wzięłam cieplejszego okrycia – powietrze tu jest ostrzejsze, niż

sądziłam. Zapinam się pod szyją. Joe robi to samo.

– Możesz mu powiedzieć, jeśli chcesz – mówi Francine. – Nie wiem tylko, czy on sobie poradzi ze świadomością, że jesteś już zaręczona z innym.

Jedynie słówko „już” mi przeszkadza. „Już” tkwiące pewnie w zdaniu, jak gdyby to miejsce pomiędzy „jesteś” i „zaręczona” było dla niego jedyne właściwe.

Postanawiam milczeć. Mówię sobie, że najlepszą reakcją jest stoicyzm. Po czym, zanim zdam sobie sprawę, co robię, pozwalam, by uczucia, jakie przepełniają mi pierś, ujawniły się w formie słów.

– Niepotrzebnie budzisz we mnie poczucie winy. Sama z siebie czuję się dostatecznie winna.

Choć wiem, że mnie słyszy, udaje, że nie słyszała. Nieważne, nawet gdyby przyjęła to do wiadomości, i tak nie jest w stanie zrozumieć, o co mi chodzi.

Czuję się okropnie, bo położyłam na Jessem kreskę. Bo uwierzyłam, że nie żyje. Bo pogodziłam się z jego stratą i zaczęłam żyć na nowo. Bo zakochałam się w innym. Wściekła jestem za to na siebie.

Ale jestem zła na siebie również i za to, że nie jestem lojalna wobec Sama, że moje uczucie dla niego nie jest tak niezachwiane i głębokie, jak mu obiecałam. Jestem zła na siebie za to, że jestem niepewna, że nie potrafię mu powiedzieć, że liczy się tylko on, że nie damę mu takiej miłości, na jaką zasługuje.

Jestem wściekła na siebie za wiele rzeczy.

Tak wiele, że prawie nie mam czasu, żeby się przejmować, co myślą o mnie inni.

– Okej – mówi pośpiesznie Joe. – Idziemy. Jesse ląduje lada moment.

Przez szklaną płytę okna patrzę, jak maszyna zniża się i ląduje na pasie.

Serce zaczyna mi bić tak mocno, że chyba dostanę ataku serca.

Człowiek na ziemi podtacza schodki. Drzwi się otwierają. Wychodzi pilot.

A po nim Jesse.

Zniszczony, mizerny, a mimo to nigdy nie był dla mnie tak piękny jak w tej chwili.

Zdjęcia nigdy nie oddawały czaru jego uśmiechu. Teraz to sobie przypominam.

Jest chudy i żyłasty, tak jakby jego ciało składało się wyłącznie z mięśni i kości. Owal twarzy, niegdyś łagodny, teraz jest kanciasty, miękkie płaszczyzny policzków zastąpiły twarde krawędzie. Włosy ma dłuższe i bardziej potargane. Skóra jest w jasnobrązowe i różowe łaty, co wygląda na efekt słonecznych oparzeń.

Ale jego gesty są takie same. Taki sam jest uśmiech. Takie same oczy.

Nie spuszczam z niego oczu, gdy wysiada z samolotu. Nie spuszczam z niego oczu, gdy ginie w uścisku Joego i Francine. Nie spuszczam z niego oczu, gdy podchodzi do mnie, gdy patrzy mi przenikliwie w oczy. Zauważam, że mały palec u prawej ręki kończy się na pierwszej kostce. Gdzieś po drodze stracił palec.

– Cześć – mówi.

To jedno słowo cofa mnie w czasie, do okresu w moim życiu, kiedy wszystko miało sens, kiedy świat był w porządku.

– Cześć.

– Jak dobrze cię widzieć.

Uśmiecham się. Chowam twarz w dłoniach. Obejmuje mnie i przygarnia. Czuję, jak nierówno bije mi puls, tak jakby nie był pewien, czy ma przyspieszyć, czy zwolnić.

Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

Kiedy jednak otwieram oczy, on nadal jest. Jest tuż przede mną. Otacza mnie ramionami.

Rozpaczalam po nim, jakby umarł. Ale oto jest.

To niemal przerażające, jak dalece sprzeciwia się to logice. Co jeszcze wiemy o świecie, co nie jest prawdą?

– Jesteś – mówię.

– Jestem.

Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek ogląda się wstecz na swoje życie i dziwi się, jak to możliwe, że minęło tyle czasu? Jak to się stało, że każda chwila przeszła w kolejną, tworząc dni, miesiące i lata, które teraz odczuwa się jak sekundy?

Tak właśnie się czuję.

Teraz.

W tej chwili.

Wydaje mi się, że nasza wspólna przeszłość rozciąga się w eony, a czas, jaki spędziłam bez niego, to nieznaczące, nieznaczące mgnienie.

Kochałam Jessego od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam go na tamtych zawodach.

I trudno mi sobie przypomnieć, jak ja żyłam bez niego, jak byłam w stanie patrzeć na świat, na którym, jak sądziłam, go nie było, dlaczego myślałam, że potrafię pokochać innego tak, jak kochałam jego.

Bo to był i jest on.

Całe moje życie.

Zawsze, zawsze był to on.

Jak mogłam tak długo nie pamiętać, kim jestem i kogo kocham?

Ostatnich parę godzin minęło jak we mgle. Stałam, prawie się nie odzywając, gdy cała rodzina witała w domu odzyskanego syna i brata. Patrzyłam, jak Francine rzewnie płacze i modli się na jego widok, jak Chris i Tricia prezentują mu swojego syna Trevora i małą córeczkę Ginnie. Jak Danny przedstawia go swojej świeżo poślubionej żonie Marlene.

Mój telefon dzwonił parę razy, ale nie mogłam się zmusić choćby do rzucenia okiem, kto dzwoni. Nie potrafię w tej chwili radzić sobie z realnym życiem. Ledwie mogę poradzić sobie z tym, co rozgrywa się na moich oczach.

I nawet nie próbuję ogarnąć tego, co dzieje się na moich oczach z moim realnym życiem.

Tyle rzeczy musi Jesse przetworzyć w głowie. Widać, że jego rodzina chce mu wszystko powiedzieć, wszystko dla niego zrobić. Łapię się na tym, że i ja chciałabym mu przekazać każdą myśl, którą miałam w głowie, odkąd zagałę, opisać każdą chwilę, którą spędziłam bez niego, każde uczucie, które przeżywam obecnie. Chciałabym podłączyć moje serce do jego i wyładować te trzy i pół roku wprost w jego duszę.

I jak przypuszczam, wszyscy inni chcą zrobić dokładnie to samo.

Jakie to musi być dla niego przytłaczające – być człowiekiem, na którego wszyscy patrzą, którego każdy chce zobaczyć na własne oczy i wziąć we własne ramiona!

Patrzę na Jessego w kręgu rodziny i nagle mam wrażenie, że jestem tu intruzem.

Jesse bierze po raz pierwszy na ręce swoją brataniczkę, Ginnie. Stara się zachować spokój. Ale znam go. Wiem, co mówią jego oczy. Wiem, dlaczego płaszczy uszy, dlaczego jeży mu się i sztywnieje grzbiet.

Czuje się niezręcznie. Jest zmieszany. To tak wiele dla niego. Za wiele.

Przyłapuję jego wzrok. Uśmiecha się.

I zdaję sobie sprawę, że to wszyscy inni są tu intruzami. W pomieszczeniu jest ze dwadzieścia osób, ale dla Jessego i mnie istnieją na całym świecie tylko dwie, a te dwie osoby to Jesse i ja.

Kiedy jego rodzina się uspokaja, zaczynają dyskutować, jak wróćą do Francine i Joego. Widzę, że Jesse odrywa się od tłumu, po czym czuję, że obejmuje mnie ramieniem i odciąga na bok.

– Masz tu samochód? – pyta.

– Tak. Stoi na parkingu.

Nie mogę uwierzyć, że z nim rozmawiam. Stoi przede mną. Rozmawia ze mną. Jesse Lerner. Mój Jesse. Żyje i rozmawia ze mną. Nie ma nic, co byłoby równie nieprawdopodobne, a mimo to rzeczywiste.

– Świetnie. To zabierajmy się stąd.

– Okej – mówię z kamienną twarzą.

– Co ci jest? – pyta. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. – Słyszy, co powiedział, i zamyka oczy. Kiedy je otwiera, mówi: – Przepraszam. Rzeczywiście patrzysz na ducha. Prawda?

Patrzę na niego i ogarnia mnie fala wyczerpania.

Czy wiecie, jakie to męczące – widzieć przed sobą umarłego? Musieć w każdej sekundzie przypominać mózgowi, że twoje oczy nie kłamią?

Przytłacza mnie fakt, że tak zdumiewająco niewiarygodna jest prawda. Że mogę ot tak, wyciągnąć rękę i go dotknąć. Że mogę zadać mu każde pytanie, o których zadaniu marzyłam tyle lat. Że mogę mu powiedzieć, że go kocham.

Pragnienie, by mu to powiedzieć, i świadomość, że nigdy mnie nie usłyszy, dręczyło mnie latami.

A teraz mogę mu to powiedzieć. Mogę po prostu otworzyć usta i powiedzieć, a on usłyszy i będzie wiedział.

– Kocham cię – mówię, bo tak to czuję w tej chwili, ale mówię też za te wszystkie razy, kiedy nie mogłam mu tego powiedzieć.

Patrzy na mnie i się uśmiecha – spokojnym, pełnym znaczenia uśmiechem.

– Ja też cię kocham.

Wszystko to jest tak raniące, a zarazem tak dobrze to słyszeć, że głowę dam, serce mi krwawi.

Jest to tak wielka ulga w bólu tak głębokim, że się rozsypuję, tak jakbym dotąd nie zdawała sobie sprawy, ile wysiłku wymaga, by wyglądać normalnie, by trzymać się prosto.

Nogi nie mogą mnie już utrzymać. Płuca nie mogą oddychać. Oczy patrzą przed siebie, ale nic już nie widzę.

Jesse chwyta mnie, zanim upadnę. Wszyscy patrzą, ale mało mnie to obchodzi.

Jesse podtrzymuje mnie i prowadzi do łazienki. Kiedy drzwi są zamknięte, opasuje mnie ciasno ramionami, przygarnia tak blisko, że nie dzieli nas nawet warstewka powietrza. A przez lata dzieliła nas niezmiernie, nieogarniona przestrzeń.

– Wiem – mówi. – Wiem.

Jest jedynym człowiekiem, który rozumie mój ból, moje zdumienie, moją radość.

– Powiem moim, żeby dali nam trochę czasu, okej?

Kiwam gwałtownie głową w jego pierś. Całuje mnie w czubek głowy.

– Zaraz wracam. Zostań tutaj.

Wspieram się o ścianę łazienki i patrzę, jak wychodzi.

Spoglądam na siebie w lustrze. Oczy mam szkliste i przekrwione, wokół oczu czerwone plamy. Diament na moim palcu łapie przyćmione żółte światło.

Mogłam go zdjąć, zanim wyszłam z domu. Mogłam go ściągnąć z palca i zostawić w samochodzie. Ale nie ściągnęłam. Nie ściągnęłam, bo nie chciałam kłamać.

W tej chwili jednak za Boga nie mogę pojąć, dlaczego uważałam, że lepiej jest zostawić pierścionek na palcu niż wrzucić go do szkatułki z biżuterią, a na jego miejsce włożyć ten mały z rubinem.

Oba stanowią tylko połowę prawdy.

Zamykam oczy. Wspominam mężczyznę, przy którym obudziłam się tego ranka.

Wraca Jesse.

– W porządku – mówi. – Idziemy.

Bierze mnie za rękę i wyprowadza tylnym wejściem. Prowadzi mnie w stronę parkingu. Jego rodzina wciąż jest w środku. Wiatr rozwiewa nam włosy.

– Który jest twój? – pyta.

Wskazuję mojego sedana, stojącego w kącie parkingu. Wsiadamy. Przekręcam kluczyk, wrzucam wsteczny, po czym znowu przełączam na luz.

– Muszę chwilę posiedzieć – mówię.

Czasem mi się wydaje, że to sen, z którego się zaraz przebudzę, i nie wiem, czy to będzie dobrze, czy źle.

– Jasne – mówi Jesse. – Ile ci potrzeba.

Patrzę na niego, usiłując w pełni ogarnąć to, co się dzieje. Łapię się na tym, że wpatruję się w miejsce, gdzie była kiedyś reszta jego małego palca.

Wiele dni potrwa, może tygodni, może miesięcy albo lat, zanim każde z nas będzie w stanie zrozumieć, co przeżyło to drugie, zrozumieć, kim jesteśmy dla siebie teraz.

Jakoś robię się spokojniejsza od tej myśli. Nie ma co się śpieszyć, żeby znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Potrwa to tyle, ile potrwa.

– W porządku – mówię. – Już dobrze.

Ruszam w stronę jezdni. Kiedy docieram do głównej drogi, skręcam w prawo.

– Dokąd jedziemy? – pyta.

– Nie wiem – mówię.

– Chcę z tobą porozmawiać. Chcę rozmawiać z tobą bez końca.

Na chwilę odwracam wzrok od drogi i spoglądam na niego.

Nie wiem, dokąd jadę. Po prostu jadę. Włączam ogrzewanie i na dłonie i stopy bucha mi fala gorącego powietrza. Czuję ciepły nawiew na policzkach.

Stajemy na czerwonym świetle.

Spoglądam na niego. Patrzy przez okno, zamyślony. Bez wątpienia wszystko to jest dla niego jeszcze bardziej oszołamiające niż dla mnie. Na pewno ma własne pytania, własne sprzeczne uczucia. Może kogoś pokochał w świecie, w którym przebywał, kiedy go tu nie było. Może, aby przeżyć, aby wrócić, zrobił coś, czego nie sposób wyjawic. Może gdzieś po drodze przestał mnie kochać, zapomniał o mnie.

Zawsze uważałam Jessego za moją drugą połówkę, za kogoś, kogo znam jak siebie samą, ale prawda jest taka, że w tej chwili jest dla mnie człowiekiem obcym.

Gdzie był? Co przeżył?

Światła zmieniają się na zielone. Niebo ciemnieje. Prognoza mówiła, że wieczorem może być grad.

Wieczorem.

Wieczorem mam wrócić do domu, do Sama.

Kiedy kręte boczne drogi stają się jeszcze bardziej kręte, zdaję sobie sprawę, że nie zmierzam w żadne konkretne miejsce. Zjeżdżam na pobocze. Wrzucam luz i zaciągam ręczny hamulec, ale ogrzewanie pozostawiam włączone. Odpinam pas i zwracam się w jego stronę.

– Opowiedz mi wszystko – mówię. Ciężko mi na niego patrzeć, choć niczego nie pragnę widzieć bardziej niż jego.

Gdziekolwiek był, cokolwiek robił, wyniszczyło go to. Cerę ma wysuszoną, w miejscach strategicznych zmarszczki. Czy te kurze łapki to od wpatrywania się w dal, wypatrywania jakiegoś ratunku? Czy brak małego palca to jedyna rana, czy pod ubraniem ma ich więcej? Wiem, że wiele musi się kryć pod powierzchnią.

– Co chcesz wiedzieć? – pyta.

– Gdzie byłeś? Jak to się stało?

Jesse wydmuchuje z ust powietrze, wymowny znak, że to pytania, na które tak naprawdę nie chce odpowiadać.

– To może wersja skrócona? – proponuję.

– A może porozmawiamy o czymś innym? O czymś zupełnie innym?

– Słucham? – mówię. – Ja muszę wiedzieć.

Jesse spogląda w okno, a potem znowu na mnie.

– Opowiem ci, ale potem obiecasz mi, że więcej nie będziesz pytać. Dobrze? Nigdy więcej.

Uśmiecham się i podaję mu rękę.

– Umowa stoi.

Jesse ujmuje moją dłoń. Jego ręka jest ciepła w dotyku. Muszę się powstrzymać, żeby nie dotykać go także gdzie indziej. Po czym Jesse otwiera usta i mówi:

– No więc było tak.

Kiedy helikopter runął do oceanu, wiedział, że przeżył tylko on. Nie mówi, skąd wiedział, nie chce rozmawiać o katastrofie. Mówi tylko, że była tam dmuchana tratwa z zapasami awaryjnymi, między innymi wodą pitną i racjami żywności, które uratowały mu życie i pozwoliły przetrwać parę tygodni, dopóki nie natrafił na ląd.

„Ląd” to określenie przesadne. Była to niewielka formacja skalna pośrodku oceanu. Sto kroków od końca do końca. Nie była to właściwie nawet wysepka, a tym bardziej wyspa, ale zbocze miała z jednej

strony na tyle łagodne, że tworzyło coś w rodzaju maleńkiego wybrzeża. Wiedział, że jest już daleko od Alaski, bo woda była ciepła, a słońce świeciło nieubłaganie. Z początku zamierzał zostać tu tylko na tyle długo, żeby odpocząć, poczuć grunt pod nogami. Wkrótce się jednak przekonał, że tratwa przedziurawiła się o skały. Powietrze uszło z niej niemal do końca. Był w pułapce.

Wody pitnej już prawie nie miał, a odżywczych batoników mało. Używał starych pojemników na wodę do zbierania deszczówki. Przeszukał skały, czy nie ma jakichkolwiek roślin czy zwierząt, ale znalazł tylko kamienie i piach. Wymyślił więc sposób na łowienie ryb.

Zdarzało się, że popełniał błędy. Zjadł parę ryb, po których wymiotował. Wypijał wodę szybciej, niż był w stanie uzupełnić jej zapas. Ale znalazł też na przybrzeżnych skałach ostrygi i małże, a podczas szczególnie uporczywej burzy udało mu się zgromadzić zapas wody na tydzień, co dało mu znaczną przewagę. Pomiędzy dwiema skałami rozwiesił przebitą, pozbawioną powietrza tratwę i gdy w południe paliło słońce, przespisał parę godzin w jej cieniu. Szybko wypracował sobie stabilny porządek dnia.

Jadł surowe ryby, skorupiaki i pozostałe jeszcze batoniki, pił deszczówkę i ukrywał się przed słońcem. Czuł się dość pewnie. Wydawało mu się, że potrafi tak przetrwać dość długo, dopóki go nie odnajdziemy. Po paru tygodniach dotarło jednak do niego, że nie uda się nam go odnaleźć.

Mówi, że wtedy przeżył załamanie, a po nim – odrodzenie.

Wtedy właśnie zaczął trenować.

Wiedział, że nie może do końca życia egzystować samotnie na maleńkim występie skalnym pośrodku Pacyfiku. Wiedział, że jego jedyną szansą jest to, do czego przewidziano go w dzieciństwie: pływanie.

Zaczął trenować.

Liczył ruchy ramion i każdego dnia wypływał dalej niż poprzedniego.

Z początku płynął powoli, a i tak był potem wyczerpany jak nigdy.

Po paru miesiącach był jednak w stanie wypłynąć daleko na ocean. Wierzył, że któregoś dnia będzie na tyle silny, żeby płynąć tak długo, jak będzie trzeba.

Prawie dwa lata trwało, zanim wypracował sobie odpowiednią kondycję i odwagę. Przetwał komplikacje zarówno drobne (oparzenie przez meduzę), jak poważne (przez parę tygodni wokół jego skały krążył rekin). I kiedy w końcu wypłynął na dobre, to nie dlatego, że wierzył, że mu się uda.

Wypłynął, bo wiedział, że jeśli tego nie zrobi, umrze.

Odżywczych batoników nie miał już od dawna. Ostrygi powysychały. Połowę tratwy oderwał i uniosł wiatr. Obawiał się, że zaczyna być nie coraz silniejszy, a coraz słabszy.

Przyszła burza, która przyniosła mu zapasy wody na parę dni. Wypił tyle, ile był w stanie, a za pomocą kawałków tratwy zdołał przymocować sobie parę butelek do pleców.

Po czym wszedł do wody.

Przygotowany na to, że albo znajdzie pomoc, albo zginie.

Nie wie dokładnie, jak długo płynął, stracił też rachubę, jeśli chodzi o ruchy rąk. Wie, że musiały upłynąć niespełna dwie doby, gdy zobaczył statek.

– I wtedy wiedziałem już, że jestem uratowany – mówi. – Że wszystko będzie okej. Że wrócę do domu, do ciebie.

W ogóle nie wspomina o palcu. W całej tej opowieści pominął milczeniem utratę palca. Nie wiem, co robić, bo obiecałam, że o nic więcej nie spytam. Otwieram usta, żeby zrobić to, czego nie powinnam, ale mi przerywa. Rozmowa na ten temat skończona.

– Myślałem o tobie każdego dnia – mówi. – Przez cały ten czas za tobą tęskniłem.

Mam zamiar też mu to powiedzieć, ale uświadamiam sobie, że nie jestem pewna, czy to prawda. Myślałam o nim bez przerwy – aż do dnia, w którym myślałam o nim mniej. A potem myślałam o nim często, ale... to nie to samo.

– Zawsze byłeś w moim sercu – mówię w końcu. Bo wiem, że to prawda. Absolutna prawda.

Choć przeżyliśmy razem kawał życia, choć sądzimy, że rozumiemy się jak nikt, nie wiem, czy

kiedykolwiek zrozumie, jakie to straszne – żyć samotnie pośrodku oceanu. Nie wiem, czy kiedykolwiek potrafię pojąć, jakiej odwagi wymaga, by wypłynąć na otwarte wody.

I choć to rzeczy nieporównywalne, nie sędzę, żeby Jesse potrafił zrozumieć, jak to jest być przekonaną, że twój ukochany nie żyje. A potem siedzieć obok niego w samochodzie na poboczu drogi.

– Teraz twoja kolej – mówi.

– Teraz moja kolej?

– Opowiedz mi o wszystkim.

W chwili, gdy to mówi, wiem, że wie, że jestem zaręczona. Wie o wszystkim. Z jego znaczącego głosu, z jego zaciśniętych ust i skupionych oczu, które mówią: „a więc usłyszę to”, wiem, że sam się wszystkiego domyślił.

Albo zauważył diament na moim palcu.

– Jestem zaręczona – mówię.

I wtedy, nieoczekiwanie, Jesse wybuchają śmiechem. Wygląda, jakby mu ulżyło.

– Co się stało? Czemu się śmiejesz? Co w tym takiego śmiesznego?

– Bo myślałem – mówi z uśmiechem – że już wyszłaś za mąż.

Czuję, że na mojej twarzy rozkwita uśmiech, choć nie potrafię powiedzieć, skąd się właściwie bierze.

Po czym wybucham śmiechem i żartobliwie trącam go w ramię.

– Przecież to praktycznie to samo!

– O nie. To zupełnie co innego!

– Zamierzam wyjść za mąż za innego.

– Ale jeszcze nie wyszłaś.

– No i?

Jak łatwo się z nim rozmawia. Zawsze mi się z nim łatwo rozmawiało. A może po prostu zawsze byłam w tym dobra.

– Przez trzy i pół roku największym moim marzeniem było, żeby cię znowu zobaczyć. I jeśli myślisz, że to, że jesteś zaręczona z innym, powstrzyma mnie przed dążeniem, żeby poskładać na powrót nasze życie, to chyba, kurczę, zwariowałaś.

Patrzę na niego, z początku z uśmiechem, ale szybko dociera do mnie rzeczywistość i uśmiech blednie. Łapię się za głowę.

Zranię wszystkich.

W aucie zapada cisza. Słyszę tylko szum przemykających obok nas samochodów.

– To bardziej skomplikowane niż myślisz – mówię w końcu.

– Emma, ja to rozumiem. Musiałaś zostawić przeszłość za sobą i pójść naprzód. Wszyscy musieli. Wiem, że myślałaś...

– Że nie żyjesz. Myślałam, że nie żyjesz.

– Wiem! – Odwraca się do mnie i chwytam mnie za ręce. – Nie umiem sobie wyobrazić, jakie to wszystko musiało być dla ciebie trudne. Nie chcę sobie tego wyobrażać. Ja przez te wszystkie lata wiedziałem, że żyjesz, wiedziałem, że mam do kogo wrócić. A ty tego nie miałaś. Tak mi przykro, Emma.

Podnoszę na niego wzrok i widzę łzy w jego oczach. Moje też wilgotnieją.

– Tak mi przykro. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Nie powinienem był tego robić. Nie powinienem był cię opuszczać. Nic na świecie, żadne przeżycie nie jest na tyle ważne, żeby warto było za nie płacić ryzykiem, że cię stracę albo zranię, tak jak to zrobiłem. Nocami leżałem bezsennie i martwiłem się o ciebie. Naprawdę, ciągle myślałem o tym, jak musisz cierpieć. Ty i moja matka, i cała moja rodzina. Zabijało mnie to. Wiedzieć, że ludzie, których kocham, że ty, ty, Emma, rozpaczasz po mnie... Tak strasznie mi przykro, że musiałaś przez to przejść. I że to przeze mnie.

Milczy chwilę.

– Ale wróciłem. A tą siłą, która dawała mi napęd, żeby się ratować, byłaś ty. Pragnienie, żeby wrócić

do ciebie. Do życia, które sobie zaplanowaliśmy. Chcę odzyskać to życie. I nie pozwolę, żeby decyzje, które podjęłaś, kiedy mnie nie było, miały wpływać na to, co do ciebie czuję. Kocham cię, Emma. Zawsze cię kochałem. Nigdy nie przestałem cię kochać. Nie potrafię przestać. Nie potrafię kochać żadnej innej oprócz ciebie. Więc rozgrzeszam cię ze wszystkiego, co zaszło, kiedy mnie nie było, a teraz jest nasz czas. Nasz czas, żeby poskładać wszystko z powrotem i żeby było jak dawniej.

W samochodzie jest teraz tak gorąco, że wydaje mi się, że mam temperaturę. Wyłączam ogrzewanie i próbuję zdjąć kurtkę. Trudno to zrobić, siedząc za kierownicą, wykręcam się w lewo i w prawo, usiłując wyjąć ręce z rękawów. Jesse bez słów przytrzymuje jeden rękaw i ciągnie. W końcu się uwalniam.

Patrzę na niego. Jeśli pominąć szok, zakłopotanie i słodycz zaprawioną kroplą goryczy – tym, co czuję, jest totalny komfort. Otworzyć oczy i zobaczyć przed sobą jego twarz, napotkać jego wzrok – to znaleźć się w domu. Nic poza tym nie przynosi tego uczucia tak intensywnie. Tu, w tym aucie, znajduje się najlepsza część moich lat szkolnych, moich lat studenckich i pierwszych lat pracy. Najlepsza część mnie. Cały początek mojego życia to ten mężczyzna.

Lata jego nieobecności w najmniejszym stopniu nie zdołały zniweczyć uczucia ciepła i komfortu, jakie dawała nam obecność tego drugiego w czasach, gdy dzieliliśmy życie.

– Byłeś miłością mojego życia – mówię.

– Jestem miłością twojego życia. Nic się nie zmieniło.

– Wszystko się zmieniło!

– Ale nie między nami. Nadal jesteś dziewczyną z piegami pod okiem. A ja nadal jestem chłopakiem, który cię całował na posterunku policji.

– A co z Samem?

Po raz pierwszy widzę na jego twarzy smutek i złość.

– Nie wymawiaj jego imienia – mówi, odsuwając się. Ostrość jego głosu mnie rozbraja. – Porozmawiajmy o czymś innym. Na razie.

– O czym moglibyśmy poza tym rozmawiać?

Jesse wygląda chwilę przez okno. Widzę, jak zaciska szczęki, a oczy wpatrują się w jeden punkt. Po czym rozluźnia się i odwraca do mnie. Uśmiecha się.

– Widziałaś jakieś dobre filmy?

Mimo woli wybucham śmiechem, i on także. Zawsze tak było z nami. Uśmiecham się, bo on się uśmiecha. On się śmieje, bo śmieję się ja.

– Ciężkie to, naprawdę – mówię, łapiąc dech. – Wszystko to jest takie...

– Nie musi być ciężkie – mówi. – Kocham cię. Ty kochasz mnie. Jesteś moją żoną.

– Nawet nie wiem, czy to prawda. Kiedy zostałeś uznany za zmarłego... To znaczy, nawet nie wiem, czy nadal jesteśmy małżeństwem.

– Nie obchodzi mnie papierek. Jesteś kobietą, którą kochałem przez całe moje życie. Wiem, że musiałaś zrobić krok naprzód. Nie potępiam cię. Ale wróciłem i jestem tutaj. Wszystko może znowu być takie, jakie miało być. Jakie powinno być.

Kręcę głową i ocieram oczy wierzchem dłoni.

– Nie wiem... Nie wiem.

– Ale ja wiem.

Jesse pochyła się i ociera łzy, które spłynęły mi po szyi.

– Ty jesteś Emma – mówi, jakby to był klucz do wszystkiego, jakby problem polegał na tym, że nie wiem, kim jestem. – A ja jestem Jesse.

Patrzę na niego i próbuję się uśmiechnąć. Próbuję, tak jak chciałby, poczuć się lepiej. Próbuję uwierzyć, że wszystko jest tak proste, jak mówi. Prawie mu wierzę. Prawie.

– Jesse...

– Wszystko będzie dobrze, rozumiesz? – mówi. – Wszystko będzie jak trzeba.

- Naprawdę?
- Oczywiście.

Kocham go. Kocham tego człowieka. Nikt mnie nie zna tak jak on, nikt nie kocha mnie tak jak on.

Tam, na zewnątrz, mam inną miłość. Ale jest odmienna. Nie jest tą miłością. Nie jest właśnie tą miłością. Jest i lepsza, i gorsza. Ale chyba tak właśnie jest z miłością między dwojgiem ludzi – jest niepowtarzalna. Za każdym razem, gdy kogoś kochasz, jest to inna miłość. My jesteśmy w niej innymi ludźmi.

W tej chwili jedyne, czego pragnę, to napawać się tą miłością.

Miłością z Jessem.

Rzucam się w jego ramiona, a on mnie mocno przygarnia. Nasze usta są teraz blisko, dzieli je zaledwie parę centymetrów. Jesse przysuwa się jeszcze odrobinę bliżej...

Ale mnie nie całuje.

Jest w tym coś takiego, że odbieram to jako najbardziej dżentelmeńską rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił.

– Wiesz, co zrobimy? – mówi. – Podrzucić mnie do rodziców. Robi się późno i moi pewnie zaczynają się zastanawiać, co się ze mną dzieje. Nie powinienem... nie mogę trzymać ich za długo w niepewności.

– Dobrze – mówię.

– A potem jedź do domu. Gdzie tam mieszkasz. Gdzie mieszkasz?

– W Cambridge – mówię.

– Okej, no to jedź do domu do Cambridge.

– W porządku.

– A gdzie pracujesz? W jakiejś redakcji czy jako wolny strzelec? – pyta ciekawie.

Zwlekam chwilę, nie chcąc go rozczarować.

– W księgarni.

– Co ty mówisz?

– W Blair Books.

– Pracujesz w Blair Books?

– Przeprowadziłam się tutaj, po tym jak... – Zostawiam ten trop. – Zaczęłam tam pracować. I teraz naprawdę to lubię. Teraz jest moja.

– Twoja?

– Tak, ja ją prowadzę. Rodzice czasem bywają, ale w zasadzie przeszli na emeryturę.

Jesse wpatruje się we mnie, tak jakby nie potrafił tego ogarnąć. Po czym twarz mu się wygładza.

– No, no – mówi. – Nie spodziewałem się tego.

– Wiem – mówię. – Ale tak jest okej. Dobrze się stało.

– W porządku. W takim razie jutro na pewno będziesz w księgarni?

– Zwykle przychodzę koło dziewiątej. Otwieram o dziesiątej.

– Możemy pójść razem na śniadanie?

– Na śniadanie?

– No chyba nie sądzisz, że będę czekał aż do lunchu, żeby się z tobą zobaczyć. Do śniadania to i tak bardzo długo.

Myślę o tym. Myślę o Samie. Przytłacza mnie ciężar winy. Otwieram usta, ale zanim zdążę coś powiedzieć, on dodaje:

– Spokojnie, Emma. Przecież możesz chyba zjeść ze mną śniadanie?

Kiwam głową.

– Tak, oczywiście. Siódma trzydzieści?

– Super – mówi. – No to jesteśmy umówieni.

Kiedy podjeżdżam na parking koło mojego domu, jest tuż po ósmej. Wsiadam i zaciskam poły kurtki. Wiatr się wzmaga, temperatura spada, ostry ziąb wciska się za kołnierz. Biegiem rzucam się do wejścia.

Wchodzę do windy. Wciskam guzik piątego piętra. Patrzą, jak drzwi się powoli zamykają i sama też zamykam oczy.

Jeśli mnie spyta, jak było, co mu powiem?

Jak mu powiedzieć prawdę, skoro nie wiem, jaka jest prawda?

Jestem tak zatopiona we własnych myślach, że podskakuję, kiedy winda wydaje „dzyń” i zatrzymuje się.

Na korytarzu, przed naszymi drzwiami, stoi Sam.

Przystojny, miły, z rozdartym sercem – Sam.

– Jesteś! – mówi. – Właśnie mi się zdawało, że słyszę twój samochód, jak wynosiłem śmieci, ale nie byłem pewien. Ja... dzwoniłem do ciebie wcześniej, właściwie to parę razy, ale nie odbierałaś, więc nie wiedziałem, kiedy wrócisz.

Nie był pewien, czy w ogóle wrócę.

Ma szkliste oczy. Płakał. Myśli, zdaje się, że jeśli będzie się trzymał, to nie zauważę.

– Przepraszam. – Ogarniam go ramionami i czuję, jak się o mnie wspiera. Jego ulga jest namacalna. – Straciłam rachubę czasu.

Wchodzimy do mieszkania. Natychmiast po otwarciu drzwi czuję aromat zupy pomidorowej. Sam gotuje najlepszą zupę pomidorową na świecie. Jest lekka, ostra i słodka.

Idę do kuchni. Na blacie leżą wszystkie składniki potrzebne do przyrządzenia grillowanego sera, w tym wegański cheddar, bo ostatnio zaczyna mi się wydawać, że mam nietolerancję laktozy.

– O matko – mówię. – Robisz na kolację zupę pomidorową i grillowany ser?

– No – mówi. Usiłuje się zachowywać na luzie, stara się nadać głosowi beztrioskie brzmienie. – Pomyślałem, że tak będzie w sam raz, bo okropnie dziś zimno.

Podchodzi do deski i zaczyna kroić chleb na kanapki. Kładę torbę na stole i przysiadam koło kuchennego blatu. Patrzą, jak starannie ściera ser na tarce, smaruje chleb masłem. Odpinam kozaki i stawiam je koło drzwi. Ręce Sama drżą leciutko. Na twarzy ma bolesny grymas, tak jakby cały czas walczył o to, by zachować spokój.

Co za udręka – wiedzieć, że tak się stara być opanowany, rozumiejący i cierpliwy, że tak pragnie być dla mnie oparciem, gdy jest od tego wszystkiego jak najdalej. Stoi oto przy kuchni, stawia patelnię na średni płomień i usiłuje udawać, że fakt, iż widziałam się z moim (pierwszym?) mężem, to nie jest dla niego nóż w serce.

Nie mogę dłużej na to pozwolić.

– Możemy o tym porozmawiać – mówię.

Podnosi wzrok.

Mozart wchodzi do kuchni i po chwili zawraca, jakby uznał, że nie chce przy tym być. Patrzą, jak kładzie się koło Homera pod pianinem.

Biorę Sama za rękę.

– Możemy porozmawiać o wszystkim, co masz na myśli, możesz mnie spytać, o co tylko chcesz. To

także twoje życie.

Sam patrzy w bok, po czym kiwa głową.

Zakręca gaz.

– Dawaj. Co tylko chciałbyś wiedzieć. Po prostu mnie spytaj. Tak jest w porządku. Będziemy wobec siebie uczciwi i wszystko będzie okej. – Właściwie to nie wiem, co mam na myśli, mówiąc, że wszystko będzie okej.

Odwraca się do mnie.

– Jak on się ma?

– Och – mówię, zaskoczona, że pierwsze pytanie Sama dotyczy samopoczucia Jessego. – No wiesz... dobrze. Wygląda na to, że się przystosowuje. – Nie wspominam o tym, że jest tak niezachwianie skoncentrowany wyłącznie na jednej sprawie: odbudowie naszego małżeństwa.

– A ty?

– Ja też – mówię. – Trochę jestem oszołomiona tym wszystkim. To strasznie dziwne znowu go zobaczyć. Nie za bardzo wiem, co o tym wszystkim myśleć. – Decyduję się na określenia ogólnikowe, bo bardzo bym nie chciała niczego zawęzić. Nie chciałabym poświęcać więcej uwagi jakiemuś uczuciu niż innym. A zresztą nie wiem, jakich słów bym użyła, nawet gdybym skupiła się na konkretach.

Sam słucha i kiwa głową. Po czym bierze głęboki oddech i pyta o to, co go naprawdę interesuje. Jasne jest, że dwa pierwsze pytania to była rozgrzewka, a teraz pora na zawody.

– Całowałaś się z nim?

Zabawne, prawda? Mężczyźni tak często widzą zdradę w tym, co zrobiłaś, a nie w tym, co czujesz.

– Nie – mówię, kręcąc głową.

Sam momentalnie się rozluźnia, ale ja czuję się gorzej. Wychodzę obronną ręką wyłącznie dzięki szczegółom technicznym. Jesse nawet nie próbował mnie pocałować, więc nie wiem, czybym mu tylko pozwoliła, czy też bym go całowała. A mimo to dostaję uznanie, tak jakbym stawiała opór. Nie czuję się z tym świetnie.

– Zrozumiałbym, gdybyś się z nim całowała – mówi Sam. – Wiem, że... Chyba chodzi mi o to, że...

Czekam, aż skończy zdanie, ale nie kończy. Rezygnuje, tak jakby wyszukanie odpowiednich słów, by oddać to, co myśli, przekraczało jego siły.

Wiem, co czuje.

Znowu włącza palnik i wraca do szykowania kanapek.

– Jesteś w niesamowicie trudnej sytuacji – mówię. Chcę, żeby wiedział, że rozumiem, co przeżywa. Ale właściwie i tak nie potrafię tego zrozumieć, prawda? Nie mam pojęcia, jak to jest – być nim w tej chwili.

– Ty też.

Oboje gramy ze sobą w tę samą grę. Chcemy rozumieć, chcemy, by ta druga osoba czuła się rozumiana, ale prawda jest taka, że stoimy w tej chwili po przeciwnych stronach ulicy, patrząc na siebie nawzajem i próbując sobie wyobrazić, co czuje ten drugi.

Patrzę, jak napięcie jego ciała ujawnia się w zmrużonych oczach i uniesionych barkach. Patrzę, jak smaruje masłem kawałek chleba.

Być może rozumiem go lepiej, niż mi się wydaje.

Sam przyrządza dla narzeczonej kanapki z grillowanym serem, dręcząc się zarazem, że może go zostawić.

Boi się, że może stracić kobietę, którą kocha. Nie ma na tym świecie lęku bardziej pospolitego.

– Zróbmy to razem – proponuję. Podchodzę do patelni i wydaję mu z rąk łypatkę.

Jestem bardzo dobra w przerzucaniu różnych rzeczy na drugą stronę za pomocą łypatki.

Nie jestem dobra w ustalaniu, czym podkreślić trochę mdłą żupę, i nie mam pojęcia, do czego pasuje taki czy inny gatunek sera. Ale pokażcie mi tylko podsmażony z jednej strony omlet, a przewrócę go

jednym ruchem z wprawą urodzonego szefa kuchni.

– Ty smaruj chleb, a ja go przewrócę na drugą stronę – mówię.

Uśmiecha się i słowo daje, jest to tak, jakby zza chmury wyrzało słońce.

– W porządku – mówi. Wkłada teraz w smarowanie więcej energii. Jakie żółte jest to masło.

Zanim spotkałam Sama, trzymałam kostki taniego masła w lodówce i kiedy potrzebowałam go do tosta, kroiałam je na kawałeczki i bezskutecznie usiłowałam rozprowadzić twarde, zimne grudki po gorącej grzance, niczym żałosna, nieudolna bohaterka reklamy.

Kiedy wprowadzaliśmy się z Samem do tego mieszkania, okazało się, że ma niewielki porcelanowy pojemnik, który postawił na blacie. Kiedy go otworzyłam, ukazało się coś w rodzaju przewróconej do góry dnem filiżanki masła, tkwiącej w jezioru wody.

– Co to jest, do diabła? – spytałam, włączając toster. Sam wstawiał szklanki do szafki i słysząc moje pytanie, roześmiał się.

– Francuskie naczynie na masło – powiedział, schodząc ze stołka, i spłaszczył pudło, w które zapakowane były szklanki. – W górnej części trzymasz masło, na spód nalewasz zimnej wody i dzięki temu masło jest schłodzone, ale da się rozsmarować. – Powiedział to tak, jakby wszyscy o tym wiedzieli, a tylko ja byłam ta nienormalna.

– Zjeździłam Francję wzdłuż i wzdłuż – powiedziałam – a nigdy takiego nie widziałam. Czemu to masło jest takie żółte? Czy to jakieś wyrefinowane masło organiczne?

– Po prostu masło. – Wziął kolejne pudło i zaczął wyładowywać jego zawartość do szuflady na sztućce.

– To nie jest po prostu masło! – Wzięłam górną część w kształcie filiżanki i podsunęłam mu pod nos. – Masło masło jest bladożółte. To masło jest żółte żółte.

– Jedyne, co usłyszałam, to „masło masło żółte masło żółte żółte”.

Roześmiałam się.

– Chyba oboje mówimy to samo – powiedział. – Masło jest żółte.

– Przyznaj się, że coś jest z tym masłem – powiedziałam tonem śledczego. – W tej chwili.

– Nie jest to Land O’Lakes, jeśli o to pytasz.

Roześmiałam mu się w nos.

– Land O’Lakes? A co to my jesteśmy, Bill i Melinda Gatesowie? Ja kupuję zwykłe masło marki sklep. Nazwa sklepu to nazwa masła, które kupuję.

Sam westchnął. Zdał sobie sprawę, że go złapałam.

– Jest to w pełni naturalne, organiczne, wolne od hormonów masło pochodzące od krów karmionych trawą z pastwiska – wyznał.

– No, nie – powiedziałam, udając szok. – Człowiek myśli, że kogoś zna...

Sam wyjął mi z rąk pojemnik z masłem i dumnie postawił go na blacie, jakby chciał powiedzieć, że odtąd będzie naszym stałym domownikiem.

– Może i kosztuje dwa razy tyle co zwykłe masło. Ale wystarczy, że raz spróbujesz, i nie będziesz w stanie wziąć do ust normalnego masła. To masło stanie się dla ciebie normalne.

Rozpakowaliśmy wszystkie przybory kuchenne, po czym Sam otworzył opakowanie chleba i wyjął dwie kromki. Włożył je do świeżo podłączonego toster. Patrzyłam, z jaką łatwością rozsmarowuje masło na pieczonych kromkach. A kiedy ugryzłam, wniosłam oczy do nieba.

– O rany – powiedziałam.

– No widzisz? W niektórych sprawach mam rację. Kolejną sprawą, do której zamierzam cię przekonać, jest to, że powinniśmy mieć jakiegoś zwierzaka.

Był to jeden z wielu momentów, odkąd zniknął Jesse, kiedy o nim nie myślałam. Byłam szalenie zakochana w Samie. Pokochałam pianino, pokochałam masło. Po paru miesiącach zaadoptowaliśmy nasze koty. Sam zmieniał moje życie na lepsze i ciekawa byłam, czego mnie jeszcze nauczy. Nasza

wspólna przyszłość wydawała się taka jasna i rozkoszowałam się tym uczuciem.

Teraz, patrząc, jak układa na patelni posmarowane kromki, równo, jedna przy drugiej, rozpaczliwie pragnę go po prostu kochać – niezachwianie i bez zastrzeżeń, tak jak kochałam go jeszcze niedawno, dopóki się nie dowiedziałam, że wraca Jesse.

Tacy byliśmy razem szczęśliwi, kiedy nic nie mąciło naszych dni, kiedy ta cząstka mnie, która kocha Jessego, została radośnie i w sposób naturalny stłumiona i, porządnie zapakowana w pudełko, umieszczona w odległym zakątku mojego serca.

Sam kładzie kromki na skwierczącej patelni, a ja proponuję coś niemożliwego.

– Wiesz co, a jakbyśmy tak dziś wieczorem wzięli to wszystko w nawias? Jak myślisz? Udawalibyśmy, że to zwykły dzień i ja jak zawsze wróciłam z księgarni, a ty ze szkoły, i że wszystko jest jak dawniej, co?

Spodziewam się, że Sam powie, że w życiu tak nie bywa, że to, co proponuję, jest naiwne czy samolubne, czy fałszywe. Ale nie.

Uśmiecha się tylko i kiwa głową. Leciutko. Nie jest to ruch dobitny ani pełen ulgi. Nie mówi nic w stylu: „No, już myślałem, że nigdy o to nie spytasz” ani nawet „Jasne, dobry pomysł”. Raczej: „Wiem, dlaczego ci na tym zależy. Czuję to samo”. Po czym się ogarnia i w jednej chwili wydaje się gotów do gry.

– W porządku, pani Emmo, proszę się przygotować do odwracania – mówi i kładzie na kanapki górne kromki.

– Tak jest! – odpowiadam, z łyżką w stanie gotowości.

– Start!

I dwoma ruchami nadgarstka odwracam zawartość patelni na drugą stronę.

Sam zakręca płomień pod zupą, żeby ją przyprawić.

Bierze dwie miski i dwa płaskie talerze.

Wyjmuje dwa piwa z lodówki i jedno podaje mnie. Przyjmuję. Zimna cierpkość piwa wydaje mi się atrakcyjna i nie wiem dlaczego, ale gdzieś w głowie mam przekonanie, że z piwem łatwiej będzie udawać, że to wieczór jak każdy.

Wkrótce siedzimy przy stole i zabieramy się do jedzenia. Przy naszym stole w jadalni stoją ławki zamiast krzeseł i to pozwala Samowi usiąść tak blisko mnie, jak tylko jest to możliwe. Dotykamy się udami i ramionami.

– Dziękuję za zrobienie kolacji – mówię i całuję go w policzek, tuż koło ucha. Ma tam małą plamkę w rodzaju piega i kiedyś mu powiedziałam, że traktuję to jako cel pocałunku. Zawsze tam mierzę. Normalnie kiedy go tam całuję, on całuje mnie pod okiem. Pieg za pieg. Ale dziś tego nie robi.

– Dziękuję za odwrócenie grzanek – mówi. – Nikt tego nie robi tak jak ty.

Kanapka jest kleista w środku i krucha z wierzchu. Zupa jest słodka z odrobiną pikanterii.

– Naprawdę nie wiem, co lepsze, to czy twój pieczony kurczak – mówię.

– Śmieszna jesteś. Żadna zupa pomidorowa nie umywa się do pieczonego kurczaka.

– No nie wiem. – Zatapiam zęby w kanapce. – Zupa jest naprawdę świetna. Taka domowa i kojąca. A te grzanki...

Sam upuszcza łyżkę do miski. Zupa rozpryskuje się po stole. Opuszcza rękę i patrzy na mnie.

– Jak ja mam udawać, że wszystko jest okej? – mówi. – Chciałbym udawać, że jest inaczej, niż jest. Chciałbym, żeby było inaczej, niż jest. Ale... nie jest.

Chwytam go za rękę.

– Nie mogę rozmawiać o zupie i serze, i... – Zamyka oczy. – Kocham cię, Emma. Nigdy żadnej innej nie kochałem tak jak ciebie.

– Wiem – mówię.

– I to jest w porządku, jeśli, no wiesz... nie jestem dla ciebie tym, czym ty dla mnie. To znaczy, to nie jest w porządku. Ale wiem, że musi to być dla mnie w porządku, jeśli koniec końców się okaże, że taka

właśnie jest prawda. Czy to ma jakiś sens?

Kiwam głową i chcę coś powiedzieć, ale on kontynuuje.

– Po prostu... wydaje mi się... – Znowu zamyka oczy, po czym zakrywa twarz dłońmi, tak jak ludzie wyczerpani.

– Powiedz to – mówię. – Po prostu. Cokolwiek by to było. Po prostu mi powiedz.

– Czuję się nagi. Jakby surowy. Albo jak... – To usiłowanie, by znaleźć słowa, które właściwie oddadzą to, jak się czuje, wygląda, jakby próbował wyskoczyć z własnej skóry. Robi nerwowe, chaotyczne gesty. Po czym przestaje. – Czuję się, jakby całe moje ciało było otwartą raną, a ktoś obok mnie być może posypie mnie solą, a może i nie.

Patrzę na niego, zaglądam mu w oczy i wiem, że cierpienie, które decyduje się ujawnić, to kropla w wiadrze w porównaniu z tym, co czuje.

Nie jestem pewna, czy można oddzielić miłość emocjonalną od fizycznej. Albo może jestem osobą, dla której ważny jest zmysł dotyku. Tak czy owak, nie wystarczy dla mnie powiedzieć „kocham cię”. Słowa znaczą tak mało w porównaniu z tym, co jest we mnie. Muszę mu to pokazać. Muszę się upewnić, że nie tylko to słyszy, ale i czuje.

Nachylam się ku niemu. Całuję go. Przygarniam do siebie. Przytulam się mocno i pozwalam, by wodził mi rękami po plecach. Odsuwam ławkę, siadam mu okrakiem na kolanach i kołyszę się lekko w tył i w przód. I szepczę mu do ucha: „Pragnę cię”.

Całuje mnie agresywnie, jakby i on rozpaczliwie mnie pragnął.

Nie udaje nam się dojść do łóżka czy kanapy. Niezręcznie osuwamy się na podłogę. Głowy objijają nam się o podłogę, łokcie o szafki. Zrzucam majtki. On zrzuca koszulę. Mój biustonosz ląduje pod lodówką razem ze skarpetkami Sama.

Jęczymy i wzdychamy, z oczami szczelnie zamkniętymi z wyjątkiem przelotnych momentów, kiedy patrzymy sobie prosto w oczy. I to właśnie w tych chwilach wiem, że rozumie, co staram się mu powiedzieć.

I o to tylko chodzi. To jedyna przyczyna, dla której robimy to, co robimy.

Tak naprawdę nie chodzi nam o przyjemność. Chcemy, by ta druga osoba nas czuła, chcemy czuć się nawzajem. Poruszamy się, żeby powiedzieć sobie nawzajem, co mamy w duszy, powiedzieć to, czego słowa wypowiedzieć nie potrafią. Dotykamy się nawzajem w dążeniu, by się słyszeć.

Pod koniec łapię się na tym, że przyciskam serce do jego serca, tak jakby problem polegał na tym, że jesteśmy odrębnymi ludźmi, jakbym mogła sprawić, że stopimy się w jedno, a wtedy ból ustąpi.

Kiedy jest po wszystkim, Sam opada na mnie.

Obejmuję go ciasno, oplatom ramionami i nogami. Robi ruch, jakby chciał wstać, ale przyciskam go jeszcze mocniej, prosząc całym ciałem, by tak pozostał.

Nie wiem, jak długo tak leżymy.

Prawie już zasnęłam, gdy Sam wytrąca mnie z drzemki i przywraca rzeczywistości, podnosząc się i staczając na podłogę pomiędzy mną a zmywarką.

Kładę się z głową na jego ramieniu, w nadziei że ten urlop od rzeczywistości jeszcze się nie skończył.

Ale okazuje się, że się skończył.

Sam wstaje i się ubiera.

– To twój mąż – mówi. Głos ma stoicko spokojny, jakby to wszystko dotarło do niego w tej chwili. Chyba często bywa tak ze sprawami szokującymi: wydaje się, jakby dotarły do nas dopiero co, choć człowiek by przysięgł, że godzinę temu. – To twój mąż, Emma.

– Były – mówię, choć nie jestem do końca pewna, czy to prawda.

– W gruncie rzeczy to sprawa semantyki.

Łapię jakąś koszulę i wrzucam na siebie, ale nie odpowiadam. Nie mam do powiedzenia nic pocieszającego. Bo to rzeczywiście sprawa semantyki. Chyba nadchodzi w moim życiu czas, kiedy słowa

i etykiety tracą znaczenie. Jedynie treść, jaką kryją, będzie się liczyć.

– Czuję się podle – mówi. – Ale nie o mnie przecież chodzi, prawda? To on przeżył trzy lata na oceanie czy gdzie tam był. I to ty przeżyłaś te lata jako wdowa. A ja jestem po prostu zwykłym fiutem.

– Nie jesteś żadnym fiutem.

– Jestem. Jestem fiutem, który stoi wam na drodze do tego, żebyście znowu byli razem.

Znowu brakuje mi słów. Bo jeśli zastąpić słowo „fiut” słowem „człowiek” – „jestem człowiekiem, który stoi wam na drodze do tego, żebyście znowu byli razem” – to tak. Ma rację.

Gdybym wtedy w sklepie muzycznym nie trafiła na Sama, gdybym się w nim nie zakochała, byłby to najszcześniejszy dzień mojego życia.

A nie najbardziej zagmatwany.

Przez chwilę pozwalałam sobie myśleć o tym, jak wyglądałoby teraz moje życie, gdyby się to wszystko nie wydarzyło. Gdybym nie pozwoliła sobie na krok naprzód.

Mogłam tak postąpić. Mogłam się odciąć od życia i miłości. Mogłam przyszpilić sobie imię Jessego do serca i każdego dnia żyć pamięcią o nim, na jego cześć. W pewnym sensie byłoby to o wiele łatwiejsze.

Zamiast pisać ten list, w którym mówię mu, że muszę pozostawić go za sobą i znaleźć nowe życie, mogłam nieustannie czekać na jego powrót z miejsca, z którego, jak sądziłam, nie ma powrotu. Mogłam marzyć o tym, co niemożliwe.

I wówczas moje marzenie właśnie by się spełniło.

Ale ja zrezygnowałam z tego marzenia, wyszłam do świata i znalazłam inne.

I tym samym zniszczyłam nas wszystkich.

Nie można być lojalnym wobec dwóch osób.

Nie można pielęgnować w sobie dwóch marzeń.

Więc, w rozmaitym sensie, Sam ma rację.

Jest dziką kartą.

W tym strasznym, cudownym, koszmarnym spełnionym marzeniu.

– To tak, jakbym znowu miał osiemnaście lat – ciągnie Sam. – Kocham cię, jestem z tobą, a teraz się boję, że Jesse odbierze mi cię po raz drugi.

– Sam – mówię – nie powinienes...

– Wiem, że to nie twoja wina – przerywa mi. Usta ma w podkówkę i trzęsie mu się broda. To okropne patrzeć, jak usiłuje powstrzymać płacz. – Kochałaś go, potem go straciłaś i pokochałaś mnie, a teraz on wrócił, i nie zrobiłaś nic złego, ale... taki jestem na ciebie zły.

Patrzę na niego. Usiłuję powstrzymać płacz.

– Strasznie jestem zły. Na wszystko. Na ciebie, na niego i na siebie samego. Na to, że ci powiedziałem... – Kręci głową. Patrzy przed siebie, starając się uspokoić. – Powiedziałem ci, że nie musisz przestać go kochać. Powiedziałem, że możesz kochać nas obu. Że nigdy nie będę usiłował go zastąpić. I naprawdę tak wtedy czułem. Ale teraz... to znaczy, z chwilą, kiedy się dowiedziałem, że on wraca, wszystko się zmieniło. Wściekły jestem na siebie, że to wtedy powiedziałem, bo... – urywa. Wspiera się plecami o zmywarkę, a rękami o kolana. – Bo chyba oszukiwałem sam siebie.

Spogląda na swoje dłonie i zaczyna skubać paznokcie.

– Myślę, że powiedziałem tak, bo wiedziałem, że to wszystko w teorii. To nie było realne. Chciałem dać ci ten komfort, żebyś wiedziała, że nie próbuję go zastąpić, bo wiedziałem, że tak naprawdę rzeczywiście go zastępuję. Nie zagrażał mi, bo zaginął i miał nigdy nie wrócić. Nigdy nie miał być w stanie mi cię odebrać. Nie mógł dać ci tego, co mogłem dać ja. I dlatego mówiłem wszystkie te rzeczy, jak to, że nie oczekuję, że przestaniesz go kochać, i jak obaj możemy się wpasować w twoje życie. Ale ja to rozumiałem wyłącznie teoretycznie. Bo odkąd się tylko dowiedziałem, że wraca, nie cieszyłem się twoim szczęściem. Ani jego szczęściem. Cierpiałem. Ze względu na siebie.

Powiedziawszy to, patrzy w końcu na mnie. A z wyrazu jego twarzy, z łamiącego się głosu, jakim to wypowiada, wiem, że nienawidzi siebie za to, że tak to czuje.

– Ćśśśś – szepczę i obejmuję go. Próbuję go uspokoić i pocieszyć. – Kocham cię.

Ach, gdybym nie mówiła tego tak często. Gdyby moja miłość do Sama nie była sprawą codzienną i wszechogarniającą, tak bym mogła zachować to zdanie na chwile takie jak ta... Ale nie jest to zbyt realistyczne, prawda? Kiedy kogoś kochamy, ta miłość sączy się ze wszystkiego, co robimy, przenika jak krew we wszystko, co mówimy, staje się tak wszechobecna i wszędobylska, że w końcu to wyznanie brzmi pospolicie, choć odczuwa się je jako nadzwyczajne.

– Wiem – mówi. – Ale nie jestem jedynym, którego kochasz. A możesz kochać tylko jednego. I to mogę nie być ja.

– Nie mów tak. Ja nie chcę cię zostawić. Nie mogłabym. To by było nie w porządku wobec ciebie. Niesprawiedliwie. Po tym wszystkim, co przeżyliśmy, co dla mnie zrobiłeś, po tym, jak zawsze byłeś przy mnie i mnie wspierałeś, nie mogłabym... – Przerrywam, bo widzę, że Sam kręci głowę, tak jakbym nie rozumiała, o co chodzi. – Co? – pytam.

– Nie chcę twojego współczucia i nie chcę twojej lojalności. Chcę, żebyś ze mną była, bo chcesz ze mną być.

– Ja chcę z tobą być.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Przenoszę wzrok z jego oczu na ręce i patrzę, jak manipuluje przy skórkach od paznokci – jego wersja nerwowego wykręcania rąk.

– Myślę, że powinniśmy odwołać ślub – mówi.

– Sam...

– Myślę o tym od paru dni i sądziłem, że to ty postawisz kropkę nad i. Ale nie postawiłaś. Więc robię to ja.

– Sam, daj spokój.

Podnosi na mnie wzrok. W oczach ma ślad gniewu.

– Jesteś gotowa przysiąc? – pyta. – Możesz mi uczciwie powiedzieć, że cokolwiek się zdarzy, będziemy odtąd razem?

Nie mogę znieść wyrazu jego oczu, gdy kręczę głowę. Więc kręczę, odwracając wzrok. Jak każdy tchórz w historii tego świata.

– Muszę pozwolić ci odejść – mówi Sam. – Jeśli mamy jakąkolwiek szansę, żeby to wszystko przetrwać i kiedyś stworzyć zdrowy, szczęśliwy związek.

Podnoszę na niego oczy i dociera do mnie, co się właśnie wydarza.

Zostawia mnie. Przynajmniej na jakiś czas. Sam mnie zostawia.

– Muszę pozwolić ci odejść i muszę mieć nadzieję, że do mnie wrócisz.

– Ale jak...

– Kocham cię – mówi. – Bardzo cię kocham. Kocham budzić się z tobą w niedzielę rano, kiedy nie mamy żadnych planów. I kocham wracać do ciebie wieczorem i widzieć cię nad książką okutaną w sweter i grube skarpetki, chociaż podkreśliłaś ogrzewanie i w domu jest trzydzieści stopni. Chcę, żeby tak było do końca mojego życia. Chcę, żebyś była moją żoną.

Chcę mu powiedzieć, że ja też tego chcę. Odkąd go znowu spotkałam, chcę tego samego. W tej chwili jednak wszystko jest inaczej, wszystko się zmieniło. I nie jestem już pewna, czego chcę.

– Ale nie chcę, żebyś dzieliła to wszystko ze mną dlatego, że musisz, bo czujesz, że powinnaś dotrzymać obietnicy, którą sobie złożyliśmy dwa miesiące temu. Chcę, żebyśmy żyli razem dlatego, że jesteś ze mną szczęśliwa, dlatego że możesz wybrać takie życie, jakie chcesz, i wybierasz życie ze mną. Dlatego że budzisz się każdego ranka zadowolona, że jesteśmy razem. Jeśli nie dam ci teraz szansy na odejście... to nie wiem – mówi, wzruszając ramionami. – Po prostu nie sądzę, żebym się jeszcze

kiedykolwiek poczuł dobrze.

– O czym my mówimy? – pytam. – Co ty właściwie proponujesz?

– Mówię, że odwołuję ślub. Przynajmniej na razie. I myślę, że jedno z nas powinno zamieszkać gdzie indziej.

– Sam...

– Wtedy będziesz wolna. Będziesz mogła się przekonać, czy kochasz go tak jak mnie, co zostało pomiędzy wami. Powinnaś być wolna, żebyś mogła to zrobić. Nie zrobisz tego, jeśli z tobą zostaną albo jeśli będę cię błagał, żebyś ze mną została. A nie ufam sobie, że na pewno tego nie będę robił. No więc... idź. Zdecyduj, czego chcesz. Mówię ci, tak będzie okej.

Moim odruchem jest uchwycić się go mocno, nie pozwolić mu odejść, zatkać mu usta, żeby przestał mówić to wszystko.

Ale wiem, że nawet jeśli zdołam powstrzymać płynące z jego ust słowa, nie przestaną przez to być prawdziwe.

Obejmuję więc Sama za szyję i mocno przygarniam. Jestem, nie po raz pierwszy, głęboko wdzięczna losowi, że to on mnie kocha, że jestem kochana tak, jak kochaon.

– Nie zasługuję na ciebie – mówię. Nasze czoła się stykają, więc nie widzimy się nawzajem. Przed oczami mam jego kolana. – Jak możesz być tak kompletnie pozbawiony egoizmu? Taki dobry?

Sam, nie odrywając się ode mnie, powoli kręci głową.

– To nie jest brak egoizmu. Po prostu nie chcę być z kobietą, która chce być z innym.

Trzeszczą mu kostki u palców i ten odgłos mi uświadamia, że i ja mocno zaciskam dłonie. Rozluźniam je i prostuję palce.

– Chcę być z kobietą, dla której jestem jedyny. Chcę być z kobietą, która mnie kocha bez zastrzeżeń i bez wątpliwości. Zasługuję na to.

Rozumiem. Teraz rozumiem. Sam wyjmuje z piersi serce i podaje mi je, mówiąc: „Jeśli masz zamiar je złamać, zrób to już”.

Chciałabym mu powiedzieć, że na pewno nie złamię mu serca, że nie ma się o co martwić.

Ale to przecież nieprawda, tak czy nie?

Puszczam go.

– To ja powinnam być tą, która się wyprowadza. – Mówię to i zarazem nie wierzę, że to mówię. – Nie w porządku by było, gdybyś to był ty. Mogę pomieszkać jakiś czas u rodziców.

I to jest ta chwila, kiedy wszystko się zmienia. Pokój wydaje się ciemniejszy, świat groźniejszy, choć na zewnątrz naszych serc nic się nie zmieniło.

Sam zastanawia się chwilę i kiwa głową. Jest tego samego zdania co ja.

I w ten właśnie sposób z dwojga ludzi, którzy rozważają jakąś możliwość, stajemy się dwojgiem ludzi, którzy podjęli decyzję.

– Pójdę spakować jakieś rzeczy – mówię.

– Okej.

Przez chwilę stoję bez ruchu, wciąż zakoczona tym, co się dzieje. Potem jednak zdaję sobie sprawę, że stanie nie zatrzymuje czasu, czas nadal mija, życie nadal się toczy. Trzeba się ruszyć.

Wstaję i idę w stronę sypialni. Udaje mi się zamknąć za sobą drzwi, zanim wybuchnę płaczem.

Powinnam myśleć o tym, jakie ciuchy spakować, co będę nosić do pracy. Powinnam zadzwonić do rodziców i powiedzieć, że zamierzam u nich spać. Zamiast tego zaczynam wrzucać rzeczy do marynarskiego worka, prawie nie patrząc, czy do siebie pasują albo co może mi być potrzebne.

Jedynie, co zabieram świadomie, to pamiątki po Jessem. Nie chcę, żeby Sam je przeglądał. Nie chcę, żeby się katował czytaniem listów miłosnych, które kiedyś pisałam do chłopaka, którego wybrałam wiele lat temu.

Wracam do kuchni, żegnając się po drodze z Mozartem i Homerem.

Sam siedzi w dokładnie tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam.

Wstaje, żeby się ze mną pożegnać.

Nie mogę się oprzeć i całuję go. Czuję ulgę, że mi pozwala.

I kiedy tak stoimy, wciąż blisko siebie, Sam pozwala sobie w końcu na utratę opanowania. Kiedy płacze, oczy mu czerwienieją, a łzy spływają po policzkach tak wolno, że mogę złapać każdą, zanim sięgnie podbródka.

Rozdziera mi serce, że jestem tak kochana, że jestem zdolna rozedrzeć czyjeś serce.

Nie jest to coś, co traktuję lekko. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że może to najważniejsza sprawa na świecie.

– Co ja mam robić? – pytam.

To znaczy: co mam zrobić w tej chwili? Oraz: co ja zrobię bez niego? A także: Co ja mam zrobić ze swoim życiem? I jak mam to zrobić?

– Zrobisz, co zechcesz – mówi, ocierając dolną powiekę zgiętym palcem, i odstępuje o krok. – Na tym właśnie polega wolność.

Kiedy podjeżdżam pod dom rodziców, jest prawie druga w nocy. Nad wejściem pali się światło, tak jakby na mnie czekali, ale wiem, że co noc zostawiają zapalone. Ojciec uważa, że to odstrasza złodziei.

Nie chcę ich budzić. Zamierzam wejść do domu na palcach i przywitać się z nimi rano.

Wyłączam silnik i biorę rzeczy. Kiedy wysiadam, dociera do mnie, że poza kozakami, które mam na nogach, nie zabrałam żadnych butów. Chyba będę musiała nosić je non stop. Przypominam sobie samej, że „non stop” nie oznacza „na zawsze”.

Ostrożnie zamykam drzwiczki, nie tyle zatraskując je, co delikatnie wciskając na miejsce. Przekradam się na tył domu. Wiem, że tylnych drzwi rodzice nie zamykają na klucz i że nie skrzypią tak jak frontowe.

Słychać lekkie kliknięcie, kiedy przekręcam klamkę, i szelest, kiedy odchyłam skrzydło drzwi. Wchodzę.

Jestem w domu.

Wolna.

Podchodzę do stołu, biorę długopis i kartkę. Zostawiam rodzicom wiadomość, że tu jestem. Po czym zdejmuję buty, żeby nie stukały, i zostawiam je przy drzwiach.

Przechodzę na palcach kuchnię i jadalnię i idę do mojej sypialni. Ostrożnie, powoli przekręcam klamkę.

Nie odważam się zapalać światła. Jak dotąd udało mi się po ciemku i nie zamierzam tego zepsuć.

Idę na bosaka do łazienki, którą zawsze miałyśmy do spółki z Marie. Wymacuję kran i puszczam lekko wodę. Szoruję zęby i zastanawiam się, czy nie powinnam jednak obudzić rodziców, wołając albo dzwoniąc. Ale kiedy chlustam wodą na twarz, uprzytamniam sobie, że nie chcę ich obudzić, bo nie mam ochoty o tym wszystkim rozmawiać. Wejście ukradkiem to jedyna możliwość. Jeśli twoja córka przychodzi o drugiej nad ranem w dniu, kiedy powrócił jej dawno zaginiony mąż, to będziesz chciała z nią o tym pogadać.

Wracam do sypialni, gotowa do snu. Kiedy jednak odchyłam kołdrę, uderzam głową w lampę na nocnym stoliku.

– Oj! – wrywa mi się, po czym przewracam oczami w niemym komentarzu do własnego zachowania. Przecież wiem, że jest tu ta cholerna lampa. Przez chwilę boję się, że się zdradziłam, ale w domu jest cicho.

Pocieram stłuczone miejsce, po czym wślizguję się pod kołdrę, tym razem unikając zderzenia z lampą. Już pamiętam, że trzeba.

Patrzę w ciemności przez okno. Widać stąd, trochę dalej, kilka okien domu Marie. Wszystkie światła u nich są wyłączone i wyobrażam ich sobie – Marie, Mike’a, Sophie i Avę – pogrążonych w głębokim śnie...

Wtem oślepia mnie jaskrawe światło i widzę nad sobą ojca w bieliźnie, z kijem bejsbolowym w ręce.

– O Boże! – wrzeszczę i gorączkowo usiłuję się odsunąć w kąt łóżka, jak najdalej od niego.

– Och. – Tato powoli odkłada kij. – To tylko ty.

– No pewnie, że to tylko ja! A coś ty zamierzał zrobić z tym kijem?

– Zamierzałem przywalić złodziejowi, który włamał mi się do domu! Teraz już wiesz?

Wbiega mama, w kraciastych spodniach od piżamy i podkoszulku z napisem: „Przeczytaj ten j&#any

dzienniczek ciąży”. Nie ma siły, to musi być prezent od ojca, którego matka nie chce nosić po domu.

– Co ty tu robisz, Emma? Ale nas wystraszyłaś!

– Przecież zostawiłam wam karteczkę na stole w kuchni!

– Och – mówi tato z fałszywym spokojem, patrząc na matkę – nic nie szkodzi. Wygląda na to, Ash, że to wszystko nasza wina.

Rzucam im sarkastyczne spojrzenie, którego, przysięgam, nie rzucałam, odkąd skończyłam siedemnaście lat.

– Wybacz nam, Emma. Następnym razem, jak będzie nam się wydawało, że ktoś się włamał, najpierw poszukamy karteczki na kuchennym stole.

Już mam ich przeprosić, uświadamiając sobie cały absurd sytuacji – włamać się w nocy do rodzicielskiego domu i mieć do nich pretensję, że są zaskoczeni – ale mama mnie uprzedza.

– Kochanie, wszystko w porządku? Dlaczego nie jesteś z Samem? – Przysięgam, chociaż być może jestem przewrażliwiona, ale przysięgam, że pomiędzy „z” i „Samem” jest maleńka pauza, bo nie jest pewna, z kim powinnam być.

Biorę głęboki oddech, starając się rozluźnić napięte dotąd mięśnie ramion.

– Być może się nie pobierzemy. Chyba mam jutro randkę z Jessem. Nie wiem. Naprawdę... nie wiem.

Tato odkłada kij. Mama przeciska się koło niego i siada koło mnie na łóżku. Przysuwam się do niej i kładę jej głowę na ramieniu. Głaszcze mnie po plecach. Dlaczego człowiekowi robi się lepiej, kiedy są przy nim rodzice? Mam trzydzieści jeden lat.

– Powiniennem włożyć spodnie, prawda? – pyta ojciec.

Jak jeden mąż podnosimy na niego oczy i kiwamy głową.

Ojciec znika.

– Opowiedz mi, jak dzisiaj poszło – mówi mama. – Wszystko, co chcesz z siebie wyrzucić.

W trakcie opowiadania wraca ojciec, w spodniach od dresu. Siada koło mnie z drugiej strony i bierze mnie za rękę.

Słuchają.

Kiedy wypowiedziałam już wszystko, co we mnie zalegało, kiedy pozbyłam się wszystkiego, co mi ciążyło, mama mówi:

– Jeśli interesują cię moje trzy grosze... Masz wyjątkową umiejętność, żeby kochać całym sercem, nawet kiedy zostało złamane. To dobra cecha. Nie czuj się winna z tego powodu.

– Jesteś człowiekiem walecznym – mówi tato. – Kiedy upadniesz, podnosisz się. To jest to, co w tobie lubię najbardziej.

– A nie to, że prowadzę księgarnię? – pytam ze śmiechem. Żartuję, ale tak naprawdę to nie żartuję.

– W żadnym wypadku. Jest w tobie tyle rzeczy, za które można cię kochać, że księgarni nie ma nawet w pierwszej dziesiątce.

Kładę mu głowę na ramieniu i chwilę tak zostaję. Widzę, że mamie zamykają się oczy. Słyszę, że oddech ojca zwalnia.

– Dobra, wracajcie do łóżka – mówię. – Już dobrze. Dziękuję. I jeszcze raz przepraszam, że was wystraszyłam.

Ściskają mnie po kolei i idą.

Leżę na moim starym materacu i próbuję zasnąć, ale głupia byłam, sądząc, że sen nadejdzie.

Tuż przed szóstą w oknach Marie zapala się światło.

Zdejmuję zaręczynowy pierścionek i wkładam do torebki. Potem wrzucam na siebie jakieś spodnie, zasuwam kozaki i wychodzę.

Marie jest z Avą w łazience. Drzwi są otwarte. Ava siedzi na nocniku, a Marie przemawia do niej zachęcająco. Bliźniaczki przeszły już trening czystości, ale od niedawna Ava zaczęła się cofać. Nie załatwi się, jeśli nie ma przy niej matki. Korzystając z praw ciotki, decyduję się stanąć w otwartych drzwiach, ale nie wchodzę.

– Włóż i siadaj – mówi Marie i sama siada na szarych płytkach posadzki. – To trochę potrwa.

Dziewczynki mają wszczepione implanty ślimakowe, co oznacza, że nauczyły się mówić zaledwie o parę miesięcy później niż rówieśnicy. Ale Marie i Mike porozumiewają się z nimi także za pomocą języka migowego. Moje siostrzenice, o które tak się wszyscy martwiliśmy, mogą w rezultacie być po prostu dwujęzyczne. A to w dużym stopniu dzięki fenomenalnej, baczonej, niepowstrzymanej macierzyńskiej mocy Marie.

W tej chwili więcej wie o amerykańskim języku migowym, o społeczności niesłyszących, o wspomaganiu słuchu, implantach ślimakowych i o budowie ucha wewnętrznego, niż o czymkolwiek innym, nie wyłączając rzeczy, którymi się pasjonowała, jak literatura, poezja i odgadywanie, jaki autor kryje się za danym pseudonimem.

Ale jest też zmęczona. Jest szósta trzydzieści, a ona przemawia czule do córeczki: „Zrób siusiu do nocniczka, zrób to dla mamusi”.

Pod oczami ma worki wielkie jak torba kangura.

Kiedy Ava w końcu robi siusiu, Marie zanoszą ją Mike’owi, którzy leży w łóżku z Sophie. Z mojego miejsca w holu widzę przez chwilę Mike’a, jak na wpół uśpiony trzyma Sophie za rączkę. W głowie migami rozpoznaję, że takiego właśnie mężczyzny chciałabym kiedyś na ojca moich dzieci, i z zakłopotaniem stwierdzam, że jego sylwetka jest niewyraźna, zamazana.

Marie wychodzi z sypialni i idziemy do kuchni.

– Herbata? – pyta, gdy siadam przy wyspie.

Niespecjalnie lubię herbatę, ale jest tu dość chłodno i miło będzie napić się czegoś gorącego. Poprosiłabym o kawę, ale Marie nie trzyma jej w domu.

– Świetnie, poproszę.

Marie z uśmiechem kiwa głową. Włącza czajnik. Kuchenna wyspa Marie jest większa niż mój stół w jadalni. Niż nasz stół w jadalni. Mój i Sama.

Momentalnie ogarnia mnie pewność.

Nie chcę zostawiać Sama. Nie chcę rezygnować z życia, jakie sobie zbudowaliśmy. Jeszcze raz? Nie! Kocham Sama. Nie chcę się z nim rozstawać. Chcę siedzieć z nim przy pianinie i grać *Chopsticks*.

To jest to, czego chcę.

Po czym przypomina mi się Jesse wysiadający z samolotu. I cała moja pewność pryska.

– Uff – wzdygam i opadam tułowiem na blat, chowając głowę w ramionach. – Co ja mam robić, Marie?

Marie nie przerywa wyjmowania z szafki różnych rodzajów herbaty. Wyjmuje wszystkie i kładzie przede mną.

– Nie wiem – mówi. – Nie mogę sobie wyobrazić, co bym zrobiła na twoim miejscu. Wydaje mi się, że oba wyjścia są jednakowo dobre i jednakowo złe. Pewnie to nie jest odpowiedź, jaką chciałabyś

usłyszeć. Ale po prostu nie wiem.

– Ja też nie wiem.

– Czy to coś pomoże, jeśli zapytam, co ci podpowiada intuicja? Na przykład, jeśli zamkniesz oczy, co widzisz? Swoje życie z Samem? Czy swoje życie z Jessem?

Próbuję zagrać w jej grę. Może coś tak prostego jak zamknięcie oczu rzeczywiście podpowie mi, czego chcę? Ale nie podpowiada. Jasne, że nie. Otwieram oczy. Marie patrzy na mnie.

– Nie działa.

Czajnik zaczyna gwizdać. Marie odwraca się w stronę kuchni.

– Wiesz co – mówi – jedyne, co możesz zrobić, to po prostu dać sobie czas. To jest właśnie ten typ sytuacji, o której się mówi: „śpiesz się powoli”. – Nalewa wrzątku do białego kubka, który przewidziała dla mnie. Podnoszę na nią oczy.

– Earl Grey? – pyta.

– English Breakfast? – odpowiadam pytaniem, po czym zaczynam się śmiać. – Jaja sobie robię. Nie mam pojęcia, co znaczą te wszystkie nazwy.

Marie też się śmieje. Bierze opakowanie English Breakfast, rozdziera je i wyjmuje torebkę.

– No to następnym razem będziesz wiedziała, jak smakuje English Breakfast. – Wkłada torebkę do mojego kubka i podaje mi go. – Splenda? – pyta.

Kręcę głową. Od pół roku nie używam sztucznych słodzików. Czuję się dokładnie tak samo jak przedtem, ale i tak jestem przekonana, że to słuszny krok.

– Jestem na odwyku.

Marie przewraca oczami i wrzuca do swojego kubka dwa opakowania.

Śmieję się i spoglądam we własny. Patrzę, jak herbata zaczyna naciągać, jak esencja rozchodzi się, wirując, po wodzie. Już czuję jej ziemny zapach. Obejmuję kubek dłońmi, żeby je ogrzać. Bezmyślnie bawię się sznureczkiem.

– Jak myślisz, mogłabyś kochać dwóch ludzi równocześnie? – pytam. – Wciąż się nad tym zastanawiam. Wydaje mi się, że kocham ich obu. Inaczej i tak samo. Czy to możliwe? Czy ja się oszukuję?

Marie porusza torebką w swoim kubku.

– Szczerze to nie wiem. Ale wydaje mi się, że problem nie polega na tym, którego kochasz albo czy kochasz obu. Wydaje mi się, że problem polega na tym, że nie jesteś pewna, kim jesteś. Jesteś teraz innym człowiekiem, niż byłaś, zanim straciłaś Jessego. To cię zmieniło, i to fundamentalnie.

Myśli chwilę, wpatrując się w blat, po czym podejmuje z wahaniem:

– Nie sądzę, żeby chodziło ci o to, czy bardziej kochasz Sama, czy Jessego. Sądzę, że próbujesz się zorientować, czy chcesz być człowiekiem, jakim byłaś z Jessem, czy człowiekiem, jakim jesteś z Samem.

Całkiem jakby ktoś rozłupał mnie na dwie połowy i w środku, w najgłębiej ukrytym zakątku mojego ciała, znalazł raka. Nie odpowiadam. Nie podnoszę wzroku. Łza stacza mi się po policzku i wpada do kubka. I choć to ja ją uroniłam i widziałam, jak pada, nie mam pojęcia, co to znaczy.

Podnoszę wzrok.

– Prawdopodobnie masz rację.

Marie kiwa głową, po czym patrzy mi prosto w oczy.

– Przepraszam – mówi. – To dla mnie ważne, żebyś to wiedziała. Żebyś wiedziała, że żałuję tego, co robiłam.

– Czego żałujesz? O czym ty mówisz?

– O tamtym dniu na dachu. Kiedy cię znalazłam, jak patrzysz przez lornetkę...

Wydaje się, że to było wczoraj i sto lat temu zarazem: lornetka, dach, wzniosły niepokój związany z uczuciem, że obserwując wybrzeże, zdołam go uratować.

– Przepraszam, że cię przekonywałam, że Jesse nie żyje. Wiedziałaś, że to nieprawda...

Marie nie należy do tych, co łatwo płaczą. Uczucia z trudem odbijają się na jej twarzy. To jej głos mi mówi, jak głębokie jest jej poczucie winy.

– Nie powinnam była wtedy pokazywać się koło ciebie na dachu. Nigdy wcześniej nie byłam dla ciebie wsparciem... i nagle to ja jestem ta, co ci mówi, że zdarzyło się najgorsze? Ale po prostu... po prostu myślałam, że on zginął. I myślałam, że to dobrze, że zmuszam cię do konfrontacji z rzeczywistością. – Kręci z niedowierzaniem głową, jak gdyby zaskoczona swoim dawnym „ja”. – A tymczasem po prostu odebrałam ci nadzieję. Nadzieję, której miałaś wszelkie powody się uchwycić. I po prostu... po prostu bardzo cię przepraszam. Tak strasznie mi przykro. Nie masz pojęcia, jak żałuję, że ci ją odebrałam.

– Nie, to nie tak było. Absolutnie – mówię. – Odbiło mi wtedy na tym dachu. Totalnie mi odbiło. To było irracjonalne – myśleć, że on żyje, a co dopiero że jestem w stanie go uratować, że mogę go zauważyć na tym maciupcim kawałeczku wybrzeża. Obłąd...

Marie milczy.

– Każdy, kto ma niezaburzone myślenie, uznałby, że on nie żyje. To mi było potrzebne, żebym zrozumiała, że taki jest racjonalny wniosek. To ty mi pomogłaś to zrozumieć. Dzięki tobie nie zwariowałam.

Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że akceptować prawdę i być zdrowym psychicznie to być może nie to samo, może to po prostu dwie różne rzeczy, które mają tendencję do współwystępowania. Zaczynam rozumieć, że może to sprawy skorelowane, a nie synonimy.

I wtedy do mnie dociera, że jeśli nie mam do Marie pretensji o to, że myślała, że Jesse nie żyje – jeśli nie traktuję tego jako dowodu, że przestało jej na nim zależeć – to i do siebie nie powinnam mieć o to pretensji.

– Nie myśl o tym więcej – mówię. – Uratowałaś mnie wtedy na tym dachu.

Marie patrzy przez chwilę w herbatę. Wreszcie kiwa głową.

– Dziękuję, że to powiedziałaś.

– Dziękuję, że to zrobiłaś. I cieszę się, że zrobiłaś to ty. Nie wiem, czy byłybyśmy ze sobą tak blisko... To znaczy, mam na myśli, że...

– Wiem, co masz na myśli – przerywa mi Marie.

Po wszystkich naszych wspólnych doświadczeniach, po zachętach i perswazjach rodziców – tym, co w końcu złagodziło naszą wzajemną relację, były trudne przeżycia. Ja straciłam męża, Marie ma poważne problemy z dziećmi, i to dopiero nas zbliżyło.

– Po prostu się cieszę, że sprawy między nami układają się tak jak teraz – mówi Marie. – Bardzo się cieszę, bardzo.

– Ja też.

Odruchowo chwytam Marie za rękę i trzymam przez chwilę. Potem się rozłączamy.

Trudno jest być tak uczciwym, tak szczerym, tak się odkryć. Okazuje się jednak, że zawsze sprawia to, że człowiek staje się jakoś bardziej wolny. Czuję, że między mną i siostrą coś się zmieniło, odrobinę, tak że jest to niemal niezauważalne, niemniej – realne. Jesteśmy sobie bliższe, niż byłyśmy trzy minuty temu.

– Myślę o tym, żeby wrócić do pisania – mówi Marie, zmieniając temat.

– O! Tak? A co?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem dobrze. Po prostu... no wiesz... chcę coś robić. Coś, co nie kręci się wokół dzieci. Muszę wrócić do siebie, chociaż troszeczkę. Ale swoją drogą, to może być głupi pomysł, bo mówię, że chcę wrócić do pisania, ale nie mogę znaleźć nic, o czym chciałabym pisać. Brakuje mi inspiracji. Jestem... no dobrze, znudzona.

– Coś znajdziesz – mówię. – I na pewno ci dobrze pójdzie. Tylko żeby to nie był kryminał, gdzie sprawczynią jest bohaterka, której pierwowzorem ewidentnie jestem ja, tak jak to było dawniej.

Śmieje się i kręci głową.

– Nikt mi nie chciał uwierzyć, że to nie miałaś być ty.

– Nazwałaś ją Emily!

– To przecież pospolite imię. – Marie udaje, że się broni. – Ale okej, dobra. Jestem już na tyle dorosła, że mogę się przyznać, że nie było to tak całkiem niewinne.

– Dziękuję ci – mówię wspaniałomyślnie.

– Po prostu strasznie mnie złościło, że we wszystkim mnie naśladujesz.

– Co? – Jestem zdumiona. – Ja cię nigdy nie naśladowałam! Zawsze starałam się być twoim przeciwieństwem!

Marie kręci głową.

– Wybacz, ale nie. Pamiętasz, jak mi odbiło na punkcie TLC? A ty nagle zaczęłaś opowiadać wszystkim o *Waterfalls*? Albo jak kochałam się w Keanu Reevesie... a ty ni stąd, ni zowąd już miałaś nad łóżkiem jego zdjęcie?

– O Boże... – mówię. Fakt, ona ma rację!

– A potem, rzecz jasna, zaczęłaś chodzić z kapitanem drużyny pływackiej. Dokładnie tak jak ja.

– Ożeż... Nigdy nie zwróciłam na to uwagi, słowo daję. Ale masz rację, absolutnie! Najpierw ty z Grahamem, potem ja z Jessem.

– No widzisz? – Marie śmieje się półgębkiem.

– Naprawdę musiałam mieć ochotę być taka jak ty... Bo Graham był dla mnie obciachowy. A potem wzięłam i też zaczęłam chodzić z kapitanem drużyny pływackiej.

Marie z uśmiechem podnosi kubek do ust.

– No więc chyba możemy się zgodzić, że w jakimś sensie zawsze chciałaś być mną.

Śmieję się.

– Wiesz co? Jeśli być tobą oznacza mieć w życiu tylko jednego mężczyznę, to okej, wchodzę w to.

– O ho ho... Dwóch facetów cię kocha!

– Och, zamknij się – mówię i ciskam w nią ścierką.

Nasz śmiech przerywa wejście Mike'a z Avą na rękach. Sophie drepcze za nim.

– Śniadanie! – woła Mike do dziewczynek. Marie natychmiast wraca do rzeczywistości i otwiera lodówkę, gotowa do rozpoczęcia dnia.

Wiem, kiedy się zabrać. Zbieram klamoty.

– Jakbyś czegoś potrzebowała, to nie ma sprawy – mówi Marie. – Serio. Po prostu zadzwoń. Albo wpadnij. Dla ciebie zawsze mam czas.

– W porządku – mówię. – Dzięki.

Obejmuje mnie i ściska, po czym bierze na ręce Sophie. Idę do drzwi i wychodzę.

Kiedy wracam do rodziców, dzwoni mój telefon. Nie wiem dobrze, czego się spodziewałam, ale na pewno nie SMS-a od Francine.

„Tak się cieszę, że znowu się zobaczymy, że w ogóle nie spałem. Btw. to Jesse, a nie moja mama. Dziwne by było, gdyby mama nie mogła się doczekać spotkania z tobą”.

Kiedy kończę czytać, zauważam, że nogi same idą mi szybciej w stronę rodzicielskiego domu.

Pośpiesznie biorę prysznic. Pośpiesznie myję włosy szamponem, pośpiesznie namydlam ciało.

Pośpiesznie wrzucam na siebie ubranie i wychodzę.

Wszystko robię pośpiesznie. Krok mam sprężysty, uśmiech na twarzy.

Jestem szczęśliwa. W tym krótkim mgnieniu czasu. Jestem szczęśliwa.

Kiedy podjeżdżam na parking przy Julie's Place, tuż przed wpół do ósmej, Jesse stoi przed wejściem. Pojawił się nawet szybciej niż ja.

Wygląda dokładnie tak jak zawsze, nawet jeśli wygląda zupełnie inaczej.

Otwieram drzwiczki, wychodzę na ziąb i uprzytamniam sobie, dlaczego dzisiejszego ranka czuję się

troszeczkę lepiej niż ostatnimi czasy.

Bo w końcu kochać go jest okej.

Jest okej kochać Jessego.

Podarowano mi wolność, abym mogła go kochać.

Sam zrobił to dla mnie.

To za czym jeszcze tęskniłeś? – pytam Jessego, gdy kelnerka stawia na stoliku zamówione przez nas śniadanie. Jesse właśnie wylicza, za czym tęsknił, myśląc o domu.

Na pierwszym miejscu byłam ja.

Na drugim – kurczak w sosie słodko-kwaśnym z tej chińskiej speluny w centrum miasta.

– Wiesz co... Za wieloma ludźmi, wieloma miejscami, ale w tej chwili, słowo daję, jedyne, o czym mogę myśleć, to jedzenie.

Śmieję się.

– No to opowiedz mi o jedzeniu. Tym, za którym tęskniłeś.

– W porządku – mówi, spoglądając w talerz. Ledwie tknął dania i nie mogę mu tego mieć za złe. Też nie mogę się tak naprawdę skupić na jedzeniu. Żołądek mam zaciśnięty, w brzuchu motylki, próbujące dotrzymać kroku trzepotaniu serca.

– Och, Boże... Za dużo tego, żeby wymienić wszystko. Co mam wybrać? No więc, pizza w Sorrentos... deser lodowy Snickers we Friendly's... kanapki w Savory Lane...

– Savory Lane zamknięte. Friendly's właściwie też.

Patrzy mi bystro w oczy, starając się ustalić, czy go nie podpuszczam. Kiedy widzi, że mówię serio, po twarzy przemyka mu cień smutku. Szybko zastępuje go uśmiechem, ale przychodzi mi do głowy, że może to dla niego dowód, że świat poszedł naprzód bez niego, że choćby z grzeczności nie potrafiliśmy zachować dla niego Savory Lane.

– Na miejscu Friendly's jest teraz Johnny Rockets – mówię. – Też dobra knajpa. A poza tym, wiesz, jak otworzą na wiosnę Kimball's, to nie będziesz myślał o deserze lodowym Snickers. Będziesz myślał o dwóch kulkach lodów z czarnej porzeczki w rożku waflowym.

Jesse uśmiecha się, po czym odwraca wzrok i patrzy w stronę kontuaru. Poprawia się na krześle i zmienia układ nóg.

– A Erickson's? Dalej czynny? Czy też o mnie zapomnieli?

Samo słowo „zapomnieli”, sposób, w jaki to mówi, fakt, że na mnie nie patrzy, wszystko to potwierdza moje przypuszczenie: jest bardziej zły, niż to po sobie pokazuje. Że ma do mnie pretensję o to, że zrobiłam krok naprzód. Mówi, że rozumie, ale być może w ogóle nie rozumie.

– Tak, dalej czynny – mówię, potakując skwapliwie głową, żeby go rozbroić. – Większość knajp jest nadal czynna. Na ogół wszystko jest tak, jak było.

– Na ogół – powtarza, po czym zmienia ton. – A Blair Books? Czy w Blair Books jest tak, jak było? To znaczy, kierownictwo jest ewidentnie nowe.

– Tak – uśmiecham się, dumna z siebie. – Ale cała reszta pozostała na ogół taka jak dawniej. I moi rodzice nadal trochę pracują. To nie jest tak, że przewróciłam wszystko do góry nogami. W zasadzie wszystko robię tak jak oni.

– Czy wykładasz też te zakładki „Czytając książki, zwiedzasz świat”?

– Tak! Oczywiście że tak.

– Co? Niemożliwe.

– Ależ tak, zapewniam cię!

Jedzenia prawie nie tknęłam. On prawie nie tknął swojego. Oboje grzebiemy tylko widelcem w

talerzu. Nadchodzi kelnerka i marszczy brwi.

– Wygląda na to, że nie są państwo głodni – zauważa, dolewając mi wody do szklanki.

– Jedzenie jest pyszne – mówię. – Ale po prostu...

– Mamy mnóstwo do obgadania – kończy za mnie Jesse. – Czy możemy to dostać na wynos?

– Oczywiście, złotko – odpowiada kelnerka i zabiera oba nasze talerze.

Kiedy wychodzi, nie mamy już jedzenia, w którym moglibyśmy grzebać, i możemy patrzeć wyłącznie na siebie.

– Kiedyś nie cierpiałas tych zakładek – mówi Jesse.

– Fakt – mówię. Sama jestem zaskoczona, że aż tak się zmieniłam. Kusi mnie, żeby skłamać, żeby cofnąć się w czasie, przypomnieć sobie, kim byłam, zanim zginął Jesse, i spróbować znowu być tamtą wersją siebie.

Emma, którą znał, pragnęła innego życia. Pragnęła przygody. Ze skóry wychodziła, żeby się włóczyć po świecie. Przywykła myśleć, że nie sposób znaleźć radość w rzeczach zwykłych, że muszą być wielkie, śmiałe, szalone. Że nie można zachwycić się tym, że tak przyjemnie obudzić się w wygodnym łóżku, że zachwyty mogą budzić tylko takie rzeczy, jak słonie na sawannie czy wizyta w Luwrze.

Ale nie wiem, czy do końca byłam takim człowiekiem w chwili, gdy zginął.

I z pewnością nie jestem takim człowiekiem teraz.

Tak trudno jest przewidzieć przyszłość. Gdybym miała maszynę czasu, gdybym cofnęła się w przeszłość, czy byłabym w stanie wytłumaczyć młodzieńczej wersji mojego „ja”, co ją czeka w przyszłości?

– Tak, chyba rzeczywiście kiedyś tak mówiłam. Ale teraz je lubię.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać – mówi Jesse z uśmiechem. Może to, że nie jestem teraz dokładnie taka jak kiedyś, nie jest dla niego problemem.

Kelnerka wraca z naszym jedzeniem w pojemnikach i rachunkiem. Zanim zdążę wyjąć portmonetkę, Jesse płaci.

– Dziękuję – mówię. – Bardzo miło z twojej strony.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Sprawdzam godzinę w telefonie. Jest ósma pięćdziesiąt. Jak ten czas leci.

– Muszę iść do pracy. I tak już jestem spóźniona.

– Nie... Daj spokój. Zostań ze mną.

– Nie mogę – mówię z uśmiechem. – Muszę otworzyć księgarnię.

Jesse odprowadza mnie do mojego auta, wyciąga z kieszeni kluczyki i otwiera pilotem szarego sedana, stojącego o parę samochodów dalej.

– Chwileczkę. – Coś mi nagle przyszło do głowy. – Przecież ty nie masz prawa jazdy. Nie możesz prowadzić.

Jesse wybucha śmiechem.

– Mogę. Zanim zginąłem, miałem prawo.

– No tak – mówię, otwierając drzwi mojego auta – ale czy jego ważność nie wygasła?

Jesse uśmiecha się łobuzersko. Rozbraja mnie to.

– E tam... Nic mi nie będzie.

– Zawsze musisz być taki chojrak, prawda? – drocę się z nim. – Skąd wiesz, że nic?

– A ja wiem – mówi, wzruszając ramionami. – Ale przyznaj się, że uważasz to za urocze.

Śmieję się.

– Kto powiedział, że uważam to za urocze?

– Wsiądziesz ze mną? – pyta.

– Do twojego auta?

– Albo twojego.

– Muszę jechać do pracy!

– Wiem. Nie proszę cię, żebyśmy gdzieś razem pojechali. Po prostu chcę być z tobą w samochodzie.

Jest zimno.

Powinam się z nim pożegnać. I tak będę w pracy później, niżbym chciała.

– Dobra – mówię. Otwieram drzwiczki po obu stronach i patrzę, jak Jesse wsiada od strony pasażera. Siadam za kierownicą. Kiedy zamykam drzwiczki, świat zewnętrzny cichnie, tak jakby się nam udało go wyłączyć.

Widzę, że jego wzrok natrafia na mój palec bez obrączki. Uśmiecha się. Oboje wiemy, co znaczy to puste miejsce. Mam jednak wrażenie, że istnieje pomiędzy nami dziwny wzorzec milczenia, wskaźnik dwu rzeczy, o których nie rozmawiamy. Nie będziemy mówili o moim palcu, tak samo jak nie będziemy mówili o jego.

– Tęskniłem za tobą, Emma. Tęskniłem za nami. Tęskniłem za twoimi głupimi oczami i twoimi okropnymi ustami, i za tym twoim potwornie irytującym patrzeniem na mnie, jakbym był jedynym człowiekiem, który liczył się kiedykolwiek w historii świata. Tęskniłem za twoimi bynajmniej nie zachwycającymi piegami.

Śmieję się i czuję, że się rumienię.

– Ja też za tobą tęskniłam.

– Naprawdę? – pyta, tak jakby to była dla niego nowość, jakby nie był pewny.

– Chwileczkę, jaja sobie robisz?

– A bo ja wiem – przekomarza się. – Kto tam wie, jak było, kiedy mnie nie było.

– Nigdy wcześniej tak nie cierpiałam. I chyba już nigdy nie będę.

Patrzy na mnie, przenosi wzrok na przednią szybę, wreszcie wygląda przez boczną.

– Tyle mamy do pogadania, a ja nawet nie wiem, od czego zacząć – mówi.

– Ale nawet gdybyśmy wiedzieli, od czego zacząć, teraz nie mogę. Muszę iść do pracy. Powinam już tam być od piętnastu minut. – Tina przyjdzie dopiero po południu. Jeśli nie otworzę księgarni, będzie zamknięta.

– Emma – mówi i patrzy na mnie jak na głupią. – Nie zdążysz do pracy, to jasne. Więc jaką różnicę robi kwadrans więcej? Godzina więcej?

Patrzę na niego i mimo woli zastanawiam się. I wtedy czuję na ustach jego usta. Są tak śmiałe i tak nieoczekiwane jak prawie piętnaście lat temu, kiedy całował mnie po raz pierwszy.

Zamykam oczy i obejmuję go. Całuję go jeszcze raz. I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Czuję pobudzenie i ukojenie zarazem. Nic nigdy nie było dla mnie dotąd tak podniecające, a zarazem tak znajome.

Zatracam się w nim, w tym, jak go czuję pod palcami, jak pachnie, jak się porusza.

Czy kiedykolwiek udało się wam przywrócić wszystko tak, jak było? Czy zdołaliście wymazać dzielące was z kimś lata, tak jakbyście się nigdy nie rozstawali?

Czuję, jak ręka Jessego zsuwa się po moim ramieniu, po czym słyszę klakson, który niechcący wcisnęłam łokciem.

Gwałtownie przytomnieję. Odrywam się od niego i mój wzrok pada na przednią szybę. Dwie kelnerki z Julie's Place gapią się na nas, w tym kobieta, która nas obsługiwała. Kiedy się orientują, że je widzę, szybko się odwracają.

Patrzę na telefon. Jest prawie za piętnaście dziesiąta. Księgarnia powinna być otwarta za niespełna dwadzieścia minut.

– Muszę jechać! – wołam, w szoku, że spóźnię się aż tak.

– Okej, okej – mówi Jesse, ale się nie rusza.

– Zabieraj się z mojego samochodu – mówię ze śmiechem.

– Okej – Jesse kładzie rękę na klamce – tylko jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałem z tobą

pomówić.

– Jesse! Muszę jechać!

– Pojedź ze mną do Maine – mówi, wysiadając.

– Co?

– Pojedź ze mną na parę dni do domku moich rodziców w Maine. Moglibyśmy wyjechać dziś wieczorem. Tylko we dwoje.

– Mam księgarnię na głowie!

– Rodzice mogą cię zastąpić. Na krótko. To ich sklep.

– To mój sklep – mówię.

– Emma, potrzebny nam jest czas. Nie kradzione chwile przed twoją pracą. Prawdziwy czas. Proszę. Patrzę na niego i się zastanawiam.

Wie, że się zastanawiam. I właśnie dlatego już się uśmiecha.

– Czy to znaczy: tak?

Wiem, że moi rodzice w to wejdą i wiem, że jestem spóźniona i nie mam ani chwili czasu.

– Dobra, na parę dni.

– Trzy – precyzuje. – Trzy dni.

– Okej. Trzy.

– Wyjeżdżamy dziś wieczorem?

– Tak. A teraz już mnie nie ma!

Jesse uśmiecha się i zatrząskuje za sobą drzwiczki. Ruszam, a on macha mi na pożegnanie. Czuję, że na twarzy mam szeroki uśmiech. Pozostawiam go na parkingu i jadę.

Docieram do jezdni i czekam, aż w strumieniu aut pojawi się luka i będę mogła skrócić w lewo. Jesse, już na drugim końcu parkingu, gestykuje do mnie, żebym opuściła szybę. Przewracam oczami, ale opuszczam.

Przykłada ręce do ust i wrzeszczy:

– Przepraszam, że się przeze mnie spóźnisz! Kocham cię!

Nie pozostaje mi nic innego, niż odwrzasnąć:

– Ja też cię kocham!

Skrećam w lewo i piorunem śmigam przez miasto. Zajeżdżam na parking przy Blair Books o dziesiątej jedenaście i już widzę, że przy drzwiach czeka klientka.

Wyskakuję z auta, otwieram od tyłu i przebiegam wewnątrz, włączając wszystkie światła.

Opanowuję się, spokojnie podchodzę do drzwi wejściowych i je otwieram.

– Dzień dobry – mówię do czekającej kobiety.

– Na drzwiach jest napisane, że księgarnia jest czynna od dziesiątej do siódmej wieczorem. Jest piętnaście po dziesiątej.

– Bardzo przepraszam.

Kiedy jednak kobieta rusza w stronę sekcji bestsellerów i tracę ją z pola widzenia, nie potrafię powstrzymać uśmiechu, który rozkwita mi na twarzy, od ucha do ucha.

Jesse.

Koło jedenastej przychodzi do księgarni tato. Wpadł, żeby zabrać parę książek, które zamówił dla mamy, ale odwołuję go na bok, żeby pogadać z nim o pomysł wyjazdu do Maine.

– O co chodzi z tym wyjazdem do Maine z Jessem?

– Hm... – Nie jestem pewna, czego konkretnie dotyczą wątpliwości taty. – Chyba o to, żeby pojechać z Jessem do Maine?

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– A dlaczego nie?

Co za głupoty gadam. Istnieje około dwudziestu tysięcy powodów, dla których może to nie być dobry pomysł.

– Emma, po prostu... – Urywa i nie kończy zdania. Widzę, że poddaje ponownej analizie cały ciąg myślowy. – Zrozumiano. Oczywiście możemy cię z mamą zastąpić. Tak naprawdę to z wielką radością. Teraz, kiedy skończyłem oglądać wszystkie pięć sezonów *Jupiterów piątkowych wieczorów*, okropnie się w domu nudzę.

– Super! – wołam. – Dziękuję ci.

– Nie ma sprawy. Cała przyjemność po mojej stronie. W takim razie zobaczymy się wieczorem, tak? Przyjdiesz po rzeczy?

– Tak – mówię, kiwając głową. – Wpadnę, żeby zabrać jakieś ciuchy i w ogóle.

– Okej, świetnie.

I rusza do wyjścia.

– Mama robi na lunch kanapki z bekonem, pomidorem i sałata lodową, więc sama rozumiesz, że nie mogę się spóźnić.

– Rozumiem – mówię.

Mama robi mu te kanapki parę razy na tydzień, a on tak je lubi, że można by pomyśleć, że się nauczy przyrządzać je sam. Próbował wiele razy. Ja i Marie też próbowałyśmy mu je przyrządzać. Przysięga, że w wykonaniu mamy smakuja inaczej. Ma to jakoby coś wspólnego z tym, że bekon jest odpowiednio gorący, a sałata odpowiednio słodka. Nie wiem... Jedyne, co wiem, to że miłość w wydaniu moich rodziców zawsze wydawała się łatwa, i czasem żałuję, że nie przygotowali mnie na to, że potrafi być taka skomplikowana.

Po południu, gdy wyszłam, żeby kupić coś sobie na bardzo spóźniony lunch, dostaję SMS-a od Sama.

„Zapomniałaś zabrać leki antyalergiczne i ładowarkę. Zostawiam ci je na twoim biurku”.

Pierwsze, co przychodzi mi na myśl po zobaczeniu wiadomości, to nie że jest taki miły albo że to fajnie, że będę mogła naładować telefon. Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to że może jeszcze jest w księgarni. Rzucam się więc z kanapką w ręce do samochodu, w nadziei że zdążę wrócić na parking, zanim on wyjedzie.

Cały czas natrafiam na zielone światło i skręcam w prawo na parking dokładnie w chwili, gdy Sam włącza migacz, gotów do skrętu w lewo. Macham do niego.

Nie wiem, co robię, co dobrego miałyoby z tego wyniknąć. Wiem tylko, że dopiero myśl, że możesz stracić narzeczonego, uświadamia ci, jak strasznie pragniesz go zobaczyć. Jest tak nawet wtedy, kiedy zdajesz sobie sprawę, że to ty możesz go opuścić, że to ty możesz wszystko spieprzyć.

Sam cofa samochód i opuszcza szybę. Parkuję i podchodzę do niego.

– Cześć – mówię.

– Cześć.

Ma na sobie czarną wełnianą kurtkę, a pod nią białą koszulę i granatowy krawat. To ja mu go kupiłam. Podobało mu się, że jest w maciupcie kotwice, a ja powiedziałam, że chcę dać mu w prezencie coś, co będzie chętnie nosił do pracy.

– Dziękuję ci za leki – mówię. – I za ładowarkę. Naprawdę miło z twojej strony.

Sam kiwa głową.

– Tak, no cóż...

Czekam, by dokończył zdanie, i dopiero po chwili dociera do mnie, że nie skończy.

– Jak się masz? – pytam.

– Bywało lepiej. – Sprawia wrażenie smutnego i jakby odległego. Tak jakbyśmy nie byli w stanie osiągnąć jedno drugiego. Bezwiednie przysuwam się bliżej w sensie fizycznym, usiłując nawiązać kontakt. – Ale dam sobie radę – mówi. – Po prostu to dziwne spać samemu w naszym łóżku. Brak mi ciebie.

– Mnie też ciebie brak – mówię. Po czym – nie wiem, co mnie opętało – nachylam się i go całuję. Oddaje mi pocałunek i zaraz się cofa. Czy to dlatego, że się domyśla, że całowałam się z innym?

– Przepraszam – mówię. – Siła nawyku.

– W porządku.

– Jak tam koty? – pytam. Uwielbiam rozmawiać z Samem o naszych kotach. Uwielbiam wymyślać dla nich głupie imiona i historyjki o tym, co robią, kiedy nas nie ma w domu.

– Homer spał w wannie – mówi Sam.

Zanim miałam kota, zanim pokochałam te dwa małe futrzaki, uznałabym, że wiadomość „Homer spał w wannie” jest beznadziejnie nudna. Teraz jednak jest równie fascynująca, jak gdyby mi powiedziano, że wylądował na Marsie.

– A nie pod pianinem?!

Sam kręci głową.

– Nie, w ogóle nie wychodził z łazienki. Kiedy rano chciałem wziąć prysznic, musiałem go wziąć na rękę i wynieść.

Powinnam wrócić do domu. Powinnam być z Samem i z Mozartem, i z Homerem. Nie wiem, dlaczego Homer spał w wannie ani co to znaczy. Ale wiem, że to by się nie zdarzyło, gdybym z nimi była.

Boże kochany.

Tyle tu wszędzie leży poczucia winy, które tylko czeka, żebym je podniosła i zabrała ze sobą. Tyle rzeczy, którymi mogę się zadręczać.

Być może na to zasługuję.

W tej chwili jednak postanawiam, że nie zabiorę go ze sobą. Nawet jeśli powinnam. Niech leży i czeka. Nic nikomu z tego nie przyjdzie, a już na pewno nie mnie, jeśli wczepi mi się pazurami w kark.

– Kocham cię – mówię. Po prostu mi się to samo wymyka. Nie wiem, co przez to rozumiem. Wiem tylko, że to prawda.

– Wiem. Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości.

Przez chwilę milczymy. Boję się, że może odjechać.

– Zagrasz *Piano Mana*?

– Co? – pyta zdumiony.

– Zagraj *Piano Mana*. Na kierownicy. A ja będę za harmonijkę ustną.

Zawsze go proszę, żeby to zrobił, kiedy chcę się w nim jeszcze odrobinę bardziej zakochać. Lubię wspominać pierwszy raz, kiedy to zrobił. Lubię patrzeć, jaki jest utalentowany. Tak dobrze znam już tę piosenkę, że słyszę melodię, kiedy gra, choć zawsze gra na niby.

Zamiast jednak podsunąć rękawy i ułożyć palce w pozycji wyjściowej, tak jak zawsze robił dawniej, Sam kręci głową.

– Nie zagram.

– Przecież zawsze grałeś...

– Nie będę grał na zamówienie. Mam nadzieję, że zmienisz decyzję i zdasz sobie sprawę, że mnie kochasz i że powinniśmy być na zawsze razem, ale... nie chcę być przesłuchiwany do tej roli.

Zadać komuś cios w serce to jedna sprawa. A zupełnie inna – to zranić czyjaś dumę.

A ja, zdaje się, zrobiłam jedno i drugie.

– Masz rację – mówię. – Przepraszam.

– Posłuchaj... Wiem, że przeżywasz coś, czego nie umiem sobie nawet wyobrazić. Wiem, że jesteś potwornie wstrząśnięta. Kocham cię wystarczająco, żeby poczekać chwilkę, aż sobie to wszystko poukładasz.

Chwytam go za rękę i ściskam ją – tak jakby wystarczyło ją po prostu dość mocno ścisnąć, trzymać jak należy, by wdzięczność, jaką mam dla niego, przepłynęła poprzez ramię, przedramię, dłoń z mojego serca do jego. Ale to tak nie działa. Wiem, że nie.

– Dziękuję – mówię. – Nie wiem, jak ci dziękować. Ale dziękuję.

Sam cofa rękę.

– Ale nie możesz mieć nas obu – ciągnie. – Nie mogę udawać, że wszystko jest okej, dopóki naprawdę nie będzie okej. Okej?

– Okej – mówię i kiwam głową.

Sam się uśmiecha.

– Sporo było tego „okej”, co?

Śmieję się.

– Jadę. – Sam włącza silnik. – Inaczej spóźnię się na próbę. A potem, no wiesz... chyba po prostu pojedę do domu, zjem jakąś kolację i obejrzę archiwalne transmisje meczy na ESPN.

– Świetny pomysł na wieczór – mówię.

– Ty też na pewno masz fajne plany. – I w tej chwili twarz mu tężeje. Jest jasne, że powiedział to bezmyślnie. Wcale nie chce wiedzieć, co będę robić dziś wieczorem... Ale teraz, skoro już to powiedział, nie mogę tego pominąć, muszę się jakoś określić, mam plany czy nie. – Po prostu myślałem... uch, wiesz co? Po prostu nic nie powiem.

– Jasne, w porządku. Nic nie mów.

Ale niemówienie o czymś to też mówienie, prawda? Bo gdyby naprawdę nie było nic, o co mógłby się martwić, tobym powiedziała: „Spokojnie, Sam, nie masz się o co martwić”.

Nie powiedziałam tak. I oboje wiemy dlaczego.

Sam patrzy na mnie. Widzę po nim, że doszedł do ściany.

– Cześć, Emma – mówi i rusza z miejsca. Po chwili jednak hamuje. – Wiesz co? Zatrzymam piłkę na mojej połowie boiska.

– Co to znaczy?

– Zadzwoń do ciebie, jak będę gotów. Ale ty... nie dzwoń do mnie. Wiem, że dla ciebie największy sens miałoby, gdybyś mi powiedziała o decyzji, kiedy ją podejmiesz, ale... wolałbym, żebyś mi powiedziała, kiedy będę gotów to usłyszeć.

– Czyli w ogóle nie mogę do ciebie dzwonić?

Sam kręci posępnie głową.

– Proszę cię o to.

To minimalna częśćka kontroli nad swoim losem, o jaką może się ubiegać. Wiem, że muszę mu ją przyznać.

– Co tylko chcesz – mówię. – Wszystko.

– To jest to, czego chcę – mówi. Wcisną gaz i odjeżdża.

Pojechał.

Dociera do mnie, że strasznie zmarzłam, że na dworze jest okropnie zimno, i biegiem ruszam z powrotem do księgarni. Przypominam sobie, że zostawiłam kanapkę na przednim siedzeniu, ale nie zawracam sobie głowy, żeby po nią wrócić. Nie chce mi się jeść.

Śniadania też nie jadłam. Wygląda na to, że pierwsze, co tracę, to apetyt.

Kiedy wchodzi, Tina przyjmuje właśnie należność za parę książek od dwóch starszych pań.

– Hej, Emma – zwraca się do mnie – nie pamiętasz, kiedy mamy dostać więcej egzemplarzy nowej Ann Patchett?

– Powinny być w przyszły czwartek – mówię, tak jakby to był dzień jak każdy, jakbym potrafiła sensownie myśleć. – Jeśli zechcą panie zostawić kontakt do siebie, to Tina albo ja zadzwonimy do pań, jak tylko się pojawią.

Uśmiecham się i szybko idę na zaplecze. Siadam przy biurku. Podpieram głowę rękami i oddycham.

Umysł skacze mi od Sama do Jessego i z powrotem.

Wciąż powtarzam, że nie wiem, co robię. Ale prawda jest taka, że doskonale wiem, co robię.

Gram z nimi w ciuciubabkę. Ale nawet jeśli gram z nimi w ciuciubabkę, to na pewno muszę przestać grać w ciuciubabkę z sobą.

Muszę wybrać jednego z nich.

I nie wiem którego.

Miłość i Maine, czyli jak cofnąć czas

Zamknęłam księgarnię czterdzieści pięć minut temu. Kasa jest policzona. Posadzka czysta. Tina poszła do domu. Zakończyłam dzień pracy i mogę jechać. Mimo to wciąż stoję w ciemnym magazynie. Myślę o Samie.

Dzwoni mój telefon. Biorę go do ręki. Jesse. I natychmiast Sam wylatuje mi z głowy, zastąpiony przez mężczyznę, którego zastępował.

– Cześć – mówi Jesse. – Pomyślałem, że może wpadnę po ciebie do księgarni.

– Och... – mówię zaskoczona. Myślałam, że spotkamy się u moich rodziców, jak już tam dojadę.

– Czy tak będzie okej?

– Jasne – mówię, wzruszając ramionami. – Oczywiście. To wpadaj. Jeszcze tu jestem.

– To dobrze – mówi. – Bo jestem pod drzwiami.

– Naprawdę? – Ruszam ze śmiechem do wejścia, ale odpowiedź jest niepotrzebna – zaledwie wychodzę z zaplecza na sklep, widzę go przez szybę w drzwiach.

Jego sylwetkę podświetla lampa na parkingu. W grubej kurtce i ciepłych spodniach, wypełnia całą szybę.

Otwieram drzwi i go wpuszczam.

Zagarnia mnie w objęcia, nie tylko ramionami, ale całym ciałem, tak jakby pragnął mnie całej, jakby nie mógł znieść ani chwili dłużej osobno.

Po czym mnie całuje.

Jeśli to, że kocham obu, oznacza, że jestem złym człowiekiem, no to chyba jestem po prostu złym człowiekiem.

– Czyli... Maine? – mówię z uśmiechem.

– Maine. – Jesse kiwa potakująco głową.

– W porządku. Pozwól tylko, że wrócę po torbę. A właściwie to oboje możemy tamtędy wyjść. Mój samochód stoi z tyłu.

– Spokojnie – mówi. – Ja poprowadzę.

Rzucam mu sceptyczne spojrzenie. Jesse oddala moje wątpliwości machnięciem ręki.

– Daj spokój. Leć po rzeczy. Czekał na ciebie w samochodzie.

Wracam po torbę, zamykam sklep i wsiadam do jego wozu. Pomimo że nie powinien prowadzić.

Czasem się martwię, że Jesse potrafi mnie zaprowadzić do piekła, a ja będę posłusznie za nim szła i naiwnie mówiła rzeczy w rodzaju: „Jakoś gorąco się robi, czujesz?”, i wierzyła mu, kiedy odpowie, że wszystko jest w porządku.

– Musimy wstąpić do moich rodziców – mówię, kiedy jesteśmy już na drodze. – Muszę zabrać parę rzeczy.

– Nie ma sprawy. Następny przystanek: państwo Blair.

Kiedy zajeżdżamy na podjazd, już z tego, jakie światła są włączone, widzę, że nikogo nie ma w domu. Poszli do Marie i Mike’a.

Idziemy po rzeczy, ale uprzedzam go, że będziemy musieli pojechać do Marie, żeby się ze wszystkimi pożegnać.

– W porządku – mówi Jesse. – Jak daleko stąd do Marie?

– O, tam mieszka – wskazuję ręką jej dom.

Jesse wybucha śmiechem.

– No, no. – Mierzy wzrokiem odległość pomiędzy domem Marie a rodziców. – Córka Księgarzy znowu w akcji.

Już od dawna nikt jej tak nie nazywa. Z wielu powodów stało się to nieaktualne.

Jesse odwraca się i patrzy na mnie.

– Ale zdaje się, że i ty masz w sobie więcej z Córki Księgarzy, niż nam się kiedyś zdawało, co?

Uśmiecham się, niepewna, czy mówi to w sensie pozytywnym, czy wręcz odwrotnie.

– Może trochę.

Wchodzimy i ruszamy na górę do mojego dawnego pokoju. Kiedy się jednak oglądam, Jesse nadal stoi przy wejściu, zagapiony.

– Co jest? – pytam.

Wraca do rzeczywistości.

– Nic, nic – mówi, kręcąc głową. – Wszystko okej. Przepraszam. Poczekam tu na ciebie.

Biorę torbę i wrzucam do niej rzeczy, które zostawiłam w łazience na umywalce. Kiedy wracam, Jesse znowu jest zatopiony w myślach.

– Jakie to dziwne, że niektóre rzeczy wyglądają dokładnie tak samo jak przedtem.

– Pewnie – przyznaję.

– To tak, jakby pewne rzeczy poszły naprzód beze mnie, a inne zatrzymały się w miejscu, kiedy mnie zabrakło – mówi, kiedy wychodzimy z domu. – To znaczy, wiem, że to nieprawda. Ale jedyna nowa rzecz u twoich rodziców to telewizor. Wszystko inne wygląda dokładnie tak samo. Nawet ten dziwny obraz z kotem. Wisi dokładnie w tym samym miejscu.

Wybraliśmy z Samem Mozarta właśnie dlatego, że był kropka w kropkę taki sam, jak szary kot na obrazie wiszącym u rodziców nad kanapą.

Bez Sama nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby wziąć kota. Teraz jednak jestem absolutną kociarą. Parę tygodni temu Sam przysłał mi fotkę kota siedzącego na kanapce z masłem orzechowym i dżemem i śmiałam się chyba z piętnaście minut.

Wkładam rzeczy do bagażnika i idziemy pieszo do Marie.

– Jesteś gotów, żeby się zobaczyć z moją rodziną? – pytam go.

– Jasne – mówi z uśmiechem. – To także moja rodzina.

Pukam do drzwi. Za drzwiami daje się słyszeć ruch.

Drzwi otwiera Mike.

– Emma! – Obejmuje mnie na powitanie, po czym usuwa się z drogi, żeby nas przepuścić. – Drugi raz tego samego dnia, co za frajda dla nas. Jesse, miło cię znowu widzieć – mówi, podając mu rękę. Jesse ją ściska.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Jesse i Mike bywali na rodzinnych spotkaniach, ale nigdy nie było powodu, żeby wychodzili w rozmowach poza zdawkowe „Jak tam leci?” Nie byli ze sobą blisko, bo i ja z Marie nie byłyśmy blisko. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że najtrafniej porównać to do dwóch zespołów bokserkich: Marie i ja byłyśmy zawodniczkami, a nasi mężowie wlewali nam wodę do ust i podtrzymywali na duchu.

Wchodzimy do jadalni, gdzie zastajemy Marie i rodziców. Sophie i Ava już poszły spać. Na widok Jessego wszyscy wstają, żeby się z nim przywitać.

Tato mocno, serdecznie ściska rękę Jessego, po czym bierze go w ramiona.

– Nawet nie wiesz, synu, jak to dobrze znowu cię zobaczyć!

Jesse kiwa głową, najwyraźniej nieco przyłoczony całym tym zamieszaniem.

Mama zamyka go w uścisku, a potem odsuwa się od niego na odległość wyciągniętych rąk. Ściska go

dłońmi za ramiona i kręci głową.

– Nigdy w życiu niczyj widok nie sprawił mi takiej radości.

Marie też ściska go mocno i szczerze, co zaskakuje Jessego. Widzę, że się uśmiecha i usiłuje się grzecznie wyplątać z całej sytuacji. Czuje się niezręcznie i rozpaczliwie stara się to ukryć.

– Wpadliśmy tylko, żeby się pożegnać – mówię. – Powinniśmy już być w drodze.

– A gdzie jedziecie? – pyta Marie. Myślałam, że tato wszystkim powiedział, ale najwyraźniej nie. Dziwne, że plotki w mojej rodzinie rozchodzą się tak powoli.

– Jedziemy z Jessem do Maine na parę dni – mówię. Mówię to tak, jakby było to w pełni naturalne. Jakbym nie miała narzeczonego. I w gruncie rzeczy być może nie mam narzeczonego. Naprawdę już nie wiem, co mam, a czego nie.

– Aha, okej. – Ton Marie jest taki jak mój. – No to mam nadzieję, że miło spędzicie czas. – Patrzy mi w oczy tylko odrobinę dłużej i odrobinę intensywniej. Przesłanie jest jasne. Wkrótce zażąda szczegółów. Bez wątpienia dlatego, że się o mnie troszczy, ale jeśli się nie mylę, również dlatego, że sprawa zaczyna być pikantna.

– Dzięki – mówię i rzuca jej ukośne spojrzenie, mówiące jasno, że ona pierwsza dowie się wszystkiego, co będzie do powiedzenia.

I w tej chwili po schodach zbiegają, trzymając się za ręce, Sophie i Ava. Sophie, w pizamce termoaktywnej w kolorze morskiej zieleni, koniecznie chce zobaczyć, co tu się dzieje, i ciągnie za sobą Avę – w żółto-pomarańczowej, nie od pary.

Ze trzy stopnie dzieli je od parteru, kiedy Ava się przewraca. Sophie zatrzymuje się i mrużąc leciutko oczy, osłania je ręką przed światłem, żeby lepiej widzieć.

– Hej – mówi łagodnie Marie. – Wiecie, że macie być w łóżeczkach, prawda? – Jesse śledzi wzrokiem gesty Marie, która każde słowo pokazuje w języku migowym.

Tato wstaje.

– Pójdę je położyć. Chciałbym spędzić trochę czasu z moimi wnuczkami.

Jesse obserwuje, jak tato miga słowa „łóżeczko” i „wnuczki”. Tato podnosi Avę, a Sophie bierze za rączkę i rusza po schodach na górę.

– Dobra – mówię. – To do zobaczenia.

Jesse macha wszystkim na pożegnanie, a ja biorę go za rękę i wychodzimy. Ale gdy jesteśmy na zewnątrz, widzę, że jest zamyślony.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Co? – Jesse potrząsa głową i wraca do przytomności. – Tak, jak najbardziej.

– O czym tak myślisz?

Przypuszczam, że spyta o język migowy albo o implanty ślimakowe, ale nie. Nie wspomina ani słowem o tym, że mają upośledzony słuch.

– Nie wiem... – mówi. – Po prostu... ojejku.

– Co?

– To są moje siostrzenice.

Tuż przed granicą Massachusetts wraca mi apetyt. Wstąpiliśmy do przydrożnego fast foodu typu „drive thru” i teraz stoimy na poboczu.

Jem hamburgera z frytkami. Jesse zamówił cheeseburgera z bekonem i colę, ale je i popija jakoś bez przekonania.

– Zdaje się, że już tu kiedyś byliśmy – mówi.

– W tej konkretnej knajpie?

Kiwa głową.

– Po balu maturalnym.

Śmieję się. Bal maturalny... Wydaje się, że to tysiąc lat temu. Powiedzieliśmy rodzicom, że zostaniemy na noc u kolegów, ale dość szybko się wymknęliśmy i pojechaliśmy do tego właśnie domku, do którego jedziemy obecnie. Tydzień wcześniej byłyśmy z Olive w sklepie Victoria's Secret. Szukała stanika, który pasowałby jej do sukienki, ale ja powędrowałam do stoiska z bardziej dorosłą bielizną i kupiłam sobie czarne stringi na sznureczkach, które zachowałam na bal. To był pierwszy raz, kiedy naprawdę starałam się być seksowna. Jesse nawet ich wtedy nie zauważył. Jedyne, o co mu chodziło, to żebyśmy byli sami, żeby nikt nas nie słyszał ani nam nie przeszkodził.

– Czasem, jak myślę o tym, jak byłam ubrana na tym balu, to się dziwię, że ani ty, ani Olive nie próbowaliście jakoś na mnie wpłynąć. Pamiętasz te motylki, które miałam wytatuowane na całym ciele?

Jesse się śmieje.

– Dla mnie były podniecające jak cholera, słowo daję. Pamiętaj, że miałem wtedy osiemnaście lat.

– Wątpię, żebyś pamiętał, jak chałowo wyglądałam.

– Pamiętam jakby to było wczoraj. Byłaś najseksowniejszą dziewczyną na balu.

Kręcę głową i dojadam hamburgera, po czym zgniatam w kulkę opakowanie i wrzucam je do torby.

– Chwileczkę – mówię. – Chyba mam jakieś zdjęcie. Chcę, żebyś naprawdę sobie przypomniał, co na sobie miałam. I przyznał, że wyglądałam potwornie tandetnie.

Jesse śmieje się i dojada resztę swojej porcji. Odwracam się, biorę torbę z tylnego siedzenia i zaczynam w niej grzebać. Wyjmuję kopertę, którą zabrałam z domu, i szukam zdjęcia, o którym mowa. Jakoś nie mogę znaleźć, choć wiem, że tam jest.

Wytrząsam zawartość koperty na kolana.

– Ożeż – mówi Jesse. – Co to takiego?

– Po prostu różne rzeczy związane z tobą... z nami. Zachowałam je.

Wygląda na to, że zrobiło to na nim wrażenie.

– No, no – mówi.

– Nigdy o tobie nie zapomniałam. Nie mogłabym o tobie zapomnieć.

Rzuca mi krótkie spojrzenie, po czym przenosi je na mój podołek, na zdjęcia i listy, które zachowałam.

Nie komentuje tego, co powiedziałam. Bierze jedno ze zdjęć.

– To z sylwestra w Amsterdamie?

Kiwam głową.

Tamtego wieczoru całowaliśmy się o północy z innymi ludźmi, bo byliśmy pokłóceni. Siedem minut po północy pogodziliśmy się w łazience obscurnego baru w rozrywkowej dzielnicy De Wallen i

obściskiwaliśmy się, siedząc na umywalce. Zdjęcie to selfie, zrobione trochę później na ławce nad rzeką.

Jesse bierze do ręki inne fotki. My na górskim szczycie w Kostaryce. On na plaży w Sydney. Z pewnością ja robiłam to zdjęcie. Sam uśmiech na jego twarzy świadczy, jak mnie kocha.

– Boże, spójrz na nas – mówi.

– No – mówię.

– Pamiętasz, kiedy zostało zrobione to zdjęcie? – Pokazuje mi to z nim na plaży.

– Jasne, że pamiętam.

– Tego dnia postanowiliśmy, że nigdy nie będziemy mieć żadnego planu awaryjnego, tak żebyśmy mogli realizować nasze marzenia. Pamiętasz? Że znajdziemy taką pracę, która pozwoli nam zwiedzać świat.

– Pamiętam.

Przerzucam parę innych zdjęć i natrafiam między nimi na inną kopertę, zaadresowaną moim pismem do niego. To list, który do niego napisałam przed randką z Samem. Odkładam kopertę i niepostrzeżenie wsuwam z powrotem do większej, z której pochodzi.

I wreszcie znajduję fotkę, której szukam. Nasz bal naturalny. Ja i moje motylki.

– No – mówię. – To spójrz na to zdjęcie i powiedz mi prawdę.

Stoimy w ogromnym oknie, wychodzącym na panoramę Bostonu. W tle widać światła miasta. Jesse jest w tanim smokingu z dziwną butonierką, którą przypięłam mu na podwórku w obecności naszych rodziców. Ja stoję obok niego, zwrócona bokiem, ale twarzą w stronę obiektywu. Mam na sobie jaskrawoczerwoną sukienkę, we włosach o wiele za dużo klipsów, a ramiona i częściowo widoczne plecy popaćkane zblakłym już i rozmazanym sztucznym makijażem w motylki.

Ofiara mody wczesnych lat dwutysięcznych.

Jesse momentalnie wybucha śmiechem.

– O Boże... Wyglądasz, jakbyś miała jakąś chorobę skóry!

Ja też się śmieję.

– Nie, to tylko fałszywe motylki.

– Pamiętam, że te motylki były dla mnie najbardziej seksowną rzeczą, jaką w życiu widziałem.

– Och, a ja pamiętam, jak myślałam, że jestem najfajniej ubraną dziewczyną na balu. Cóż, po prostu rzeczy nie zawsze są takie, jak pamiętamy.

Jesse podnosi na mnie wzrok, próbując ustalić, co przez to rozumiem. Decyduję się zignorować tę wieloznaczność.

– Ale ty! – mówię. – Tobie się udało. Przystojny wtedy, przystojny dziś.

Jesse się uśmiecha i zwraca z powrotem do kierownicy, gotów do dalszej jazdy.

Zbieram pozostałą zawartość koperty i próbuję ją włożyć do środka. Ale, rzecz jasna, niektóre rzeczy wypadają na podłogę, inne zaczepiają się rogiem i nie dają wepchnąć.

Zbieram to, co wypadło, w tym mój pierścionek z rubinem, wkładam do koperty i rzucam ją na tylne siedzenie. I dopiero wtedy widzę, że na środkowej konsoli coś zostało.

Jest to artykuł z „Beacon” sprzed prawie czterech lat.

Jessie Lerner, pochodzący z naszego miasta, zaginął na Pacyfiku.

Tuż pod nagłówkiem widnieje jego stare zdjęcie: stoi na podwórku rodzicielskiego domu z uniesioną w geście pozdrowienia prawą ręką. Jest w stanie nienaruszonym, kompletna.

Kiedy artykuł się ukazał, byłam jeszcze w LA, ale wkrótce po powrocie do Massachusetts dotarł do mnie ten egzemplarz. W pierwszym porywie o mało go nie wyrzuciłam. Ale nie mogłam. Nie potrafiłam wyrzucić nic, gdzie było jego zdjęcie, gdzie napisane było jego nazwisko. Tak mało mi po nim zostało.

Biorę wycinek i składam go na pół, tak jak spoczywał w kopercie od lat.

Jesse patrzy mi w tym czasie na rękę.

Wiem, że go widział.

Odkładam wycinek na tylne siedzenie, obok koperty. Odwracam się i otwieram usta, żeby powiedzieć o nim Jessemu, uznać jego istnienie, on jednak odwraca wzrok i włącza silnik.

Nie chce o tym mówić.

Czy człowiek kiedykolwiek godzi się ze stratą? Czy też znajduje pudełko wewnątrz siebie, dostatecznie duże, aby ją pomieścić? I po prostu wpycha ją do środka, dociska i zamyka wieczko? I pracuje każdego dnia, żeby pudełko było zamknięte?

Myślałam, że jeśli upchnę ból dostatecznie ciasno i zamknę pudełko dostatecznie szczelnie, to ból rozwieje się z czasem sam z siebie. I kiedy któregoś dnia je otworzę, okaże się, że jest puste i ból, który, jak sądziłam, niosę ze sobą, już nie istnieje.

Teraz jednak, siedząc tu, w tym samochodzie, zaczynam myśleć, że pudełko przez całe te trzy i pół roku było i jest pełne. Jestem pewna, że tylko patrzeć, a przykrywka spadnie, i boję się, co zobaczę w środku.

Jesse zresztą też ma jakieś pudełko.

I jego jest wypchane ciaśniej niż moje.

Domek rodziców Jessego.

Nigdy nie myślałam, że jeszcze go kiedyś zobaczę.

Ale oto jestem tutaj.

Jest prawie druga w nocy. Na drogach, które tu prowadzą, było tak pusto, że można by pomyśleć, że to miasto duchów.

Domek, dziwnego kształtu konstrukcja przypominająca raczej powiększony szałas, wygląda przyjaźnie i zachęcająco – okładzina z desek, duże okna, taras dookoła. Jest w nim pewna dysharmonia, jako że pierwotnie był to domek maciupci, ale doczepiono do niego szereg przybudówek.

Na posesji nie ma ani jednej lampy, więc Jesse zostawia długie światła, żebyśmy mogli przenieść manatki.

Biorę moją torbę, a Jesse parę rzeczy z bagażnika i ruszamy do wejścia.

– Zimno ci? – pyta, manipulując kluczem w zamku. – Zaraz rozpalę w kominku.

– Super – mówię.

Klucz obraca się z kliknięciem, ale drzwi ani drgną. Jesse musi naprzeć na nie całym ciałem, żeby puściły.

Kiedy się w końcu poddają, pierwsze, co rejestruję, to znajomy zapach starego drewna.

Jesse wchodzi i natychmiast, zanim zdążę postawić moje rzeczy, włącza wszystkie światła i ogrzewanie.

– Rozgość się, idę wyłączyć światła w samochodzie.

Kiwam głową i zacieram ręce, próbując je rozgrzać. Rozglądam się. Kamienny kominek, pasiaste afgańskie kobierczyki na fotelach. Barek wypchany na wpół opróżnionymi butelkami. Drewniane schody są tak stare, że na oko widać, że trzeszczą, kiedy się po nich wchodzi.

Nie ma tu nic, co by mnie zaskoczyło, nic, co wydawałoby się nie tak w porównaniu z tym, co zapamiętałam. Tylko ja jestem innym człowiekiem, niż kiedy byłam tu ostatnio.

Myślę, że niewiele rozumiem z tego, jak, powracając tutaj, musi się czuć Jesse. Wiem teraz, co miał na myśli wtedy u moich rodziców: że równie dziwne jest to, że prawie nic się nie zmieniło, jak to, że tak wiele się zmieniło.

Jesse wchodzi i zatrząskuje za sobą drzwi.

– Za parę minut powinno być ciepło – mówi. – Chociaż nie byłem tutaj od lat, więc na pewno nie wiem.

– Ostatni raz byliśmy tutaj...

– Na naszym weselu – kończy za mnie Jesse.

Uśmiecham się na wspomnienie tego dnia. Jesse też. Po przyjęciu nocowaliśmy w pensjonacie, więc ściśle biorąc, ostatni raz, kiedy tu byliśmy, był wtedy, kiedyśmy się kochali – on w smokingu, ja w ślubnej sukni – na kuchennym blacie. Tym, który mam teraz tuż obok po lewej ręce. Pamiętam, że wydawało mi się to strasznie romantyczne. Teraz niemal krzywię się na myśl, że kochaliśmy się na blacie. Przecież tu się szykuje jedzenie! Co myśmy mieli w głowie?

– To co z tym kominkiem? – pytam.

– Już! – Jesse podchodzi do kominka. Jest zakurzony i pusty. Obok leży stos starego drewna.

Patrzę na niego, kiedy się krząta. Patrzę, jak wybiera kawałki drewna. Jak je układa. Jak zapala zapałkę.

– Zmęczona jesteś? – pyta. – Chcesz się położyć?

– Nie – mówię, kręcąc głową. – Jestem dziwnie trzeźwa. A ty?

Macha ręką.

– Jeszcze tak naprawdę nie jestem we wschodniej strefie czasowej.

– Rozumiem – mówię.

Jesse podchodzi do barku.

– W takim razie wino?

– Może dzin? – podsuwam.

– Ożeż – mówi. – Nie ma sprawy.

Nalewa mi kieliszek hendrick'sa. Drugi nalewa dla siebie. Siadam i biorę afgański koc, który leży na oparciu jednego z foteli.

Jesse przykuca pod barkiem i wyjmuję z lodówki tackę z kostkami lodu. Musi uderzyć nią w blat, żeby któraś wyskoczyła.

– Już pewnie upłynęły całe miesiące, a może lata, odkąd ktoś przyrządził tu koktajl – mówi. – Ten lód raczej nie jest na A z plusem.

Śmieję się.

– Jest w porządku, naprawdę.

Przynosi mi mój kieliszek i stawia. Podchodzi do paleniska i porusza w nim parokrotnie pogrzebaczem. Zaczyna się palić równym płomieniem. Prostuję się i biorę do ręki kieliszek. Gestem zachęcam Jessego, żeby wziął swój.

– Za ciebie – mówię.

– Za nas.

Uśmiecham się. Stukamy się kieliszkami. Wychylam od razu ćwierć kieliszka. Jesse próbuje zrobić to samo i krzywi się.

– Przepraszam – mówi, kręcąc głową. – Naprawdę dużo czasu upłynęło, odkąd piłem mocne trunki.

– Nie przejmuj się. – Wlewam do ust resztę. – Nauczę cię na nowo.

Wkrótce w pokoju robi się ciepło. Gdy daje o sobie znać działanie alkoholu, nasza chwilami nieco wymuszona konwersacja staje się coraz bardziej ożywiona. Ani się obejrzelśmy, jak zaczynamy wspominać, jaki niedobry był tort na naszym weselu, a ja mam zaliczone trzy kieliszki hendrick'sa.

Jesse siedzi w jednym końcu kanapy z nogami na stoliku. Ja siedzę w drugim z nogami podwiniętymi pod siebie. Jestem bez butów, sweter leży na podłodze.

– No to powiedz mi – mówi Jesse – jakie pieczątki przybyły w twoim paszporcie?

Przykro mi, że muszę go rozczarować.

– Hm... właściwie to żadne. Ani jedna, odkąd zaginałeś.

Jesse jest wyraźnie zdziwiony.

– Nawet w południowych Włoszech nie byłaś? Byłaś gotowa napisać ten kawałek o Apulii.

– Tak – mówię. – Ale po prostu... no wiesz, życie popchnęło mnie w inną stronę.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, po czym Jesse nachyla się w moją stronę.

– Przepraszam, że wziąłem tamto zlecenie. Przepraszam, że cię zostawiłem. Jak ja mogłem? Wyjeżdżać w przeddzień rocznicy ślubu?

– Nie przejmuj się – mówię. Chciałabym dodać: „Przepraszam, że zaręczyłam się z innym”, ale nie mogę się do tego zmusić. Zwróciłoby to uwagę na to, co we mnie najwrażliwsze i najbardziej niepewne, jak w przypadku nastolatki, która pierwszy raz wkłada bikini na przyjęcie nad basenem.

– Czy ty masz pojęcie, jak to jest marzyć o kimś codziennie przez tyle czasu, a potem ni stąd, ni zowąd znaleźć się obok tej osoby? – pyta Jesse.

– Ostatnio wydaje mi się, że to jedyne, co wiem. Wciąż mi trudno uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że jesteś tutaj.

– No. Mnie też. – Jesse bierze mnie za rękę i przytrzymuje. Po czym mówi: – Obcięłaś włosy.

Moja ręka wędruje na kark, do linii włosów. Robię to, kiedy jestem skrępowana tym, że mam tak śmiałą fryzurę. Coś w tym geście mnie irytuje. Tak jakbym nie była w pełni sobą, jakbym grała jakąś rolę.

– Tak – mówię. Słyszę złość w moim tonie, więc go zmiękczam. – Już ze dwa lata temu.

– I są jaśniejsze. Wcześniej nie byłaś tak naprawdę blondynką.

– No. Ale podoba mi się tak jak teraz.

– Prawie że cię nie poznałem – mówi. – Na lotnisku.

– A ja cię poznałam od pierwszej chwili, jak tylko wyszedłeś z samolotu.

– Jesteś taka inna. – Przysuwa się bliżej. – Ale jesteś także wszystkim, o czym marzyłem przez te lata. I mam cię tuż przed sobą. – Ujmuje dłońią moją twarz i patrzy mi w oczy. Nachyla się i dotyka ustami moich ust. Mózg ustępuje miejsca sercu i zapadam w jego ramiona.

Odsuwa się.

– Myślę, że powinniśmy spać razem – mówi, patrząc mi w oczy.

Wiem, że jeśli powiem „tak”, nie będzie odwrotu.

Na zawsze zmieni to stan rzeczy pomiędzy mną a Samem.

Ale wiem też, że to, o czym mówimy, jest nieuniknione. Będę z nim spała, czy to będzie teraz, jutro czy za dwa tygodnie. To się stanie.

Chcę wiedzieć, co Jesse teraz czuje, a to pragnienie tym bardziej podsycają wspomnienia tego, co czuł kiedyś.

Wiem, jakie są konsekwencje. Wiem, że mnie to może kosztować.

A jednak zrobię to.

– Też tak myślę – mówię.

Jesse uśmiecha się, po czym wybucha śmiechem.

– W takim razie co my tu, do diabła, robimy na dole? – Wstaje i jak dżentelmen wyciąga do mnie rękę.

Śmieję się i ją ujmuję. Ale zaledwie moje stopy dotykają podłogi, Jesse porywa mnie w ramiona.

– Kiedy ostatni raz robiłaś to w podwójnym łóżku? – pyta. To żart. I wiem, że lepiej nie odpowiadać.

Przychodzi mi jednak do głowy, że może nie jest to dobry znak, że tak często traktuję prawdę wybiórczo.

Jesse wynosi mnie na rękach z pokoju i idzie ku schodom.

– O Boże! – krzyczę, zdumiona, że tak łatwo porusza się po domu ze mną w ramionach. – Upuścisz mnie!

Nie słucha. Wbiega po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz. Otwiera pchnięciem drzwi pokoju, który kiedyś był jego. Rzuci mnie na łóżko i ląduje na mnie.

Nic nigdy nie wydawało mi się takie znajome, przyjazne, swojskie jak to, że leżę pod nim, czuję na ustach jego usta, a na ciele jego ręce.

Odpina mi koszulę i rozchyła ją szeroko.

Moje ciało zmieniło się od czasu, gdy zniknął, to naturalne i nieuniknione. Ale nie czuję się skrępowana ani zakłopotana. Czuję się pobudzona i pełna wigoru. Tak jakbym chciała być jak najszybciej naga, tak naga, jak tylko się da, jakbym chciała jak najszybciej pokazać mu całą siebie.

Patrzę, jak zdejmuje własną koszulę, jak podnosi ramiona i ściąga ją przez głowę. Z zaskoczeniem widzę, że jest jeszcze chudszy, niż myślałam, i że z lewej strony piersi ma rozległą plataninę purpurowych blizn. Wyglądają jak powiązane w węzły błyskawice. Tyle cierpień i przeżyć ma wypisane na ciele.

– Przez te wszystkie lata, kiedy za tobą tęskniłem – mówi, pocierając delikatnie nosem mój obojczyk – tęskniłem za twoją twarzą i twoim głosem, i twoim śmiechem.

Ciało mam rozpalone, twarz mi płonie. Nie pamiętałam, że dotyk jego rąk jest aż tak przyjemny. Jego

ciało wpasowuje się bez wysiłku w zakamarki mojego, tak jakby nasze członki uformowały się we wzajemnej relacji, wspólnie omywane falami przyptywów i odpływów.

Jednym szarpnięciem rozpina mi dzinsy. Guzik pryska.

– Ale najbardziej tęskniłem za twoim dotykiem – mówi i ściąga ze mnie dzinsy. Biodra, nogawki, wreszcie ciska je na pokój. Bez słowa zdejmuję własne. Znowu kładzie się całym ciężarem na mnie.

– Tęskniłem za dotykiem twoich rąk na plecach. Za twoimi nogami, kiedy mnie nimi oplatasz.

Poruszam się lekko, zapraszając go.

I już mnie nie ma.

Już jestem wyłącznie tą Emmą, która kocha Jessego Lernerę, tą Emmą, którą byłam przez niemal całe moje dorosłe życie.

I kiedy się razem poruszamy, razem dyszymy, razem dążymy do kresu, słyszę jego szept:

– Emma.

– Jesse – szepczę.

Leżymy w łóżku.

Jesteśmy nadzy.

W skłębionej pościeli, złani potem.

Trzymamy się w ramionach i przypominam sobie wszystkie inne przypadki, kiedy tak leżeliśmy przy sobie, spleceni kończynami, łapiąc oddech. Uczyliśmy się, jak to robić razem, poznawaliśmy siebie samych i siebie nawzajem. Kochaliśmy się i pragnęliśmy siebie, kiedy byliśmy jeszcze w tym kiepscy, i razem zyskiwaliśmy doświadczenie, razem stawaliśmy się coraz lepsi.

Teraz jesteśmy w tym świetni. Lepsi niż kiedykolwiek. I choć jesteśmy zmęczeni, przetaczam się na Jessego i zaczynamy od nowa.

Włącza się bez trudu. Przyciska się do mnie i jęczy.

Jego oddech staje się kwaśny, nieumyte włosy pachną nim. To moja ulubiona wersja niego.

– Jeszcze raz – mówi. Nie jest to ani pytanie, ani komenda, raczej stwierdzenie faktu. Zrobimy to jeszcze raz. Jeszcze raz musimy być blisko. Jeszcze raz jesteśmy jednością

I tym razem namiętność nie jest już jak pożar. Raczej jak długo, równo palący się płomień.

Żadne z nas się nie śpieszy. Żadne nie mogłoby się śpieszyć, nawet gdybyśmy chcieli.

Jesteśmy powolni. Jesteśmy wytrwali.

Jak nigdy dotąd rozkoszuję się wrażeniem jego ciała na moim, chwilami, kiedy przelotnie dotykamy się pierśią, by znowu się od siebie oddalić.

W tym momencie jestem zdumiona, że w ogóle jestem w stanie kochać się z innym. Dopóki go nie straciłam, seks zawsze wydawał mi się czymś, co wynaleźliśmy we dwoje. Teraz, gdy wrócił, gdy znowu jest tu ze mną, nie mogę zrozumieć, że byłam na tyle szalona, by myśleć, że równie dobrze może być z innym.

To, co czuję, to, co robimy, to wysyłanie sygnałów przenikających na wskroś moje ciało. To jak strzał kofeiny, jak kop narkotyku, jak paląca moc alkoholu. Niemal czuję, jak przezwaja mi się mózg.

To jest to, czego chcę.

To jest to, czego zawsze chciałam.

Zawsze będę tego chciała.

Zасыpiamy koło szóstej, w chwili gdy wstaje słońce i budzi resztę świata.

Budzi mnie skrzyp zamykających się frontowych drzwi i głuchy stuk zrzucanych butów o podłogę. Otwieram skacowane oczy i widzę, że w łóżku nie ma nikogo oprócz mnie.

Powoli wyplątuje się z pościeli, znajduję majtki i wkładam je wraz z wczorajszą koszulą Jessego. Na schodach dobiega mnie woń kawy.

– No, jesteś – słychać z kuchni głos Jessego. Wychodzi, chwytając mnie na ręce i podnosi. Oplątuje go nogami. Całuję go. Smakuje miętą i przypomina mi to, jaki okropny musi być mój poranny oddech. Zerkam na zegar na mikrofalówce. Jest prawie druga. W takim razie popołudniowy oddech.

Odkąd skończyłam studia, nie zdarzyło mi się spać tak długo. Nie nawaliłam się wczoraj aż tak strasznie, ale odkąd skończyłam dwadzieścia dwa lata, mój organizm nie potrafi pozbyć się tak szybko skutków alkoholu jak kiedyś.

Odsuwam się od Jessego, a on stawia mnie na ziemi.

– Chyba powinnam umyć zęby – mówię.

– Też to zauważyłaś, co? – drażni się ze mną Jesse.

– Ty!

Uderzam go lekko w pierś i przychodzi mi do głowy, że może trafiłam go w tę bliznę, którą ma na ciele. Może nadal jest wrażliwa, może go zabolalo? Chciałabym się dowiedzieć, skąd ta blizna. Chciałabym się dowiedzieć, co z jego zębami po paru latach bez dentysty albo czy nie cierpi na niedobór witamin. No i, oczywiście, co z tym palcem.

Ale wiem też, że go nie zapytam. Obiecałam mu, że nie będę.

Ale koniec końców musi o tym powiedzieć. Jeśli nie mnie, to komuś innemu. Wiem, że udaje, że wszystko z nim w porządku, ale nikt nie byłby całkiem w porządku po tym, co przeszedł Jesse. Nie może udawać w nieskończoność.

– Żartuję – mówi uspokajająco. – Lata czekałem, żeby poczuć twój poranny oddech. Poranny oddech, potargane włosy... wszystko w tobie kocham.

Kiedy zaginął, przez całe miesiące trzymałam jego szczoteczkę do zębów. Nie wyrzucałam niczego, co miało w sobie coś z niego.

– Kocham cię, Emma – mówi. – Chcę być z tobą na resztę życia.

– Ja też cię kocham.

Jesse się uśmiecha. Z tostery wyskakują grzanki. Świst, stuknięcie.

– Dobra – mówi Jesse. – Jest kawa, sok pomarańczowy, grzanki i dżem. I bekon z mikrofal. Będę szczerzy: zdumiewa mnie. Bekon z mikrofal. Poplątało mi się czy naprawdę nie było go parę lat temu?

Śmieję się i ruszam do kuchni.

– Tak, zdaje się, że to dosyć nowy wynalazek.

– Tak myślałem. Dobra, to siadaj, a ja ci wszystko podam.

– Ojejku – mówię. Jestem pod wrażeniem.

Siadam i patrzę, jak się krząta po niewielkiej kuchni, jakby od tego zależało jego życie. Nalewa dwie szklanki soku pomarańczowego. Wyjmuje grzanki z tostery. Stawia na blacie dżem truskawkowy i szuka noża. A potem otwiera opakowanie bekonu i wstawia go na talerzu do mikrofal.

– Jesteś gotowa? Podobno w parę sekund ma być idealnie chrupki.

– Jestem gotowa. Olśnij mnie.

Jesse śmieje się i wyjmuje dwa kubki. Nalewa kawę i jeden podaje mnie. Pociągam łyk. Mikrofalówka wydaje brzdęk.

Jesse krząta się jeszcze przez chwilę, po czym stawia na blacie dwa talerze wyładowane jedzeniem, włącznie z idealnie chrupkimi plastrami bekonu.

Siada koło mnie i kładzie mi dłoń na gołym udzie. Kiedyś było tak, że nie byłam pewna, gdzie kończę się ja, a zaczyna Jesse. Byliśmy tak ze sobą splątani, tak dalece jedną istotą w dwu ciałach, że moje końcówki nerwów ledwie reagowały, kiedy mnie w ten sposób dotykał.

Teraz tak nie jest.

Moja skóra zapala się pod jego dotknięciem. Ręka wędruje bezwiednie nieco wyżej i skóra rozżarza się jeszcze bardziej. Po czym Jesse cofa rękę i bierze się do jedzenia.

– Śniadanie na lunch – mówię. – Niezłe.

– Co ja mogę powiedzieć? Po prostu niezły ze mnie facet. Kiedy wychodziłem, kupiłem też dwunastopak dietetycznej coli, bo znam Emmę Lerner i wiem, że Emma Lerner potrzebuje stałej dostawy dietetycznej coli.

Nie nazywam się teraz Emma Lerner i nie piję już dietetycznej coli. Nie wiem, jak na to zareagować, więc nie reaguję.

– A co jeszcze kupiłeś? – pytam.

– Właściwie to niewiele. Pomyślałem, że kolację zjemy gdzieś na mieście.

– O, super – mówię. – Brzmi świetnie.

– Ty, ja, butelka wina, może homar... – Patrzą na niego ze zdziwieniem, więc dodaje tonem wyjaśnienia: – Jesteśmy w Maine.

– Nie wiedziałam, że jadasz skorupiaki – mówię. I w chwili, gdy to mówię, zdaję sobie sprawę, jaki idiotyzm powiedziałam.

– Spokojnie. Homar będzie w porządku, zobaczysz.

– Dobra, no to super. Homary z Maine i wino. A co mamy na wokandzie po południu?

– Co tylko zechcesz – mówi, kończąc ostatnią grzanekę, i przekłada na mój talerz resztę bekonu. Pożeram go łapczywie. Zjadłabym jeszcze więcej, niż mam na talerzu.

– Co tylko zechcę?

– Co tylko.

Już od tak dawna się nie zdarzyło, żebym mogła robić, co tylko zechcę.

– To może byśmy się przeszli do latarni morskiej? – proponuję.

Jesse kiwa głową.

– Świetny pomysł. To znaczy, jest okropnie zimno, ale jeśli damy radę to wytrzymać...

Śmieję się.

– Opatulimy się. Będzie fajnie, zobaczysz.

– Wchodzę w to – mówi. – To idziemy.

Chwytam go za rękę i ciągnę na górę. Wkładam grube spodnie i sweter. Zdejmuję z wieszaka kurtkę i szalik. Jesse jest już w dzinsach i koszuli, ale upieram się, że powinien włożyć coś cieplejszego. Szukam po szafach jakiegoś starego swetra. Wreszcie znajduję jakiś w głębi szafy w głównej sypialni. Jest w kolorze kremowym i zgniłej zieleni, z wydzierganym reniferem z przodu. Niewątpliwie należał kiedyś do jego ojca.

– Masz – mówię i podaję sweter Jessemu.

Bierze i przygląda mu się. Podnosi do nosa.

– Śmierdzi naftaliną i śmiercią. Słowo daję.

Śmieję się.

– Wkładaj i już! Przecież nie pójdziesz w samej koszulce pod kurtką.

Jesse z ociąganiem wciąga sweter przez głowę i obciąga na sobie. Po czym klaszcze w dłonie.

– No to do latarni!

Wychodzimy na ganek, w kurtkach, szalikach, długich butach. Jest jeszcze zimniej, niż myślałam. Ostre powietrze szczypie w uszy, wdziera się w strategiczne miejsce pomiędzy szalikiem a karkiem. To jedna z niewielu rzeczy, jakich mi brak w krótkich włosach. Latem jest chłodno i miło. Ale w chwilach takich jak ta odsłonięta szyja jest bezbronna.

– Naprzód? – pyta Jesse.

– Naprzód!

Rozmawiamy o jego rodzinie. Rozmawiamy o studiach, o liceum, o naszych pobytach w Europie, o miesiącu miodowym w Indiach. Mam wrażenie, że odzyskuję przy nim moje dawne ja, beztroską wersję mnie, która umarła, kiedy sądziłam, że umarł on. Ale skłamałabym, mówiąc, że jestem tak pochłonięta rozmową, że nie czuję zimna. Nie sposób o nim zapomnieć.

Widzimy je, gdy wydychamy obłoki pary. Przenika nas do kości. Usta mamy popękane, pieką nas policzki, kulimy ramiona.

Idziemy przytuleni, żeby się nawzajem grzać. Trzymamy się za ręce w ciepłej kieszeni Jessego. Natrafiamy na miejsce, gdzie świeci słońce, i przystajemy, żeby załapać odrobinę słabiutkiego ciepła.

– Chodź no tu – mówi Jesse, chociaż jestem tuż obok. Przytula mnie ciaśniej i rozciera mi dłońmi plecy, barki i ramiona, żeby mnie rozgrzać.

Przychodzi mi do głowy, że to, jak go pamiętam, to kiepski substytut jego realnego.

Podobno kiedy coś wspominamy, wspominamy ostatni raz, kiedy to wspominaliśmy. Za każdym razem, gdy przywołujesz jakieś wspomnienie, leciutko je zmieniasz, przysyłasz nowymi informacjami, nowymi uczuciami. W ciągu tych paru lat bez Jessego to, co o nim pamiętam, to kopia kopii kopii. Nieświadomie uwydatniałam niektóre jego cechy, a inne tymczasem blakły.

W kopii kopii kopii tym, co wyróżniałam, było to, jak go kocham. Tym, co zbladło i wsiąkło w tło, było to, jak on kocha mnie.

Ale teraz przypominam sobie, jak to jest – być odbiorczynią tak wielkiej miłości, takiego oddania.

Ciekawe, co on wyodrębnił, kiedy wspominał mnie. A co zszarzało i zbladło.

– Dobra – mówi Jesse. – Nie możemy tak stać w nieskończoność. Proponuję, żebyśmy puścili się biegiem do latarni, to się rozgrzejemy. Kto pierwszy.

– Racja. Dobry pomysł.

– Policzmy do trzech.

– Raz... dwa... – zaczynam.

– Trzy!

Startuje niczym gepard. Staram się jak mogę, żeby dotrzymać mu kroku.

Wiatr podczas biegu jeszcze ostrzej tnie w policzki, ale prędko zaczynam się rozgrzewać od środka. Plecy, ramiona, nogi.

Jesse ogląda się i sprawdza, gdzie jestem. I po chwili dobiegamy do miejsca, gdzie wybrzeże łagodnym łukiem skręca w lewo.

Choć do latarni jest jeszcze kawałek, otwiera się pełny widok na nią i na ocean. Biel wieży na tle granatowoszarego bezmiarów wód jest równie piękna dziś, jak była w dniu, kiedy się pobieraliśmy. Kiedy jeszcze wierzyłam, że miłość jest łatwa, że małżeństwo jest na zawsze i że świat jest bezpieczny.

Czy moglibyśmy zacząć jeszcze raz, startując dokładnie z tego samego miejsca?

– Do ogrodzenia cię wyprzedzę – mówię, choć wiem, że nie mam szans na zwycięstwo.

Jesse dobiega do ogrodzenia i odwraca się, sygnalizując zwycięstwo. Poddaję się, skoro i tak przegrałam, i zwalniam. Podchodzę do niego.

Mroźne powietrze tnie w płuca jak nożem przy każdym oddechu. Zwalniam go, uspokajam ciało. Czoło mam lekko spocone, ale szybko się ochładza i schnie.

– Wygrałeś – mówię i kładę mu głowę na ramieniu. Obejmuje mnie.

Stoimy, łapiemy oddech i patrzymy na skaliste wybrzeże oceanu. Tak to jest w Maine. Fala częściej rozbija się o skały, niż kładzie na piasku, uderza w klif, a nie rozlewa się po plaży.

Nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest – żyć przez kilka lat na skałach i piasku, za jedyną osłonę przed słońcem mając dmuchany materac. Niemożliwe, żeby Jesse przystosował się tak łatwo, jak to przedstawia.

Chcę mu wierzyć. Tak strasznie chcę mu wierzyć, że wszystko z nim jest aż tak w porządku. To znaczy, muszę mu pozwolić, żeby robił wszystko we własnym tempie, tak czy nie?

Ale tak miło jest pomyśleć, że może być równie pięknie, jak było kiedyś.

– To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu – mówi Jesse. – Kiedy braliśmy tu ślub, i wszyscy tu z nami byli.

– W moim też – mówię.

Jesse patrzy na mnie i się uśmiecha.

– Wyglądasz na okropnie zmarzniętą.

– Okropnie – przyznaję. – Może byśmy już wracali?

Kiwa głową.

– Za sześćdziesiąt sekund.

– W porządku – mówię. – Sześćdziesiąt sekund. Pięćdziesiąt dziewięć... Pięćdziesiąt osiem...

Ale przestaję liczyć. Po prostu cieszę się widokiem i towarzystwem – widokiem, którego nie spodziewałam się jeszcze kiedyś zobaczyć w towarzystwie mężczyzny, o którym myślałam, że go straciłam.

Świece na stole. Pinot Gris w kieliszkach. Ciepły chleb, którym zdołałam już nakruszyć na kremowy obrus.

I jeden mały, koszmarnie drogi homar w karcie. Bo grudzień to nie jest właściwie szczyt sezonu.

– Co robimy? – pyta Jesse. Siedzi naprzeciw mnie, w czarnej koszuli z długimi rękawami i szarych płóciennych spodniach. Ja jestem w czerwonym swetrze i czarnych dżinsach. Żadne z nas nie zabrało dostatecznie wytwornych rzeczy, żeby jeść kolację w tym lokalu. Szef sali wyraźnie się wahał, czy w ogóle nas wpuścić.

– Bo ja wiem – mówię. – Wyglądało, że to fajny pomysł, ale...

Jesse wstaje i kładzie serwetkę na stole.

– Idziemy.

– Już? – mówię, podnosząc się z krzesła.

Patrzę, jak wyjmuje z kieszeni parę banknotów, odlicza rozsądną kwotę i kładzie ją na stole, pod szklanką. Nie ma karty kredytowej ani konta bankowego, ani żadnego dokumentu tożsamości. Założę się, że to Francine dała mu pieniądze i powiedziała, że zadba, żeby miał wszystko, czego potrzebuje.

– Tak – mówi. – Już. Życie jest za krótkie, żeby siedzieć w jakiejś knajpie, pijąc wino, na którym nam nie zależy, i jeść homara, który nam się nie podoba.

Bezwzględnie ma rację.

Biegniemy do samochodu. Wskakuję na przednie siedzenie i szybko zamykam za sobą drzwiczki. Rozcieram ręce. Tupię nogami. Ani jedno, ani drugie mnie nie rozgrzewa.

– Temu wiatrowi chyba odbiło – mówi Jesse, zapalając silnik. Za każdym razem, gdy wsiadamy, proponuję mu, że poprowadzę, a on za każdym razem odmawia.

– Wciąż jestem głodna – mówię.

– A wieczór wciąż jest młody.

– To może wpadniemy do tej włoskiej knajpki i weźmiemy na wynos jakieś kanapki i sałatkę?

Jesse kiwa głową i wyjeżdża z parkingu.

– Dobry pomysł. Drogi są ciemne i kręte, a sądząc po tym, jak się chwieją drzewa, wiatr nie ustępuje. Jesse powoli podjeżdża na prowizoryczny parking przy włoskiej restauracyjce. Parkuje i wyłącza silnik, pozostawiając ogrzewanie.

– Zaczekaj – mówi. – Zaraz wracam. – I zanim zdążę zareagować, jest już na zewnątrz.

W ciemnym, spokojnym wnętrzu samochodu mam teraz chwilę dla siebie.

Wykorzystuję ją na sprawdzenie telefonu.

Mejle związane z pracą. Kupony promocyjne. SMS-y od Marie i Olive z pytaniem o samopoczucie. Otwieram parę mejli w związanych z pracą i przygważdża mnie ten od Tiny.

*Drogi Colinie, droga Ashley, droga Emmo,
z ciężkim sercem składam rezygnację z pracy.*

Postanowiliśmy z mężem, że sprzedamy dom i kupimy mieszkanie w okolicy Central Square. Niestety, oznacza to, że nie będę już pracować w Blair Books. Oczywiście mogę jeszcze pozostać na stanowisku przez standardowe dwa tygodnie..

Jestem Wam bardzo wdzięczna za umożliwienie mi pracy w Waszej wspaniałej księgarni. Miało to dla mnie ogromne znaczenie.

Szczerze oddana,

Tina

Oczywiście byli jacyś zastępcy przed Tiną i wiem, że będą po niej. Ale ciężko mi sobie wyobrazić, że wszystko będzie szło gładko, kiedy odejdzie. Rodzice też się w następnym miesiącu wycofują, co oznacza, że w przyszłości wszystko będzie na mojej – i tylko na mojej – głowie. Każdego innego dnia miałabym pewnie jakieś pomysły, ale w tej chwili mogę to jedynie zignorować. Archiwizuję tego mejla i przechodzę do kolejnego w skrzynce. Szybko zdaję sobie sprawę, że to z lokalu, gdzie miało się odbyć wesele.

Droga pani Blair,

z naszej dokumentacji wynika, że interesuje Panią możliwość odzyskania zaliczki za przyjęcie weselne wyznaczone na 19 października przyszłego roku. Jak informowaliśmy podczas wstępnej konsultacji, zastrzegamy sobie prawo do zatrzymania całej kwoty.

Jednakże mówiliśmy wówczas również o tym, że ten weekend jest popularną datą. Ponieważ interesuje się nią wiele par, właściciel lokalu zgodził się zwrócić połowę kwoty, o ile rezygnacja nastąpi do końca bieżącego miesiąca.

Mam nadzieję, że to wyjaśnia Pani wątpliwości.

Z poważaniem,

Dawn

Nie kontaktowałam się z żadnym Dawnem. Co oznacza, że jest tylko jedno wyjaśnienie.

Sam naprawdę jest gotów mnie zostawić.

Naprawdę mało brakuje, żebyśmy go straciła.

Nie tak miało się układać moje życie. Nie tak miała wyglądać moja skrzynka odbiorcza.

Powinny w niej być miłosne liściki. Powinny w niej być zdjęcia kotów i mejle dotyczące cateringu i zaproszeń.

A nie mejle z Carriage House z wiadomością, że raptem parę kliknięć dzieli mojego narzeczonego od odwołania naszego wesela, że mogę go stracić, stracić cudownego mężczyznę – przez własną niepewność, własne zapętlone uczucia.

Co ja robię w tym Maine?

Czy ja, do diabła, rozum straciłam?

Nagle czuję przemożny impuls, żeby przesiąść się za kierownicę i już, w tej chwili jechać do domu, do Sama. Ale jeśli to zrobię, jeśli ruszę do niego w tej chwili, to czy będę mogła uczciwie powiedzieć, że nie pomyślę więcej o Jessem?

Jeśli mam pojechać do Sama, to z pełnym przekonaniem, że nigdy go nie zostawię. Przynajmniej tyle mu jestem winna. To znaczy, jestem mu winna wszystko. Ale traktowanie go serio i niebawienie się nim to absolutne minimum tego, co mogę i powinnam dla niego zrobić. I mam świadomość, że nawet jeśli zrobię, może się to okazać niewystarczające.

Kochając obu, nie jestem już pewna, którego z nich kocham. A przez swoją niepewność mogę stracić obu.

Romantyczna miłość jest piękna we właściwych okolicznościach. Ale właściwe okoliczności są dość specyficzne i nieczęste, prawda?

Nieczęsto się zdarza, że kochasz człowieka, który kocha ciebie, że kochasz wyłącznie człowieka, który kocha wyłącznie ciebie. W każdym innym przypadku ktoś dostaje cios w serce.

Ale chyba właśnie dlatego miłość ma dla nas taki powab. Trudno ją znaleźć i trudno zatrzymać,

podobnie jak wszystko, co piękne. Jak złoto, szafran, jak zorzę polarną.

– Ludzie w knajpie mówią, że w nocy będzie zawieja – mówi Jesse, wsiadając z powrotem do samochodu. W ręce trzyma pudełko pizzy. – Wziąłem z pepperoni i ananasem, twoją ulubioną. – Kładzie mi pudełko na kolanach.

Czuję, że na mojej twarzy pojawia się sztuczny uśmiech, rzekomo pełen radosnego zaskoczenia. Nie mogę jeść sera.

– Super!

Ruszamy i kierujemy się z powrotem w stronę domku, tymi samymi zaśnieżonymi ulicami. Jesse bierze teraz zakręty pewnie, jak człowiek, który zna drogę.

Ale droga się wiję i zakręty pojawiają się dość nieoczekiwanie. Łapię się na tym, że ściskam uchwyt nad głową. Raz, drugi.

– Może zwolnij? – sugeruję za drugim razem.

Zerkam na szybkościomierz. Pięćdziesiąt mil, gdy dozwolone jest trzydzieści pięć.

– Spokojnie – mówi. – Dam radę. – Po czym patrzy na mnie przelotnie i uśmiecha się. – Użyjmy troszeczkę życia.

Czuję, że się odprężam, choć jedziemy równie szybko. Uspokajam się do tego stopnia, że jestem naprawdę zaskoczona, kiedy słyszę sygnał i zatrzymuje nas policyjny samochód.

Jesse hamuje natychmiast, choć powoli.

Serce mi wali.

Jesse prowadzi bez prawa jazdy.

W ogóle bez żadnego dokumentu.

– Jesse... – Mój głos jest czymś pośrednim pomiędzy przerażonym szeptem a ochrypłym krzykiem.

– Będzie dobrze – mówi. Jest taki pewny w każdej sytuacji. Zawsze był. To on zawsze był tym, który wierzy, że wszystko będzie dobrze.

Ale przecież nie ma racji, prawda? Nie zawsze wszystko jest dobrze. Na tym świecie zdarzają się złe rzeczy. Okropne rzeczy. Trzeba się starać ze wszystkich sił, aby im zapobiec.

Podchodzi policjant w średnim wieku i nachyla się do okna Jessego.

– Dobry wieczór panu.

Ma praktyczną fryzurę, ani zbyt krótką, ani zbyt długą, i emanuje stoicyzmem. Krępa sylwetka, gładko ogolona twarz o kanciastych rysach. Włosy, a nawet brwi, zaczynają mu siwieć.

– Dobry wieczór, panie władzo – mówi Jesse. – W czym mogę panu pomóc?

– Przy tej pogodzie powinien pan brać te zakręty trochę ostrożniej, młody człowieku.

– Tak jest, panie władzo.

– Prawo jazdy i dowód rejestracji.

To jest właśnie mój koszmar. Koszmar, który się ziszcza.

Jesse ledwie okazuje ślad wahania. Nachyla się do schowka i wyjmuję jakieś papiery. Podaje je policjantowi.

– Zaczyna się zamieć. Nie może pan jechać, jakby to był czerwiec – mówi gliniarz, biorąc od Jessego dokumenty, i zaczyna je przeglądać.

– Jasne.

– A prawo jazdy? – Policjant nachyla się i patrzy wprost na Jessego. Odwracam wzrok. Nie mogę tego znieść.

– Nie mam – mówi Jesse.

– Słucham?

– Nie mam, panie władzo – powtarza. Tym razem słyszę w jego głosie, że stara się zachować opanowanie.

– Co pan przez to rozumie?

Coś we mnie pęka. Ręce zaczynają się poruszać same z siebie. Chwytam pozostawioną na tylnym siedzeniu kopertę.

– Panie władzo, on był uznany za nieżyjącego. Spędził parę lat na wysepce na oceanie. Dopiero co wrócił.

Policjant patrzy na mnie zdumiony. Nie dlatego, że mi wierzy, tylko dlatego, że najwyraźniej nie może uwierzyć, że ktoś może kłamać aż tak wymyślnie.

– Ona... – próbuje coś wyjaśnić Jesse, ale co może mieć do powiedzenia? Mówię prawdę.

– Mogę to panu udowodnić – mówię, grzebiąc w kopercie, i wyjmuję artykuł o zaginięciu Jessego sprzed paru lat. Na samym środku widnieje jego zdjęcie. Podaję wycinek gliniarzowi.

Nie wiem dobrze, dlaczego pobłąza mi na tyle, żeby go wziąć, ale bierze. Patrzy na zdjęcie, potem na Jessego. Widzę, że choć nie jest w pełni przekonany, to nie jest też do końca pewien, że kłamię.

– Panie władzo... – zaczyna Jesse, ale policjant mu przerywa.

– Proszę mi pozwolić to przeczytać.

Więc czekamy.

Policjant podnosi wzrok. Wodzi nim w prawo i w lewo, od Jessego na fotkę i z powrotem.

– Dajmy na to, że wam wierzę...

– Wrócił cztery dni temu – mówię. – Wciąż czeka na wydanie prawa jazdy, kart kredytowych i w ogóle na jakikolwiek dowód tożsamości.

– Wobec tego nie powinien prowadzić.

– Nie powinien – przyznaję. Trudno zaprzeczyć. – Ale po prawie czterech latach od zaginięcia jedyne, o czym marzy, to żeby poprowadzić auto, chociaż przez parę minut.

Gliniarz zamyka na chwilę oczy, a gdy je otwiera, podjął już decyzję.

– Zabierasz się, synu, zza kierownicy. Ma prowadzić ta młoda dama.

– Tak jest – mówi Jesse, ale żadne z nas się nie rusza.

– W tej chwili.

Jesse natychmiast otwiera drzwiczki i wstaje. Wsiadam i zamieniam się z nim miejscami. Po drodze mijam policjanta i widzę po nim, że nie jest tym wszystkim specjalnie ubawiony. Siadam za kierownicą, a policjant zatrząskuje za mną drzwiami.

– Jest zimno jak diabli i nie mam ochoty stać tu i się zastanawiać, czy mnie naciągacie, czy nie. Wybieram łatwowierność.

Nachyla się jeszcze bardziej, żeby spojrzeć wprost na Jessego.

– A jak jeszcze raz pana złapię na prowadzeniu bez prawa jazdy, pójdzie pan do aresztu. Czy to jasne?

– Absolutnie – mówi Jesse.

– W porządku. – Już ma odejść, ale wstrzymuje się i zwraca do mnie: – Chciałbym jeszcze zobaczyć pani prawo jazdy, młoda damo.

– Ach, oczywiście. – Rozglądam się za torebką. Stoi na podłodze u nóg Jessego. Jesse schyla się i wyjmuję mój portfel. Wyciąga prawo jazdy.

– Nie będę czekał całą noc – mówi policjant.

Biorę prawo od Jessego i podaję gliniarzowi. Patrzy na nie, potem na mnie. Oddaje mi.

– Proszę nie przekraczać dozwolonej prędkości, pani Blair.

– Oczywiście.

I odchodzi.

Podciągam szybę. W samochodzie znowu jest ciemno i zaczyna się ocieplać. Oddaję dokument Jessemu.

Patrzę, jak policjant wjeżdża z pobocza na jezdnię i oddala się. Włączam migacz.

Spoglądam na Jessego.

Wpatruje się w moje prawo jazdy.

– Zmieniłaś nazwisko?

– Co?

Pokazuje mi prawo. Wskazuje na nazwisko. Ze zdjęcia uśmiecha się do mnie moja młodsza twarz.

– Zmieniłaś nazwisko – powtarza. Tym razem to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Tak – mówię. – Zmieniłam.

Przez chwilę milczy.

– Co ci jest? – pytam.

Wkłada prawo jazdy z powrotem do mojego portfela i opanowuje się.

– Nic. Wszystko dobrze, naprawdę. Myślałaś, że nie żyję, tak? Że odszedłem na zawsze?

– Właśnie.

Nie mówię, że przede wszystkim nie jestem pewna, czy w ogóle czułam się kiedykolwiek dobrze jako Emma Lerner, że jestem i zawsze byłam Emmą Blair.

– Okej – mówi. – Rozumiem to. Dziwnie jest to zobaczyć, ale rozumiem.

– No to świetnie.

Zjeżdżam na jezdnię i ruszamy w stronę domku. Milczymy.

Oboje wiemy, dlaczego każde z nas milczy.

Ja jestem na niego zła, że go złapali.

On jest na mnie zły, że zmieniłam nazwisko.

Odzywamy się do siebie, dopiero gdy podjeżdżamy pod domek i opony chrzęszczą na żużlu.

– Uznajmy, że jesteśmy kwita. Co ty na to? – pyta Jesse z uśmiechem.

Wybucham śmiechem i wyciągam do niego ręce.

– Jasne. Bardzo chętnie! – I całuję go mocno w usta.

Jesse bierze pudełko z pizzą. Wsiadamy i rzucamy się biegiem do wejścia.

Zatrząskujemy za sobą drzwi, pozostawiając na zewnątrz zimno i wiatr, i policjantów, i ekstraknajpy z winem, które nam nie smakowało.

Tu jest ciepło. Bezpiecznie.

– Wiesz co, uratowałaś mi tyłek – mówi Jesse.

– Właśnie! – wołam. – Gdyby nie ja, to już byś był w drodze do paki.

Całuje mnie, przyciskając do drzwi. Przywieram do niego.

– Emma Blair, moja zbawczyni – mówi z leciutko sarkastyczną nutką w głosie.

Wciąż jestem na niego troszkę zła, a teraz wiem, że i on wciąż jest troszkę zły na mnie.

Ale napiera na mnie, a ja się na niego otwieram.

Wodzi rękami po moim brzuchu, pod koszulką. Ja gryzę go delikatnie w ucho.

– Wiesz, gdzie powinniśmy to zrobić? – mówi, całując mnie.

– Gdzie?

Uśmiecha się i wskazuje kuchenny blat.

Uśmiecham się i kręcę głową.

– Pamiętasz? – pyta.

– Oczywiście, że pamiętam.

Prowadzi mnie do blatu i staje przede mną tak jak wtedy.

– Nie dam rady zdjąć tej sukni, więc muszę ci ją podwinąć, o tak...

– Przestań – mówię, ale bez nacisku. Tak jakbym mówiła: „Nie wygłupiaj się” albo „Daj spokój”.

– Co mam przestać?

– Nie będę się z tobą kochać na kuchennym blacie.

– Dlaczego? – pyta.

– Bo to obrzydliwe.

– To nie jest obrzydliwe.

– Jest. Niedawno jedliśmy przy nim.

– No to więcej nie będziemy przy nim jedli.

I już. Jeden prosty, totalnie chybiony pomysł – i robię coś, czego wcale nie chciałam robić. Raptem pół minuty temu twierdziłam, że tego nie zrobię.

Kochamy się głośno i szybko, jakbyśmy mieli limit czasu, jakby to był wyścig do mety. Kiedy jest po wszystkim, Jesse podnosi się ze mnie, a ja zeskakuję na podłogę. Na blacie widać ślady potu.

Co się ze mną dzieje?

Co ja robię?

Incydent z policją w wieku trzydziestu jeden lat nie jest tak ekscytujący, jak kiedy się ma siedemnaście. To jedna z tych rzeczy, które były fajne kiedyś. Seks na kuchennym blacie i pośpiech – jak wyżej. No nie... Ja wymiguję się przed zapłaceniem mandatu, ja uprawiam seks koło kucharki mikrofalowej? To nie ja. Nie jestem takim człowiekiem.

– Zapomnieliśmy o pizzy – mówi Jesse i idzie do stołu przy drzwiach, gdzie ją zostawił. Stawia pudełko na stole. Ja się ubieram, pilno mi, żeby nie być nago. Jesse otwiera pudełko.

Patrzę na pizzę z pepperoni i ananasem. Jeśli ją zjem, będzie mnie bolał żołądek. Ale jak zdejmę ser, zostanie mi gumowate pomidorowe ciasto.

– Wiesz co? Zjedz sam. Nie mam w tej chwili ochoty na pizzę.

– Nie?

– A właściwie to nie jem już sera. Nie służy mi.

– O.

Przychodzi mi do głowy, że jest jeszcze parę spraw, o których powinien wiedzieć, które powinnam postawić jasno.

– Wróciłam do nazwiska Blair, bo Blair Books to mój sklep. Jestem do niego przywiązana. I wokół niego zbudowane jest moje życie. Jestem Blair.

– Okej – mówi. Niezobowiązujące słowo, wypowiedziane niezobowiązującym tonem.

– I wiem, że dawniej byłam typem osoby, która nieustannie chce jeździć to tu, to tam, ale... teraz zapuściłam korzenie w Massachusetts i dobrze mi z tym. Chcę prowadzić tę księgarnię aż do emerytury, a może nawet przekazać ją w przyszłości komuś z dzieci.

Jesse patrzy na mnie, ale nic nie mówi. Oboje patrzymy na siebie nawzajem. Impas.

– Chodźmy do łóżka – mówi w końcu Jesse. – Nie przejmujmy się pizzą ani nazwiskami, ani księgarnią. Chcę po prostu leżeć koło ciebie, obejmować cię.

– Dobrze – mówię. – Jasne.

Zostawia pizzę na stole i prowadzi mnie po schodach do sypialni. Kładzie się i odchyła mi kołdrę. Kładę się tyłem do niego i wtulam w łuk jego ciała i podkulonych nóg. On opiera policzek o mój kark, z ustami przy uchu. Wiatr zawodzi za oknem. W górnej części szyby widać, że zaczyna padać śnieg.

– Wszystko będzie dobrze – słyszę jego szept, zasypiając.

Ale nie jestem już pewna, czy mu wierzę.

Budzę się dobrze po wschodzie słońca. Śnieg przestał padać. Wiatr ucichł. Przez chwilę wszystko wydaje się spokojne i uładzone.

– Trudno powiedzieć na pewno z tego, co widać przez okno, ale zdaje się, że nas zasypało – mówi Jesse. Stoi w drzwiach sypialni w podkoszulku i spodniach od dresu. Uśmiecha się. – Wyglądasz zachwycająco – dodaje. – Chyba to są te dwie superważne wiadomości tego ranka. Jesteśmy zasypani, a ty jesteś śliczna jak zawsze.

Uśmiecham się.

– Jak bardzo jesteśmy zasypani?

– Jesteśmy tak zasypani, jak ty jesteś zachwycająca.

– O Boże. – Podnoszę się do pozycji siedzącej i próbuję się ogarnąć. – W takim razie utknęliśmy tu na lata.

Jesse podchodzi do łóżka i kładzie się koło mnie.

– To straszne.

Wtulam się w niego i prędko zdaję sobie sprawę, że obojgu nam przydałaby się kąpiel.

– Chyba wskoczyłabym pod prysznic – mówię.

– Świetny pomysł. Rodzice mi mówili, że przy głównej sypialni mają taki z sauną. Kto dobiegnie jako drugi, robi śniadanie. – I puszczamy się biegiem.

Woda jest ciepła, a powietrze wewnątrz wilgotne i duszne. Na szklanych drzwiach osiada para. Strumienie tryskają zewsząd, dwa z sufitu i całe mnóstwo ze ścian. Jest gorąco i parno. Woda spływa mi po głowie i wygładza włosy. Czuję za sobą Jessego, namydla ręce.

– Chciałem cię o coś zapytać... – mówi. – Dlaczego wyjechałaś z LA?

– Co masz na myśli?

– Po prostu zakładałem, że nadal tam będziesz. Dlaczego wyjechałaś?

– Podoba mi się tutaj – mówię.

– Ale tam też ci się podobało. Obojgu nam się podobało. To był nasz dom.

To prawda. Kochałam mój dom w Kalifornii, gdzie nigdy nie pada śnieg i zawsze świeci słońce.

Teraz mój ulubiony dzień w roku to ten, kiedy następuje zmiana czasu na letni. Zwykle powietrze staje się wtedy coraz łagodniejsze i jedyne opady, jakie grożą, to niewielki deszczyk. Człowiek jest rano zmęczony, bo traci się godzinę snu. Ale o siódmej wieczorem wciąż jeszcze świeci słońce. I jest cieplej niż poprzedniego dnia o tej porze. Ma się wrażenie, jakby świat się otwierał. Najgorsze minęło, wkrótce zakwitną kwiaty.

Tego nie ma w Los Angeles. Kwiaty kwitną cały rok.

– Po prostu poczułam, że chcę wrócić do domu, do rodziny.

– Kiedy się przeprowadziłaś?

– Hm?

– Jak długo po... ile czasu minęło, zanim wróciłaś do Acton?

– Chyba niewiele – mówię, odwracając się od niego i wystawiając twarz ku wodzie. – Może ze dwa miesiące.

– Dwa miesiące? – pyta zdumiony.

– No.

– Coś takiego... Przez cały ten czas zawsze wyobrażałem sobie ciebie tam. Nigdy... nigdy nie myślałem o tobie tutaj.

– Och... – zaczynam i czuję, że nie wiem, jak zareagować i co powiedzieć. – Widzisz tu gdzieś szampon? – mówię w końcu. Ale nie zwracam uwagi na odpowiedź. Mój umysł już odpłynął do życia, którego Jesse nigdy sobie nie wyobrażał.

Ja, Blair Books, moje koty, Sam...

Zamykam oczy i oddycham głęboko.

To jest dobre życie. To, którego Jesse nigdy sobie dla mnie nie wyobrażał.

To jest wspaniałe życie.

Tęsknię za nim.

Sam wie, że nie mogę jeść sera. I wie, że nigdy nie będę chciała jeszcze raz zmienić nazwiska Blair na inne. Wie, jak ważny jest dla mnie sklep. Lubi czytać. Lubi rozmawiać o książkach i ma interesujące myśli na ich temat. Nigdy nie prowadzi bez prawa jazdy. Nigdy nie interesuje się nim policja. W złą pogodę jedzie powoli. Sam mnie zna, mnie prawdziwą. I zawsze kochał mnie taką, jaka jestem, a zwłaszcza taką, jaka jestem dziś.

– Em? – mówi Jesse. – Chciałaś szampon?

– O. – Wracam do rzeczywistości. – Tak, dzięki.

Jesse podaje mi butelkę i wyciskam szampon na dłoń. Rozprowadzam go po włosach.

I nagle jest tak, że muszę zebrać wszystkie siły, żeby nie zmienić się w strumienie łez i nie spłynąć wraz z mydlinami do odpływu.

Tęsknię za Samem.

I boję się, że odepchnęłam go na zawsze.

Jesse zauważa. Próbuję to ukryć. Uśmiecham się, pomimo że wyłącznie ustami. Jesse staje za mną, ogarnia mnie ramionami, przywiera piersią do moich pleców. Wspiera podbródek o moje ramię i pyta:

– Co ci jest?

Nic tak nie potrafi wyzwolić płaczu, jak „co ci jest?”, powiedziane we właściwym czasie.

Nie mam żadnych słów. Po prostu zamykam oczy i pozwalam sobie na płacz. Pozwalam, by Jesse mnie obejmował. Wspieram się o niego, spoczywam na nim bezwładnie. Żadne z nas nic nie mówi. Powietrze robi się tak gorące i duszne, że w końcu oddychanie kosztuje więcej wysiłku, niż powinno. Jesse wyłącza parę, zmniejsza temperaturę i pozwala, by opłukała nas letnia woda.

– Chodzi o Sama, prawda? Tak się nazywa?

Rozbiłam mój świat na dwie części, ale proste wypowiedzenie przez Jessego imienia Sama sprawia, że połówki się zrastają.

– Tak – mówię, kiwając głową. – Sam Kemper.

Chciałabym oderwać się w tej chwili od Jessego. Chciałabym, żeby stał po tamtej stronie prysznicza. Chciałabym zmyć ciało mydłem i wodą i pojechać do domu.

Ale nic z tych rzeczy nie robię. Przeciwnie, stoję jak skamieniała – mając w pewnym sensie nadzieję, że jeśli nie będę się ruszać, to sprawię, że świat przestanie się na chwilę kręcić, że odłożę w czasie to, co wiem, że w końcu się wydarzy.

Patrzę, jak Jesse identyfikuje sobie imię i nazwisko.

– Sam Kemper? – pyta. – Ze szkoły?

Kiwam głową.

– Chłopak, który pracował u was w księgarni?

Nie ma powodu, aby Jesse nie lubił Sama, poza tym jednym, że Kocham Sama. Patrzę, jak na jego twarzy pojawia się wyraz pogardy. Nie powinnam była wymieniać nazwiska Sama. Lepiej było, gdy Sam był abstrakcją. Głupio zrobiłam, że nadałam mu twarz. Równie dobrze mogłam pchnąć Jessego nożem.

Jeży się, po czym się opanowuje.

– Kochasz go?

Kiwam głową, ale to, co chciałabym zrobić, to powiedzieć mu, co powiedziała mi Marie: że nie tyle chodzi o to, kogo kocham, ile o to, kim jestem. Chciałabym mu powiedzieć, że w kółko zadaję sobie to pytanie i zaczyna być wręcz oczywiste, że jestem teraz inną osobą niż ta, którą kocha Jesse.

Nie jestem nią. Już nie. Choć nietrudno przychodzi mi udawać, że nią jestem.

Zamiast tego mówię po prostu:

– Sam to dobry człowiek.

I Jesse tak to zostawia.

Zakręca wodę i z miejsca robi mi się zimno. Podaje mi ręcznik i zaledwie się nim owijam, uświadamiam sobie, jaka się czuję obnażona.

Wycieramy się bez słowa.

Nagle robię się taka głodna, że niemal chora z głodu. Wrzucam na siebie jakieś rzeczy i schodzę na dół. Nastawiam kawę i wkładam do tosterka kromki chleba. Jesse schodzi krótko potem, w świeżym ubraniu.

Nastroj się zmienił. Czuje się to w powietrzu. Wszystko to, co udawaliśmy, że nie istnieje, lada moment wyleje się z nas wraz z krzykiem i łzami.

– Nastawiłam kawę – mówię. Staram się, żeby mój głos brzmiał lekko i beztrudnie, ale to nie działa. Wiem, że nie działa. Wiem, że mój wewnętrzny zamęt nie jest tak całkiem wewnętrzny, że próba zatuszowania go jest jak kładzenie cienkiej warstwy białej farby na czerwonej ścianie. Przebija. Jest jasne jak słońce, co usiłuję ukryć.

– Zaczynam myśleć, że nie chcesz tu być – mówi Jesse.

Podnoszę na niego wzrok.

– To skomplikowane.

Jesse kiwa głową, nie żeby się ze mną zgadzał, tylko tak, jakby słyszał to już wcześniej.

– Wiesz co? Powiem ci. To nie jest aż tak skomplikowane.

– Oczywiście że jest – mówię, siadając na sofie.

– Nie tak bardzo. – Siada w ślad za mną na drugim końcu. Jego głos z sekundy na sekundę robi się coraz mniej cierpliwy. – Ty i ja jesteśmy małżeństwem. Jesteśmy razem, kochamy się, na zawsze. Należymy do siebie.

– Jesse...

– Nie! – powstrzymuje mnie. – Dlaczego czuję się tak, jakbym musiał cię przekonywać, żebyś była ze mną? To nie jest... Nie powinnaś była robić tego, co zrobiłaś. Jak mogłaś się zgodzić wyjść za tego faceta?

– Ty nie...

– Jesteś moją żoną, Emma – mówi z naciskiem na „moją”. – Staliśmy przed setką ludzi o tam, przy tej cholernej latarni, i obiecaliśmy sobie kochać się do grobowej deski. Straciłem cię i zrobiłem, co tylko mogłem, żeby do ciebie wrócić. Teraz jestem tutaj, wróciłem, i grozi mi, że znowu cię stracę? To ma być szczęśliwy rozdział. Teraz, kiedy jesteśmy razem. To wszystko ma być łatwe!

– To nie takie proste.

– Powinno być! Przecież mówię. To powinno być, kurwa, proste!

Jestem zarówno zdumiona tym wymierzonym we mnie gniewem, jak zaskoczona, że tak długo trwało, żeby wypłynął na wierzch.

– Tak, powinno, ale nie jest, okej? Życie nie zawsze układa się tak, jak uważamy, że powinno. Dowiedziałam się o tym, kiedy trzy lata temu wsiadłeś do samolotu i przepadłeś.

– Bo przeżyłem katastrofę na Pacyfiku! Wszyscy inni zginęli, a ja byłem tego świadkiem. Żyłem na skrawku jakiejś cholernej skały, sam, usiłując wymyślić jakiś sposób, żeby do ciebie wrócić, a ty

tymczasem co? Do sierpnia zdążyłaś o mnie zapomnieć? Przed Bożym Narodzeniem wystąpiłaś o zmianę nazwiska?

– Jesse, wiesz, że to nieprawda.

– Chcesz mówić o tym, jaka jest prawda? Prawda jest taka, że położyłaś na mnie kreskę.

– Bo zaginałeś! – Mój głos w ciągu trzech sekund przeszedł od zera do sześćdziesięciu stopni napięcia i czuję, że emocje buchają ze mnie niczym koń wyścigowy, zbyt długo trzymany za bramką. – Myśleliśmy, że nie żyjesz!

– Słowo daję, myślałem – mówi z naciskiem – że ty i ja kochamy się tak, że żadne z nas nigdy nie zapomni o tym drugim.

– Ja o tobie nie zapomniałam! Nigdy! Zawsze cię kochałam! I dalej cię Kocham!

– Ale zaręczyłaś się z innym!

– Wtedy, kiedy uznałam, że nie żyjesz! Gdybym wiedziała, że żyjesz, czekałabym na ciebie każdego dnia...

– No dobrze, to teraz wiesz. Żyję. I zamiast do mnie wrócić, siedzisz okrakiem na płocie. Jesteś ze mną, a pod prysznicem płaczesz za nim...

– Kocham cię, Jesse. I nawet kiedy myślałam, że już nie wrócisz, kochałam cię. Ale nie mogę przez całe życie kochać mężczyzny, którego nie ma! I nie sądzę, żebyś i ty tego dla mnie chciał.

– Nie wiesz, czego bym chciał.

– Nie, nie wiem! Prawie cię już nie znam. I ty też prawie nie znasz mnie. A mam takie wrażenie, że chcesz nadal ciągnąć tę fikcję, że się znamy.

– Ja cię znam! – mówi z przekonaniem. – Nie mów mi, że cię nie znam. Jesteś jedyną osobą w całym moim życiu, którą naprawdę, naprawdę znam. O której wiem, że mnie kochała. Którą rozumiem i akceptuję taką, jaka jest. Wiem wszystko, co jest o tobie do wiedzenia.

Kręcę głową.

– Nie, Jesse. Wiesz wszystko o osobie, którą byłam do chwili, kiedy zniknąłeś. Ale nie znasz mnie takiej, jaka jestem teraz. Ani też nie wygląda na to, żebyś miał ochotę zobaczyć we mnie osobę, którą jestem dzisiaj, albo podzielić się ze mną tym, kim jesteś dzisiaj ty.

– O czym ty mówisz?

– Jestem inna, Jesse. Miałam dwadzieścia parę lat, kiedy zaginałeś. Teraz mam trzydzieści jeden. Nie interesuje mnie już Los Angeles ani pisanie kawałków z podróży. Interesuje mnie moja rodzina. Interesuje mnie moja księgarnia. Nie jestem już taka sama jak wtedy, kiedy wyjeżdżałeś. To, że cię straciłam, zmieniło mnie. Ja się zmieniłam.

– No dobrze, fajnie. Zmieniłaś się, bo mnie zabrakło, ogarniam to. Byłaś w stresie, byłaś w żałobie, no więc wróciłaś do Acton, bo czułaś się tam bezpieczniej, i przejęłaś księgarnię rodziców, bo sama ci weszła w ręce. Ale nie musisz już tego robić ani tam mieszkać. Wróciłem. Możemy pojechać do domu do Kalifornii. Możemy w końcu pojechać do Apulii. Z pewnością możesz w przyszłym roku sprzedać parę kawałków do jakichś magazynów. Nie musisz już prowadzić takiego życia jak dotąd.

Ale ja już kręcę głową i próbuję powiedzieć „nie”, zanim jeszcze skończył.

– Nie rozumiesz mnie. Może i z początku pojechałam do domu, żeby się wycofać ze świata, w pewnym sensie unieważnić go, cofnąć się do dawności, i oczywiście z początku wzięłam tę pracę w księgarni, bo była łatwo dostępna. Ale teraz, Jesse, Kocham moje obecne życie. Massachusetts to mój wybór. Księgarnia to mój wybór. Chcę tego.

Patrzę, jak wodzi wzrokiem po mojej twarzy, badając ją. Próbuję innej taktyki, innego sposobu wytłumaczenia.

– Wiesz, co robię, kiedy mam zły nastrój?

– Jesz frytki i pijesz dietetyczną colę – odpowiada natychmiast Jesse, a ja równocześnie mówię:

– Gram na pianinie.

Różnica naszych odpowiedzi jest dla niego małym wstrząsem. Z ciała uchodzi powietrze, znika konfrontacyjne wychylenie w moją stronę. Widzę po jego twarzy, jak trudno mu pogodzić moją odpowiedź z jego wyobrażeniem o tym, kim jestem.

Przez chwilę myślę, że jego następne słowa to będzie: „Grasz na pianinie?”

Ja wtedy powiem „tak” i wytłumaczę mu, jak to się stało, że zaczęłam, i że znam zaledwie parę piosenek i nie jestem w tym dobra, ale uspokaja mnie to, kiedy jestem w stresie. Opowiem mu, że Homer zwykle śpi pod pianinem i kiedy mam ochotę zagrać, muszę go wziąć na ręce i położyć obok siebie na ławeczce, i że to jest strasznie miłe – mieć przy sobie kota i grać *Dla Elizy*. Zwłaszcza kiedy sobie wyobrażam, że w tytule mowa o futrze^[6].

To by tak wiele znaczyło, gdyby Jesse chciał się zakochać w kobiecie, którą jestem dziś. I gdyby się otworzył i pozwolił mi się zakochać w sobie prawdziwym, takim, jaki jest teraz.

Ale nic takiego nie następuje.

Jesse mówi po prostu:

– A więc grasz na pianinie. Czego to dowodzi?

I kiedy to mówi, wiem, że rozdziew między nami jest jeszcze większy, niż myślałam.

– Że jesteśmy teraz innymi ludźmi. Rozeszliśmy się, Jesse. Nic nie wiem o twoim życiu podczas tych trzech i pół roku, a ty nie chcesz o tym rozmawiać. Ale jesteś inny. Niemożliwe, żebyś przeżył to wszystko, co przeżyłeś, i nie był inny.

– Nie potrzebuję ci opowiadać o tym, co przeżyłem, żeby udowodnić, że nadal cię kocham, że nadal jestem człowiekiem, którego zawsze kochałaś.

– Nie o tym mówię. Mówię, że moim zdaniem próbujesz udawać, że możemy tak po prostu wrócić do chwili, kiedy zostaliśmy rozdzieleni, i podjąć przerwane wspólne życie. Ja też próbowałam. Ale to niemożliwe. W życiu nie ma tak. To, co przeżyłam, wpływa na to, kim jestem teraz. I tak samo jest z tobą. Cokolwiek przyszło ci tam przeżyć. Nie możesz tego trzymać zakorkowanego wewnątrz siebie.

– Mówiłem ci już, że nie chcę o tym rozmawiać.

– Dlaczego? – pytam. – Jak mamy być wobec siebie uczciwi w przyszłości, jeśli nie chcesz mi powiedzieć o podstawowych elementach twojej przeszłości? Twierdzisz, że wiesz, że wszystko może być dokładnie tak jak było, ale zanim zniknąłeś, nie było w twoim i moim życiu całych wielkich obszarów, o których po prostu nie mówiliśmy. Nie było ani jednej sprawy, którą byśmy się nie dzielili, której nie przeżywalibyśmy wspólnie. A teraz są. Ja mam Sama, a ty, Jesse... no daruj, ty masz blizny na ciele. A palec...

Jesse uderza pięścią w poduszkę. Byłby to gest gwałtowny, gdyby pięść nie wylądowała w miejscu tak miękkim, nie wiem, przez przypadek czy świadomie.

– Co byś chciała wiedzieć, na litość boską? Co byś chciała? Że lekarze znaleźli u mnie dwa typy raka skóry? Że jak mnie znaleźli, to była ze mnie sama skóra i kości? Że miałem leczenie kanałowe czterech zębów i teraz mi się wydaje, że połowa mojej jamy ustnej nie jest moja? To chcesz wiedzieć? Chcesz wiedzieć, że jak płynąłem, szukając ratunku, to oparzył mnie żeglarz portugalski^[7]? Chcesz wiedzieć, że nie mogłem go od siebie odczepić? Że po prostu, kurwa, parzył mnie i parzył bez przerwy? Że ból był taki, że myślałem, że umieram? Że lekarze mówią, że będę miał te blizny wiele lat, może na zawsze? A może chcesz, żebym po prostu przyznał, jak strasznie było żyć na tej skale! Żebym powiedział, ile dni mi przeszło na patrzeniu na ocean i czekaniu! Mówiąc sobie, że muszę tylko przetrwać do jutra, bo na pewno po mnie przyjedziecie... Ty albo moi rodzice, albo bracia. Ale nikt nie przyjechał! Nikt z was mnie nie znalazł! Nikt.

– Nie wiedzieliśmy jak. Nie wiedzieliśmy, jak cię znaleźć.

– Wiem – mówi. – Nie jestem o to zły na nikogo. O co jestem wściekły, to o to, że o mnie zapomniałaś! Że zastąpiłaś mnie innym! Że wróciłem, a nie mam cię i tak!

– Nie zastąpiłam cię innym.

– Zrezygnowałaś z mojego nazwiska i obiecałaś innemu, że za niego wyjdiesz. To co to jest, jak nie zastąpienie? Jakiego innego słowa byś użyła?

– Nie zastąpiłam cię – powtarzam, tym razem słabo. – Kocham cię.

– Jeśli to prawda, w takim razie to proste. Bądź ze mną. Pomóż mi poskładać nas razem.

Czuję na sobie oczy Jessego, nawet gdy odwracam wzrok. Patrzę przez okno na kołderkę śniegu na tylnym podwórku. Jest biała i czysta. Wygląda na miękką jak obłok.

Kiedy byłam mała, uwielbiałam śnieg. Potem, gdy przeprowadziłam się do Kalifornii, zawsze mówiłam, że nigdy nie zostawię tego słońca, że nie chcę więcej oglądać śniegu. Teraz jednak nie potrafię sobie wyobrazić zielonego Bożego Narodzenia i wiem, że gdybym wyjechała, brakowałoby mi tego uczucia, gdy człowiek wraca z mrozu do ciepłego domu.

Zmieniłam się z latami. Tak to bywa z ludźmi.

Nie stoimy w miejscu. Ewoluuujemy w reakcji na szczęście i ból.

Jesse jest innym mężczyzną, niż był przedtem.

Ja jestem inną kobietą.

I to, co wprawiało mnie w taki zamęt, odkąd się dowiedziałam, że Jesse żyje, teraz jest dla mnie jasne jak słońce: jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy byli szaleńczo zakochani w naszych dawnych „ja”. A to nie to samo, co po prostu być zakochanym.

Nie można zakorkować miłości w butelce. Nie można uchwycić się jej oburącz i zmusić, żeby z tobą została.

To, co się z nami stało, nie jest niczyją winą – żadne z nas nie zrobiło nic złego – ale kiedy Jesse zniknął, życie przybrało inny kierunek i zmieniło nas w innych ludzi. Staliśmy się osobni, bo byliśmy osobno.

I być może oznacza to, że nawet gdybyśmy koniec końców byli razem...

Nie powinniśmy.

Ta myśl rozdziera mi serce.

Siedzę bez ruchu, ale mam wrażenie, że porywa mnie fala odpływu, i nie wiem, jak mi się uda utrzymać głowę na powierzchni.

Chyba nigdy nie myślałam, że kochając ich obu, mogę się stać złym człowiekiem.

Bałam się, że kochając Sama, mogę się stać złym człowiekiem.

Bałam się, że mogę wybrać Sama. Że moje serce będzie kochać Sama. Że moja dusza będzie potrzebować Sama.

Nie powinnaś opuszczać mężczyzny, który podróżował do domu, do ciebie.

Powinnaś być Penelopą. Dzień w dzień tkąć całun, a nocami go pruć, aby nie dopuścić do siebie zalotników.

Nie powinnaś mieć własnego życia, własnych potrzeb. Nie powinnaś kochać ponownie.

Ale ja miałam. I pokochałam.

Jesse postępuje krok bliżej i lekko kładzie mi ręce na ramionach.

– Jeśli mnie kochasz, Emma, bądź ze mną.

To straszna myśl, prawda? Że każdy człowiek na tej planecie może stracić kogoś, kogo prawdziwie kocha, a potem pokochać znowu. Bo to oznacza, że ktoś, kogo kochasz, może pokochać znowu, jeśli straci ciebie.

Ale oznacza to także, że wiem, że Jesse to wytrzyma i któregoś dnia będzie szczęśliwy beze mnie.

– Chyba nie mogę być z tobą – mówię. – Nie sądzę... nie sądzę, żebyśmy byli dla siebie. Już nie.

Ręce Jessego opadają wzdłuż ciała. Sylwetka się garbi. Powieki się zamykają.

To jedna z tych chwil w życiu, kiedy nie możesz uwierzyć, że prawda jest prawdą, że świat się tak przetasował.

Nie będę z Jessem.

Po tym wszystkim, po wszystkim, co przeszliśmy, nie zestarzejemy się razem.

– Przykro mi – mówię.

– Muszę wyjść.

– Gdzie ty idziesz? Jesteśmy zasypani.

Łapie kurtkę i wkłada buty.

– Idę do samochodu. Wszystko mi jedno. Po prostu muszę w tej chwili być sam.

Otwiera i zatrzaskuje za sobą frontowe drzwi. Otwieram je jeszcze raz, żeby zobaczyć jego plecy, gdy brnie przez śnieg do samochodu. Wie, że stoję w drzwiach, ale zanim jeszcze powiem słowo, powstrzymuje mnie, unosząc rękę i dając mi uniwersalny sygnał „stop”. Więc milczę.

Zamykam drzwi. Opieram się o nie. Osuwam się na podłogę i wybucham płaczem.

Kiedyś rozdzieliła nas z Jessem siła zewnętrzna. A teraz z siebie wyrosliśmy.

Te same serca – złamane dwa razy.

Minęła ponad godzina i Jesse jeszcze nie wrócił. Wstaję i wyglądam przez okno, czy wciąż jest w samochodzie.

Siedzi z opuszczoną głową za kierownicą. Rozglądam się po dworze. Słońce zaczęło już podtapiać śnieg. Droga z tej odległości wygląda jeśli nie na odśnieżoną, to w każdym razie nieco przetartą. Możemy wyjechać teraz zaraz, gdybyśmy chcieli. Musielibyśmy tylko troszkę popracować łopatą. Domyślam się jednak, że Jessemu się nie śpieszy, żeby utknąć ze mną w niewielkiej przestrzeni samochodu.

Wracam wzrokiem do samochodu i widzę, że Jesse porusza się na siedzeniu. Przegląda moją kopertę. Ogląda zdjęcia, czyta listy, może nawet na ten artykuł z „Beacon” o jego zaginięciu.

Nie powinnam go podglądać. Powinnam dać mu prywatność, po którą wyszedł z domu. Ale nie mogę oderwać oczu.

Widzę w jego rękach białą kopertę.

Wiem doskonale, co to jest.

List, który napisałam do niego na pożegnanie.

Obraca kopertę w rękach, zastanawiając się, otworzyć czy nie. Serce bije mi jak młotem.

Kładę rękę na klamce drzwi, gotowa wybiec i go powstrzymać... Nie robię tego. Wracam do okna.

Patrzę, jak podkłada palec i rozrywa kopertę.

Odsuwam się od okna, tak jakby mnie zobaczył. Wiem, że nie. Wiem, że po prostu jestem wystraszona.

Zaczyna czytać list. Za chwilę będzie jeszcze gorzej. To będzie dla niego dowód, którego potrzebuje, że o nim zapomniałam, że dałam sobie z nim spokój, że machnęłam na nas ręką.

Odwracam się z powrotem do okna i patrzę, jak czyta. Długo wpatruje się w kartkę. Potem ją odkłada i patrzy w boczne okno. Podnosi i zaczyna czytać jeszcze raz.

Po chwili kładzie rękę na drzwiczkach i otwiera je. Odbiegam od okna i siadam na sofie, udając, że jestem tam cały czas.

Nie powinnam była pisać tego przekłętego listu.

Frontowe drzwi się otwierają i oto jest. Patrzy na mnie. W ręce trzyma list. Jest zupełnie nieruchomy i zaskakująco spokojny.

Napisałam ten list, żeby móc od niego odejść. Nie da się tego ukryć. Więc jeśli jest to dowód, którego szuka, że byłam złą żoną, okropnym człowiekiem, nielojalną partnerką, no to... no to chyba znalazł, czego szuka.

Ale reakcja Jessego mnie zaskakuje.

– Co to znaczy, że byłaś szalona na dachu? – pyta spokojnie.

– Co?

Podaje mi list, tak jakbym go nigdy nie czytała. Wstaję i biorę go od niego. Otwieram, choć przecież wiem, co tam jest napisane.

Odręczne pismo wygląda na pośpieszne. Na końcu widać plamę – na atrament musiała spaść kropla wody. Łza najwyraźniej. Nie mogę się powstrzymać od przeczytania go na nowo, spojrzenia na niego nowymi oczami.

Drogi Jesse!

Nie ma cię już ponad dwa lata, ale nie było w tym czasie ani jednego dnia, żebym o tobie nie myślała.

Czasem wspominam twój słony zapach, kiedy poszedłeś popływać w oceanie. Albo się zastanawiam, czy podobałby ci się film, który właśnie obejrzałam. Kiedy indziej przypomina mi się po prostu twój uśmiech. Pamiętam, że robiły ci się przy tym kurze łapki w kącikach oczu, a ja za każdym razem zakochiwałam się w tobie odrobinę bardziej.

Myślę o tym, jak mnie dotykałeś. Jak ja dotykałam ciebie. Bardzo często o tym myślę.

Z początku wspomnienia o tobie strasznie bolały. Bolały tym bardziej, im więcej myślałam o twoim uśmiechu, twoim zapachu. Ale lubiłam się dręczyć. Lubiłam ból, bo ból to byłeś ty.

Nie wiem, czy istnieje właściwy i niewłaściwy sposób przeżywania żałoby. Wiem tylko, że utrata ciebie przemaglowała mnie tak, że nie sądziłam, by to było możliwe. Ból, który czułam, był naprawdę nieludzki.

Czasami traciłam od tego rozum. (Powiedzmy szczerze, że wtedy na dachu byłam trochę szalona).

Czasami byłam bliska załamania.

I cieszę się, że mogę ci powiedzieć, że teraz przyszedł czas, kiedy wspomnianie ciebie jest dla mnie taką radością, że na samą myśl o tobie się uśmiecham.

Cieszę się też, że mogę ci powiedzieć, że jestem silniejsza, niż mi się kiedykolwiek zdawało.

Znalazłam sens życia. Nigdy bym nie myślała, że znajdę go w tym, w czym go znalazłam.

A teraz zaskakuję siebie samą jeszcze raz: zdałam sobie sprawę, że jestem gotowa pozostawić przeszłość za sobą i pójść naprzód.

Kiedyś myślałam, że smutek i żałoba są chroniczne, że jedyne, co można zrobić, to docenić dobre dni i przyjąć je tak samo jak złe. Potem zaczęło mi się wydawać, że być może dobre dni to nie są tylko dni, że mogą to być dobre tygodnie, miesiące, lata.

Teraz przychodzi mi do głowy, że być może żałoba jest jak skorupa.

Nosisz ją długo, po czym któregoś dnia zdajesz sobie sprawę, że z niej wyrosłeś.

Więc ją zostawiasz.

Nie znaczy to, że chcę odrzucić wspomnienia o tobie czy o tym, jak cię kochałam. Ale owszem, znaczy to, że chcę odrzucić smutek.

Nigdy cię nie zapomnę, Jesse. Nie chcę tego i nie sądzę, żebym była do tego zdolna.

Ale owszem, myślę, że potrafię odrzucić ból. Myślę, że mogę odłożyć go i odejść, i odwiedzać go tylko raz na jakiś czas, ale nie nieść go dłużej ze sobą.

I nie tylko myślę, że potrafię to zrobić. Myślę, że tego potrzebuję.

Zawszę cię będę miała w sercu, ale nie mogę już dłużej dźwigać na plecach ciężaru utraty ciebie. Gdybym dźwigała nadal, to nigdy więcej nie znalazłabym żadnej nowej radości. Zmiażdżyłby mnie ciężar wspomnień o tobie.

Muszę spojrzeć przed siebie, w przyszłość, w której nie może cię być. A nie do tyłu, w przeszłość wypełnioną tym, co było między nami.

Muszę pozwolić ci odejść i muszę cię poprosić, abys pozwolił odejść mnie.

Wierzę, że jeśli będę ciężko pracować, potrafię stworzyć sobie życie, jakiego zawsze dla mnie chciałeś. Szczęśliwe. Satysfakcjonujące. Takie, w którym jestem kochana i sama kocham.

Potrzebuję twojego pozwolenia, żebym znalazła w sobie przestrzeń na miłość do kogoś innego.

Przykro mi, że nie będziemy mieli przyszłości, o jakiej tyle rozmawialiśmy. Nasze wspólne życie byłoby wspaniałe.

Mimo to wychodzę teraz do świata z otwartym sercem. I zamierzam iść wszędzie, dokądkolwiek zanieś mnie życie.

Mam nadzieję, że wiesz, jakie to było cudowne i wyzwalające – kochać cię, kiedy tu byłeś.

Byłeś miłością mojego życia.

Może to samolubne – chcieć więcej, może to chciwość – pragnąć jeszcze raz takiej miłości.

Ale nic nie mogę na to poradzić.

Pragnę jej.

Dlatego zgodziłam się na randkę z Samem Kemperem. Lubię myśleć, że ze względu na mnie też byś go lubił, że byś go zaakceptował. Ale chcę też, żebyś wiedział, w razie gdyby nie było to oczywiste bez słów, że nikt nigdy nie zastąpi ciebie. Chodzi po prostu o to, że potrzebuję jeszcze w życiu miłości.

I proszę cię o błogosławieństwo, bym mogła ją znaleźć.

Kocham cię,

Emma

Wiem, że dodaję do tej kartki nowe plamy, nowe łzy. Ale nie mogę ich powstrzymać. Kiedy w końcu podnoszę wzrok na Jessego, ma szkliste oczy. Obejmuje mnie ramieniem i mocno przygarnia. Ból pomiędzy nami jest dość ostry, by ciąć, i dość ciężki, by pociągnąć nas w głąb i zatopić.

– Co robiłaś na tym dachu? – pyta znowu, tym razem ciszej, łagodniej.

Łapię dech.

– Wszyscy mówili, że nie żyjesz – zaczynam. – A ja byłam pewna, że wszyscy się mylą i że usiłujesz do mnie wrócić. Po prostu to wiedziałam. Więc któregoś dnia, kiedy już nie mogłam tego znieść, weszłam na dach i zobaczyłam skrawek oceanu, i po prostu... po prostu byłam pewna, że płyniesz do brzegu. Przyniosłam sobie lornetkę i... i stałam tak, obserwowałam skrawek wybrzeża, i czekałam na ciebie. Że mi się w jakiejś chwili ukazesz. Że przyplyniesz.

Jesse nie spuszcza ze mnie oczu, pilnie słuchając każdego słowa.

– Na tym zastała mnie Marie i powiedziała, żebym przestała cię wypatrywać, bo nie wrócisz. Nie pojawisz się ot tak, na plaży. Powiedziała, że nie żyjesz, że muszę spojrzeć prawdzie w oczy i spróbować się z nią uporać. I tak zrobiłam. Ale to było potwornie trudne. Nie byłam pewna, czy dam radę przetrwać dzień. Czasem żyłam z godziny na godzinę. Nie byłam sobą. Nie wiem, kim byłam.

Jesse przygarnia mnie ciaśniej.

– Zdajesz sobie sprawę, że oboje patrzyliśmy na ten sam ocean, wypatrując się nawzajem?

Zamykam oczy i wyobrażam go sobie, jak na mnie czeka. Pamiętam, jak to jest – czekać na niego.

– W samochodzie miałem taki pomysł, żeby przejrzeć tę kopertę i znaleźć te wszystkie zdjęcia i pamiątki, i pokazać ci, jacy szczęśliwi byliśmy razem. Myślałem, że potrafię cię przekonać, że się mylisz. Że jesteśmy tacy sami jak wtedy, kiedy się kochaliśmy. Że jesteśmy sobie przeznaczeni. Ale wiesz, z czego zdałem sobie sprawę?

– Z czego?

– Że nie cierpię twojej fryzury.

Wyrrywam się z jego objęć, a on się śmieje.

– Wiem, że nie jest to zbyt miłe, ale to prawda. Patrzyłem na twoje zdjęcia z przeszłości, z tymi wspaniałymi długimi włosami... Zawsze mi się strasznie podobało, że nie są tak całkiem jasne, ale i nie tak całkiem ciemne. Uwielbiałem twoje włosy. A teraz wróciłem, a ty je obcięłaś i zrobiłaś się na blond, i wiesz... może powinno mi się to podobać, ale złapałem się na tym, że siedzę w samochodzie i myślę: „Odrośną jej”. Po czym: „Ale zaraz, chwileczkę, przecież ona lubi tę fryzurę”.

– Jasne, że lubię! – mówię z lekką urazą.

– Właśnie o to mi chodzi. Teraz to jesteś ty. Krótkie blond włosy. Moja Emma miała długie, orzechowe. I takiej ciebie już nie ma. Nie mogę tak po prostu patrzeć na ciebie i ignorować twoich włosów. Muszę patrzeć na ciebie taką, jaka jesteś. Teraz. Dziś.

– Ale nie podoba ci się moja fryzura.

Jesse patrzy na mnie.

– Na pewno jest ładna. Ale w tej chwili jedyne, co widzę, to że nie jest taka, jaka była.

Niemal bezwiednie skłaniam się ku niemu i kładę mu głowę na piersi.

– Emma, jaką znałem, chciała mieszkać w Kalifornii, chciała być jak najdalej od rodzicielskiej księgarni. I nie spoczęłaby, dopóki nie obejrzałaby ze świata najwięcej, jak się da. Uwielbiała maciupcie buteleczki szamponu w hotelach i zapach lotniska. Nie potrafiła zagrać na pianinie ani jednej nuty. I kochała mnie i tylko mnie – mówi. – Ale chyba tej Emmy już nie ma.

Kręcę głową, nie patrząc na niego.

– I muszę przestać udawać, że jest. Zwłaszcza dlatego, że... Ja też nie jestem ten sam. Wiem, że wygląda, jakbym o tym nie wiedział, ale wiem. Wiem, że się zmieniłem. Wiem, że...

Ze zdumieniem spostrzegam, że zaczyna płakać. Obejmuję go mocniej, pragnę z całych sił, żebym mogła odjąć od niego ból, nie dopuścić, żeby do wszystkiego, co przeżył, dokładały się kolejne cierpienia. Tak strasznie bym chciała osłonić go przed światem, zapewnić, że nic go więcej nie zrani. Ale nie mogę, to jasne. Nikt nie jest w stanie tego zrobić dla nikogo.

– Jestem w zamęcie, Emma – ciągnie. – Nie czuję się tu dobrze. Chyba nie. Wciąż udaję, że wszystko jest okej, ale... Nie jest okej. Mam takie wrażenie, że nigdzie nie przynależę. Ani tu, ani tam. Niemal bez przerwy walczę, żeby utrzymać to wszystko w kupie. W jednej chwili jestem zachwycony, że wokół jest tyle jedzenia, a w kolejnej nie jestem w stanie niczego wziąć do ust. W noc po wylądowaniu obudziłem się o trzeciej nad ranem, zszedłem do kuchni i najadłem się tak, że mi zaszkodziło. Lekarze mówią, że nadal powinienem uważać, co i ile jem, ale ja po prostu zjadłbym albo wszystko, albo nic. Nie ma nic pomiędzy. Nie chodzi tylko o jedzenie. Kiedy byliśmy pod prysznicem, myślałem: „Trzeba by wziąć wiadro i oszczędzić trochę tej wody. Na później”.

Nareszcie jest gotów powiedzieć, jak się naprawdę czuje, i wszystko to wylewa się z niego jak z przewróconej butelki mleka.

– Nie mogę patrzeć na moją rękę. Nie mogę patrzeć, że nadal nie mam palca. Wiem, że to brzmi głupio, ale chyba mi się zdawało, że jak uda mi się dotrzeć do domu, to wszystko będzie jak dawniej. Odzyskam ciebie, znowu poczuje się normalnie, a mój palec, nie wiem, odrośnie mi w magiczny sposób albo coś...

Patrzy na mnie i oddycha głęboko, z wysiłkiem.

– Chcesz usiąść? – pytam i prowadzę go do kanapy. Siedzam go i zajmuję miejsce tuż obok. Wspieram mu głowę na ramieniu. – Już wszystko dobrze... Możesz o tym mówić. Możesz mi wszystko opowiedzieć.

– Po prostu... nienawidzę nawet o tym myśleć – mówi. – To było... straszne. Wszystko. A ta historia z palcem to był chyba najgorszy ból, jaki mi się zdarzył przez całe życie. Tak strasznie się starałem to stłumić, zablokować.

Milczę w nadziei, że będzie mówił dalej, że nadal będzie szczery wobec mnie i siebie samego, że podzieli się ze mną tym, co przeszedł, co go dręczy.

– Skaleczyłem go sobie dość głęboko – mówi w końcu. – Jak otwierałem ostrygę kawałkiem skały. Myślałem, że sam się zagoi, ale nie. Rana jątrzyła się coraz bardziej, żyłem z tym, aż w końcu...

Widzę, że nie może się zmusić do mówienia.

Ale nie musi.

Wiem, czego nie może powiedzieć.

Musiał sam sobie obciąć palec.

W jakiejś chwili, w ciągu tych lat, kiedy go tu nie było, zmuszony był ratować rękę w jedyny dostępny sposób.

– Tak mi przykro – szepczę.

Nie potrafię sobie wyobrazić, co się jeszcze wydarzyło, ile dni przetrwał bez pożywienia, jak blisko był poważnego odwodnienia, jaki to potworny ból, kiedy ten morski stwór parzył go i parzył wciąż na nowo, gdy płynął, szukając ratunku... Ale zaczynam myśleć, że zajmie się tym bólem, kiedy będzie gotów, że ujawni więcej, kiedy stanie się silniejszy. To będzie długi proces. Może nawet lata miną, zanim będzie gotów to z siebie wyrzucić. A nawet wtedy nie zdoła wymazać tego całkiem.

Tak samo jak ja nigdy nie zdołam wymazać bólu żałoby po nim.

To właśnie są rzeczy, które sprawiły, że jesteśmy, kim jesteśmy.

Na chwilę zostawiam Jessego i idę do kuchni. Przeglądam szafki i znajduję stare opakowanie Earl Greya.

– Może herbaty? – proponuję.

Podnosi na mnie oczy i kiwa głową. Leciutko, prawie niedostrzegalnie.

Wstawiam do mikrofali dwa kubki wody. Wyjmuję dwie torebki herbaty.

– Mów dalej – mówię. – Ja cię słucham.

Podejmuje opowiadanie i dociera do mnie, że świadomie czy nieświadomie, prawdopodobnie czekał na pozwolenie.

– Myślę, że chyba usiłowałem skasować ostatnie lata. Wcisnąć klawisz „cofnij”. Próbowałem poskładać wszystko z powrotem tak, jak było przed moim zaginięciem, tak jakby to wszystko w ogóle się nie wydarzyło. Ale to nie działa. Chciałem powiedzieć: to oczywiście nie działa. Wiem o tym.

Wyłączam kuchenkę, zanim powie „dzyń”, i wkładam herbatę do kubków. Jej zapach przypomina mi o Marie. Siadam koło Jessego i stawiam przed nim parujący kubek. Bierze go w dłonie, ale na razie nie pije.

– Nie jestem tym samym człowiekiem, którym byłem kiedyś. Ty o tym wiesz i ja o tym wiem, ale po prostu myślałem, że przy odrobinie wysiłku będę mógł to zmienić. Ale nie mogę. Nie mogę, prawda?

Odstawia kubek i zaczyna gestykulować.

– Nie chcę do końca życia mieszkać w Acton. Za długo byłem uwięziony w miejscu, w którym nie chciałem być. Chcę wrócić do Kalifornii. Szanuję to, że księgarnia Blair Books jest dla ciebie taka ważna, ale tego nie ogarniam. Tak się staraliśmy, żeby się wyprowadzić z Nowej Anglii, żeby uciec od życia, do jakiego nas pchali rodzice. Tyle poświęciliśmy, żeby móc podróżować, a nie siedzieć w jednym miejscu. Nie rozumiem, dlaczego postanowiłaś żyć tutaj i robić dokładnie to, co rodzice zawsze mówili, że powinnaś.

Bierze głęboki oddech.

– W głębi serca jestem zły. Okropnie. Wolałbym, żeby tak nie było, i nienawidzę siebie za to, że tak czuję, ale... ale jestem wściekły, że zakochałaś się w innym. Tak, wiem, mówisz, że to nie znaczy, że mnie zapomniałaś, ale wiesz... przynajmniej w tej chwili wygląda to dla mnie tak, jakbyś zapomniała. Absolutnie. I nie twierdzę, że nie moglibyśmy sobie z tym poradzić, gdyby wszystko inne się układało, ale... nie wiem.

Spogląda przed siebie.

– Jestem wściekły na ciebie i jestem wściekły na Friendly's, że zmieniło się w Johnny coś tam. Jestem wściekły niemal na wszystko, co zmieniło się beze mnie. Wiem, że muszę nad tym pracować. Wiem, że to tylko jeden ciąg spraw, którym muszę stawić czoło. Wiem, powiedziałem, że wszystko powinno być teraz łatwe, ale nie wiem, czemu tak myślałem. Powrót do domu jest trudny. Z góry było wiadomo, że będzie trudny. Przykro mi, że dotąd tego nie widziałem.

Zwraca na mnie spojrzenie.

– Jasne, że się zmieniłem. I jasne, że ty się zmieniłaś. Niemożliwe, żebyśmy byli tacy sami, po tym jak straciliśmy siebie nawzajem. Za wiele dla siebie znaczyliśmy, żeby to było możliwe. Więc chyba chcę powiedzieć, że choć jestem zły i nieszczęśliwy, ale chyba to rozumiem. To, co napisałaś w tamtym liście, ma sens. Musiałaś mnie zostawić za sobą, jeśli chciałaś kiedykolwiek mieć szansę na normalne życie. Wiem, że mnie wtedy kochałaś. Wiem, że to nie było łatwe. I oczywiście wiem, że i teraz to wszystko jest ciężkie również dla ciebie. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie widzę tego co ty.

Ogarnia mnie ramionami, przytula, po czym mówi to, czego zrozumienie zajęło nam kilka dni.

– Kochaliśmy się i straciliśmy siebie. A teraz, nawet jeśli nadal się kochamy, kawałki układanki nie pasują do siebie tak jak dawniej.

Mogłabym się do niego dopasować.

On mógłby się dopasować do mnie.

Ale to nie byłaby prawdziwa miłość.

– To tyle, jeśli chodzi o nas – mówi Jesse. – Mamy to za sobą. Skończone.

Patrzę mu w oczy.

– Tak. Myślę, że tak.

Po wszystkim, cośmy przeszli, nigdy bym nie myślała, że tak się to skończy.

Siedzimy bez ruchu, objęci, jeszcze nie w pełni gotowi, by odejść. Dłonie ma wciąż trochę zmarznięte.

Ujmuję je i trzymam, przekazując mu ciepło mojego ciała.

Wyjmuje jedną rękę i odgarnia mi z twarzy pasmo włosów.

Może właśnie na tym polega prawdziwa miłość.

Może prawdziwa miłość to ogrzewanie kogoś, gdy zmarzł, albo czułe odgarnięcie mu włosów, bo troszczysz się o tę osobę każdym włóknem swojego ciała, nawet jeśli wiesz, że to, co było między wami, nie przetrwa.

– Nie wiem, co teraz – mówię.

Jesse wspiera podbródek na mojej głowie i wzdycha. Po czym odsuwa się lekko, by na mnie spojrzeć.

– Nadal nie musisz wracać aż do jutra, tak?

– Tak.

– No to możemy tu zostać. Na jeszcze jeden dzień. Nie musimy się śpieszyć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że wiem, co mamy przed sobą, ale... nie jestem jeszcze gotów. Chyba możemy spędzić razem jeszcze trochę czasu, jeszcze trochę czasu być razem szczęśliwi. Tak długo czekałem, żeby tu z tobą być... To głupie śpieszyć się tylko dlatego, że to nie będzie trwało.

Uśmiecham się, oczarowana. Rozważam to, co powiedział, i zdaję sobie sprawę, że odbieram to jako w pełni słuszne, tak jakby ktoś podał ci szklankę wody, kiedy jesteś spragniona.

– Brzmi dobrze – mówię. – Spędźmy miło czas razem i nie martwmy się o przyszłość.

– Dziękuję ci.

– Okej, w takim razie aż do jutra zostawiamy realny świat za drzwiami. Wiemy, że niedługo staniemy z nim twarzą w twarz, ale... na razie możemy pozwolić, żeby wszystko było tak jak kiedyś.

– A jutro jedziemy do domu – mówi Jesse.

– Tak – mówię. – I zaczynamy się uczyć żyć bez siebie.

– Ty wyjdiesz za Sama.

Kiwam głową.

– A ty prawdopodobnie wyjedziesz do Kalifornii.

– Ale na razie... na jeszcze jeden dzień...

– Będziemy Emmą i Jessem.

– Tak jak byliśmy kiedyś.

Śmieję się.

– Tak. Tak jak byliśmy kiedyś.

Jesse roznieca ogień w kominku, po czym siada koło mnie na sofie. Opasuje mnie ramieniem i przygarnia. Kładę mu głowę na piersi.

Dobrze jest być w jego ramionach, cieszyć się tą chwilą, nie zastanawiać się, co niesie przyszłość. Rozkoszuję się tym, że czuję go koło siebie, zatapiam się w tym poczuciu bliskości. Wiem, że nie będę tego miała zawsze.

Znowu zaczyna padać śnieg. Niewielkie płatki, wirując, lądują na już białej ziemi. Wysuwam się z ramion Jessego i podchodzę do rozsuwanych drzwi, żeby popatrzeć, jak pada.

Wszystko jest miękkie i ciche. Śnieg jest biały i czysty, jeszcze nietknięty ludzką stopą.

– Hej, posłuchaj – mówię, odwracając się do Jessego.

– Hm? – pyta.

– Robimy anioła?

– Anioła?

– Anioła.

Zaledwie wychodzimy na zewnątrz, uświadamiam sobie, że mój pomysł ma skazę. Pokalamy ten niepokalany śnieg, idąc po nim. Naruszymy to, co nienaruszone, samą swoją obecnością.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – pyta Jesse. – Wyobraź sobie, jak fajnie byłoby obejrzeć film przy kominku.

– Nie, daj spokój, to jest lepsze!

– Nie jestem taki pewien – mówi Jesse z powątpiewaniem.

Puszczam się biegiem w nadziei, że pobiegnie za mną. Staram się sobie przypomnieć, jak to jest – być nastolatką razem z nim. Potykam się i przewracam. Padam twarzą w śnieg. Odwracam się. Jesse biegnie w moją stronę.

– Dawaj, dawaj, ślamazaro – poganiam go. Rozkładam ramiona i nogi i poruszam nimi tam i z powrotem. Pod przetartym śniegiem ukazują się oblodzone źdźbła trawy.

Jesse dobiega i pada obok mnie. Rozciąga kończyny i przesuwają nimi po śniegu. Podnoszę się i patrzę.

– Nieźle, nieźle. Fajnie ci wychodzi.

Jesse wstaje i ogląda swoje dzieło. Potem podziwia moje.

– No już wyduś to z siebie – mówię. – Twój lepszy.

– Nie biczuj się tak – replikuje. – Niektórzy ludzie mają po prostu wrodzony talent do sztuki śniegu. Jestem jednym z nich.

Przewracam oczami i staję lekko w środku jego anioła, tam gdzie nie będzie widać śladów. Nachylam się i rysuję aureolę wokół odbicia głowy Jessego.

– No – mówię. – Teraz to jest sztuka.

Ale popełniam błąd. Odwracam się do niego plecami. Kiedy się prostuję, trafia mnie w plecy śnieżką.

Kręcę głową, po czym powoli, z rozmysłem sama zaczynam lepić śnieżną kulę.

– Nie zrobisz tego – mówi ze śladem strachu w głosie.

– To ty zaczęłaś.

– Wszystko jedno. To, co zamierzasz zrobić, to błąd.

– Ach, tak? No i co mi zrobisz? – mówię, powoli zbliżając się do niego i delektując się tą znikomą

władzą, jaką dzierzę w tej chwili

– Ja ci... – zaczyna i w tym momencie robi błyskawiczny wypad i wytrąca mi śnieżkę z ręki. Kula, spadając, trafia mnie w nogę.

– Trafiłeś mnie moją własną śnieżką! – wołam.

Lepię następną i ciskam w niego. Trafia go prosto w kark. Wypowiedziałam wojnę.

Jesse trafia mnie w ramię, potem w czubek głowy. Ja jego w pierś. Kiedy widzę, jak lepi kolejną, ogromną kulę, rzucam się do ucieczki.

Biegnę, biegnę, wreszcie potykam się i padam w śnieg. Przygotowuję się na cios śnieżką. Czekam... nic. Otwieram oczy. Jesse stoi nade mną.

– Rozejm? – pyta.

Kiwam głową. Jesse ciska kulę daleko w przestrzeń.

– To co, ciepły kominek i koce? – proponuje.

Tym razem się nie waham.

– Jestem za.

Kiedy odtajaliśmy, Jesse podchodzi do stosu książek i kaset, które leżą w domku od lat. Niektóre papierowe okładki są tak zniszczone, że mają przetarte grzbiety. Są tu kasety DVD z początku lat dwutysięcznych, a nawet parę VHS.

Wybieramy jakiś stary film i próbujemy włączyć telewizor. Nie reaguje.

– Czy tylko mnie się wydaje, że telewizor padł? – pyta Jesse.

Sprawdzam, czy jest włączony do gniazdka. Jest. Ale wciskam kolejno guziki i nic.

– Zepsuty – mówi Jesse. – Założę się, że stoi tak od lat i nikomu nie przyszło do głowy, żeby spróbować go włączyć.

– W takim razie książka – decyduję. – Właśnie zdałam sobie sprawę, że to świetny sposób na spędzenie czasu. – Przeglądam grzbiety i pomiędzy Grishamami i Pattersonami zauważam kryminał, o którym nigdy nie słyszałam. Wyjmuję go z półki. Biorę go. – Może to byśmy przeczytali?

– Razem?

– Ja będę czytać tobie, a ty mnie – mówię. Jesse nie jest w pełni przekonany.

Słońce zaczyna zachodzić i choć tu, w środku nie grozi nam, że zmarzniemy, Jesse dokłada do ognia. Znajduje pod barem starą butelkę czerwonego wina, a ja przynoszę z kuchni dwa słoiki po dzemie.

Siedzimy przy kominku i pijemy.

Rozmawiamy o sytuacjach, kiedy sprawialiśmy sobie nawzajem wielką radość, i śmiejemy się z sytuacji, kiedy doprowadzaliśmy się do szału. Rozmawiamy o naszej miłosnej historii jak dwoje ludzi wymieniających wrażenia z filmu, który właśnie obejrzeliby – to znaczy rozmawiamy, mając świeżo nabytą wiedzę o tym, jak się to wszystko kończy. Wszystkie wspomnienia są teraz odrobinę inne, zabarwione słodko-gorzka nutą.

– Zawsze byłaś głosem rozsądku – mówi Jesse. – Zawsze byłaś tą, która nas powstrzymywała przed pójściem krok dalej, niż powinniśmy.

– Tak... Za to ty zawsze dawałaś mi odwagę, żeby robić to, co chciałam. Nie wiem, czy miałabym w sobie tyle brawury, żeby zrobić połowę rzeczy, które zrobiłam, gdybyś we mnie nie wierzył, nie zachęcał mnie albo nie podpuszczał.

Rozmawiamy o naszym weselu – o ceremonii ślubnej przy latarni, o naszych igraszkach tu, w domku, o przyjęciu w mieście. Mówię Jessemu, że moich wspomnień z tego dnia nie mąci to, co stało się później. Że nadal, myśląc o tym, czuję wyłącznie radość. Że jestem za to wdzięczna losowi, bez względu na to, jak się wszystko skończyło.

Jesse mówi, że nie jest pewien, czy się ze mną zgadza. Mówi, że dla niego te wspomnienia są smutne, że obrazują bolesną naiwność naszych wyobrażeń o przyszłości, że żal mu Jessego z tamtego dnia, który jeszcze nie wiedział, co go czeka. To dla niego przypomnienie, jak by mogło być, gdyby nie wsiadł wtedy

do tego helikoptera. Potem jednak mówi, że ma nadzieję, że któregoś dnia i on spojrzy na to tak jak ja.

– Jeśli kiedyś będę to widział tak jak ty, to cię odzyskam i zadzwonię – obiecuje.

– Bardzo mi będzie przyjemnie. Zawsze będę chciała wiedzieć co u ciebie.

– Cóż, w takim razie to dobrze, że zawsze będzie łatwo cię odnaleźć.

– Tak – mówię. – Nigdzie się nie wybieram.

Ogień przygasa. Jesse podchodzi do kominka, przekłada polana, dmucha na nie. Wraca do mnie, a ogień zaczyna znowu buzować.

– Jak myślisz, pojechałabyś na studia do LA, gdyby nie ja? – pyta.

– Może... – mówię. – A może i nie. Wiem, że bez ciebie nie byłabym tam taka szczęśliwa. I na pewno bez ciebie bym się nie zgłosiła na ten kurs pisania o podróżach. I z pewnością gdyby cię przy mnie nie było, nie spędziłabym roku w Sydney ani tych wszystkich miesięcy w Europie... Myślę, że jest mnóstwo rzeczy, których bym nigdy nie zrobiła, dobrych, złych, wspaniałych, tragicznych, obojętne, jak je nazwać... mnóstwo rzeczy, których nie miałabym odwagi zrobić, gdyby nie ty.

– Czasem się zastanawiam, czy gdyby cię nie spotkał, pozwoliłbym rodzicom, żeby dalej mnie pchali do pływania – mówi. – Byłaś pierwszą osobą, której nie zależało, czy jestem dobrym pływakim, czy nie. Pierwszą osobą, która lubiła mnie jako mnie. To... to jest coś, co zmienia życie. Naprawdę.

Odwraca się i patrzy na mnie przenikliwie.

– Z bardzo wielu powodów jestem tym, kim jestem, dzięki tobie.

– Och, Jesse – mówię z czułością, która przepełnia mi serce – bez ciebie w ogóle nie byłoby mnie.

Wtedy Jesse mnie całuje.

Zwykły pocałunek, z pozoru jak każdy. Ale nigdy nie byłam całowana w ten sposób. Jest w tym i smutek, i miłość, i nostalgia, i lęk, i spokój.

Kiedy się od siebie odrywamy, zdaję sobie sprawę, że jestem pod gazem, a Jesse prawdopodobnie wręcz pijany. Butelka jest pusta, a kiedy odstawiam mój zaimprovizowany kieliszek, niechcący ją potrącam. Charakterystyczny brzęk, głuchy stuk butelki o podłogę... ale na szczęście nie słychać po nim znajomego trzasku, który czasem mu towarzyszy. Z ulgą podnoszę butelkę i słoiki.

Chyba pora przerzucić się na lżejsze sprawy.

Przynoszę nam wodę w szklankach i przypominam mu o książce.

– Naprawdę chcesz, żebyśmy razem czytali? – pyta.

– Albo czytamy, albo gramy w tabu.

Jesse ustępuje i bierze z kanapy koce i poduszki. Kładziemy się na podłodze blisko ognia. Otwieram książkę.

– *Oporne przygody Cole'a Crane'a* – czytam na głos tytuł.

Czasem czytam grupie dzieci w niedzielne poranki. Ostatnio jestem bardziej pewna siebie, zmieniam głos zależnie od postaci i staram się ożywić narrację. Ale teraz nic takiego nie robię. Jestem sobą. Czytam książkę. Komuś, kogo kocham.

Niestety, jest to bardzo zła książka. Boki zrywać. O kobietach mówi się „damy”. Mężczyźni piją whisky i robią głupie dowcipy. Przebrnąwszy przez pięć stron, podaję książkę Jessemu.

– Czytaj ty. Ja nie mogę.

– No coś ty – protestuje. – Daj spokój. Tak długo czekałem, żeby usłyszeć twój głos.

Więc czytam dalej. Do chwili, gdy z powodu bliskości ognia zaczynam czuć suchość w oczach, już, choć z oporem, zdążyłam się zaangażować w to, co się dzieje z bohaterami i łapię się na tym, że chcę, aby Cole Crane wreszcie pocałował Daphne Monroe.

Jesse zgadza się czytać drugą połowę. Leżę z głową na jego kolanach. Oczy mam zamknięte.

Głos ma spokojny i kojący. Słucham, jak wznosi się i opada, wzmagają napięcie i cichnie.

Kiedy czyta już ponad godzinę, siadam i wyjmuję mu książkę z rąk. Odkładam ją na podłogę.

Wiem, co za chwilę zrobię. Wiem, że to ostatni raz. Wiem, że chcę, żeby to coś znaczyło. Przez całe

Lata nie miałam szansy się z nim pożegnać. Teraz mam i wiem, że chcę to zrobić właśnie tak.

Więc całuję go tak, jak się całuje, kiedy jest to początek czegoś więcej. I jest to początek czegoś więcej.

Ściągam koszulkę przez głowę. Rozpinam spodnie Jessemu. Siadam na nim. To ostatni raz, kiedy czuję ciepło jego ciała, ostatni raz, kiedy patrzę na niego pode mną, a on obejmuje mnie dłońmi za talię. Ostatni raz powiem mu, jak go kocham, poruszając biodrami, dotykając jego piersi.

Ani na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku. Patrzę, jak wodzi nim po moim ciele, wchłaniając w siebie wszystko, aby zapamiętać.

Czuję, że mnie widzi. Naprawdę widzi. Że się mną cieszy, smakuje, delectuje.

Nie wierzcie, kiedy ktoś wam mówi, że w miłości najbardziej romantyczne są początki. Najbardziej romantycznie jest wtedy, kiedy wiesz, że to się musi skończyć.

Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam tak obecna, jak w tej chwili, kiedy kocham się z mężczyzną, o którym kiedyś myślałam, że jest moją drugą połówką, a teraz wiem, że jest przeznaczony komuś innemu, czemuś innemu, że ma budować swoje życie gdzieś indziej.

Jego oczy nigdy nie były takie zniewalające. Jego ciało pode mną nigdy nie było tak swojskie, tak bezpieczne. Wodzę dłońmi po bliznach na jego ciele. Splatam moją lewą dłoń z jego prawą. Chcę, żeby wiedział, że jest dla mnie piękny.

Kiedy jest po wszystkim, jestem zbyt zmęczona i oszołomiona, żeby się smucić. Znowu wpełzam mu w zgięcie ramienia i podaję książkę.

– Poczytasz? – mówię. – Jeszcze troszkę.

Właśnie o to chodzi. Ze wszystkim. Jeszcze troszkę. Jeszcze odrobinę dłużej...

– Co tylko zechcesz – mówi.

Zasypiam w jego ramionach, słuchając, jak czyta końcówkę książki, szczęśliwa, że Cole chwytając wreszcie Daphne za ramiona i mówi: „Boże, kobieto, nie wiesz, że to ty? Że to zawsze byłaś ty?”

Odkochiwanie się w kimś, kogo nadal lubisz, to tak jak leżeć w ciepłym łóżku i słyszeć dzwonek budzika.

Choćby człowiek nie wiem jak dobrze czuł się w tej chwili, wie, że pora iść.

Drrr drrr drrr drrr drrr...

Słońce świeci mi w twarz. A zegarek Jessego dzwoni.

Okładka *Opornych przygód Cole'a Crane'a* tkwi, zagięta, pod jego nogą.

Ogień wygasł.

– Pora wstawać – mówię.

Jesse, wciąż jeszcze nie w pełni obudzony, kiwa głową i przeciera twarz.

Idziemy do kuchni i łapiemy jakieś jedzenie. Ja wypijam pełną szklanekę wody. Jesse pije zimną kawę z dzbanka. Pijąc, wygląda przez kuchenne okno, po czym odwraca się do mnie.

– Znowu pada.

– Bardzo? – pytam. Patrzą w stronę okna frontowego: na podjeździe leży świeży całun śniegu.

– Powinniśmy niedługo wyjechać – mówi Jesse. – W tej chwili wygląda dosyć dobrze, ale nie powinniśmy zwlekać. Kto wie, jak będzie po drodze.

– Okej, słusznie. To idę pod prysznic.

Jesse kiwa głową, ale nic więcej nie mówi. Nie idzie za mną, żeby dołączyć do mnie pod prysznicem. Nie żartuje na temat mnie gołej. Idzie do kominka i zaczyna go czyścić.

Właśnie wtedy, gdy wchodzę sama po schodach, czuję cały ciężar nowej prawdy.

Jesse jest w domu. Jesse żyje.

Ale Jesse nie jest już mój.

W czterdzieści pięć minut pakujemy się i jesteśmy gotowi do jazdy. Talerze są pozmywane, pozostałe produkty żywnościowe spakowane, bałagan, jakiego narobiliśmy, posprzątany. Nawet *Oporne przygody Cole'a Crane'a* wróciły na swoje miejsce, tak jakby w ogóle ich nie czytano. Gdybym nie wiedziała, przysięgłabym, że nas tu nie było.

Jesse bierze klucze i otwiera przede mną frontowe drzwi. Przechodzę przez nie z ciężkim sercem.

Nie proponuję mu, że poprowadzę. Zamierza robić wszystko po swojemu, a ja zamierzam mu pozwolić. Siadam więc na przednim siedzeniu, a Jesse włącza wsteczny bieg.

Odjeżdżamy. Ostatni raz ogarniam spojrzeniem domek.

Od drzwi prowadzą dwie linie śladów.

Z początku są blisko siebie, po czym rozchodzą się w przeciwne strony, jako że szliśmy do samochodu od różnej strony.

Wiem, że ślady wkrótce znikną. Wiem, że mogą nie przetrwać do wieczora, jeśli będzie padać jak w tej chwili. Ale dobrze jest móc na coś patrzeć i rozumieć to.

Ślady zaczynają się razem, a potem się rozchodzą.

Rozumiem to.

Tak jest dobrze.

Taka jest prawda.

Dwie prawdziwe miłości, czyli jak zaakceptować prawdę o miłości

Dopiero gdy jesteśmy już prawie w New Hampshire, zaczynamy z Jessem tak naprawdę rozmawiać. Do tego czasu, przez cztery i pół godziny, głównie słuchaliśmy radia, zatopieni we własnych myślach.

Ja myślałam głównie o Samie.

O lekkim zaroście, który zawsze ma na twarzy, o tym, że najwyraźniej zacznie wcześniej siwieć, o tym, że pilno mi do spędzania z nim wieczorów przy pianinie.

Mam nadzieję, że kiedy mu powiem, że pragnę tylko jego, uwierzy mi.

To było trudne doświadczenie, ale w końcu doszłam do tego, kim jestem i czego chcę. Nigdy dotąd moja tożsamość nie była dla mnie tak wyrazista.

Jestem Emma Blair.

Właścicielka księgarni. Siostra. Córka. Ciotka. Pianistka amatorka. Miłośniczka kotów. Mieszkanka Nowej Anglii. Kobieta, która chce poślubić Sama Kempera.

Nie znaczy to, że nie towarzyszy temu ból i smutek. Cokolwiek by mówić, jest to strata.

W głębi duszy wiem, że gdy wysiądę z tego auta, kiedy Jesse mnie wysadzi i powie „do widzenia”, będę się czuła tak, jakbym z nim zrywała.

Czuję się tak samo, jak wtedy, gdy miałam dziewięć lat i na urodziny mama pozwoliła mi przekłuć sobie uszy.

Przyjęcie urodzinowe miało być wieczorem. Miałam włożyć niebieską sukienkę, którą sama sobie wybrałam. Razem z mamą wybrałyśmy do tego kolczyki sztyfty z fałszywego szafiru. Czułam się bardzo dorośle.

Kobieta w salonie przyłożyła mi pistolet do ucha i uprzedziła mnie, że to może boleć. Powiedziałam, że jestem gotowa.

Przekłucie było dla mnie szokiem. Nie wiedziałam, co gorsze: ściśnięcie ucha, ból przebicia czy pieczenie świeżej ranki.

Zadrzałam i zamknęłam oczy. Nie otwierałam ich. Mama i ta pani spytały mnie, czy wszystko dobrze, a ja powiedziałam: „Czy może pani zrobić drugie już? Proszę”.

I ten ból – to poczucie, że dobrze wiem, czego się spodziewać, i wiem, że to będzie okropne – był dokładnie taki sam jak ten, który tkwi we mnie teraz.

Dobrze wiem, jak będzie bolała utrata Jessego. I siedzę oto w jego samochodzie, czekając na przebicie.

– Kiedy moi rodzice troszkę się przyzwyczają – mówi Jesse, kiedy zbliżamy się do granicy stanu – i będę wiedział, że potrafią przyjąć mój wyjazd, wrócę do Santa Monica.

– Ach, do Santa Monica? Nie chcesz spróbować zamieszkać w San Diego albo w hrabstwie Orange?

Jesse kręci głową.

– Myślę, że moje miejsce to Santa Monica. To znaczy, myślałem, że będziemy mieszkać tam razem, już na zawsze. Nie za bardzo wiem, co zrobić z faktem, że zostaniesz tutaj. Ale wiesz co? Myślę, że dobrze będzie wrócić tam samemu – mówi, tak jakby właśnie zdał sobie sprawę, że pozwalając mi odejść, uwalnia się od pewnych rzeczy.

– Jeśli wyjedziesz, dasz nam wszystkim znać, jak ci idzie?

– Bynajmniej nie mam zamiaru pozostawiać ludzi w niepewności.

Uśmiecham się i ściskam przelotnie jego rękę. Odwracam wzrok do okna i patrzę na przesuające się za szybą nagie drzewa i zielone znaki autostrady.

– A ty? – pyta Jesse po chwili. – Zamierzasz wyjść za Sama i mieszkać tu na zawsze, hm?

– Jeśli mnie zechce – mówię.

– Jak to? Dlaczego miałby nie zechcieć?

Manipuluję przy regulatorze ciepła po mojej stronie, tak by nawiew był skierowany wprost na mnie.

– Bo nieźle go przemaglowałam ostatnio. Nie byłam najłatwiejszą narzeczoną.

– To nie twoja wina. I... nie zawsze przecież tak było.

– To prawda – przyznaję. – Ale nie zmienia to faktu, że go zraniłam. I kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, powiedział, żeby do niego nie dzwonić. Że sam się odezwie, kiedy będzie gotów.

– I zadzwonił?

Sprawdzam telefon jeszcze raz, żeby się upewnić. Ale oczywiście nie dzwonił.

– Nie.

– Zechce cię – mówi Jesse z przekonaniem. Jest tego taki pewny, że uświadamia mi to, jak dalece ja jestem niepewna.

Zaryzykowałam mój związek z Samem, żeby sprawdzić, czy zostało coś pomiędzy mną a Jessem. Wiedziałam, co robię. Nie udawałam, że nie wiem. I nie udaję.

Teraz jednak wiem, czego chcę. Chcę Sama. I boję się, że być może go straciłam, bo nie wiedziałam tego wcześniej.

– A jeśli cię nie zechce... – ciągnie Jesse i w tej chwili uświadamia sobie, że powinien zmienić pas. Nie kończy zdania i koncentruje się na drodze. Przez chwilę się zastanawiam, czy zamierzał powiedzieć, że jeśli Sam mnie nie zechce, to zechce on.

Z zaskoczeniem czuję, że byłoby to nienaturalne i niewłaściwe.

Bo ja nie wybierałam pomiędzy Samem a Jessem. Nigdy nie było: ten albo ten. Nawet jeśli czasem myślałam, że tak właśnie jest.

Chodziło o to, czy między mną a Jessem nadal coś jest, czy nie.

Wiem – tak jak wiem, że kradzież jest zła i że mama kłamie, kiedy mówi, że lubi miętowy koktajl z burbona, przyrządzany przez tatę – że to, co zaszło pomiędzy Jessem a mną, zaszło wyłącznie z powodu Jesego i mnie. A nie dlatego, że ktoś czekał za kulisami.

Skończyliśmy ze sobą, bo już do siebie nie pasujemy.

Jeśli po tym wszystkim Sam nie zechce, żebym wróciła do domu, Jesse będzie do mnie dzwonił, żeby sprawdzić, jak się czuję, i przysyłał mi widokówki z miejsc pełnych słońca. Oboje będziemy wiedzieli, że mogę do niego dołączyć. I oboje będziemy wiedzieli, że tego nie zrobię. I dla obojga tak będzie w porządku.

Bo mamy za sobą to doświadczenie.

Trzy dni w Maine.

Gdzie na powrót połączyliśmy serca, a potem je rozdzieliliśmy.

I odeszliśmy stamtąd jako osobni.

– Przepraszam – mówi Jesse. Udało mu się przebrnąć przez węzeł drogowy i znowu może się skupić na rozmowie. – Co to ja mówiłem? Aha, że jeśli Sam cię nie zechce, to osobiście skopię mu tyłek.

Śmieję się na myśl, że Jesse miałby skopać tyłek Samowi. To takie absurdalne. Pewnie wymierzyłyby mu błyskawicznego kopniaka. Byłoby to jak w jednym z tych meczów bokserskich, kiedy jeden z facetów dostaje nieoczekiwany cios i, nieszczęsny frajer, nie rozumie, co się stało.

Sam, mój Sam, mój cudny, kochany Sam, potrafi kochać, a nie walczyć. Uwielbiam w nim to.

– Poważnie – mówi Jesse. – To jest nienormalna sytuacja. Jeśli on tego nie widzi, to osobiście dopilnuję, żeby zaznał fizycznego bólu.

– Ojej! – wygłupiam się. – Nie, nie rób tego! Ja go Kocham!

Nie jest to zbyt serio deklaracja, niezależnie od tego, jak serio to czuję. Ale bez względu na to, jak to mówię, w danych okolicznościach jest to niezręczne.

Widzę, że Jesse przełyka ślinę. I dopiero wtedy mówi:

– Cieszę się z twojego szczęścia. Naprawdę.

– Dziękuję – mówię pod wrażeniem jego wielkoduszności. To dla mnie wielka ulga. Nie sądzę, żeby był w tej chwili szczery, ale bardzo się stara. Mam dla niego za to mnóstwo szacunku.

– I to będzie koniec naszej rozmowy o nim – mówi Jesse. – Bo inaczej się porzygam.

– Racja – mówię. – Chętnie zmienię temat.

– Już niedługo będziemy w domu – mówi. – Jesteśmy prawie w Tewksbury.

– To może zagramy w szpiega albo coś?

Jesse się śmieje.

– Dobra. No więc... wypatrzyłem moim sprytnym oczkiem... coś niebieskiego.

Być może relacja powinna się kończyć łzami albo krzykiem. Może powinna się kończyć tak, że dwoje ludzi mówi sobie rzeczy, których nigdy dotąd nie mówili, albo atakuje się nawzajem tak, że nie da się tego wymazać.

Nie wiem.

Zakończyłam w życiu tylko jedną relację.

Tę.

A ta kończy się pogodną zabawą w szpiega.

Wybieramy z otoczenia określone rzeczy, zgadujemy, zadając coraz bardziej zawężające pytania, i doprowadzamy się nawzajem do śmiechu.

Kiedy Jesse zajeżdża na parking przy Blair Books, wiem, że już tylko chwila dzieli mnie od tej, kiedy pistolet przebije mi ucho.

– Kocham cię – mówię. – Zawsze cię kochałam. Zawsze cię będę kochać.

– Wiem – mówi. – Ja ciebie też. No to idź i łap to życie, które sobie przygotowałam.

Całuję go na pożegnanie, tak jak całuje się przyjaciół i znajomych na Nowy Rok. Nie czuję potrzeby, aby pocałować go inaczej.

Zbieram moje rzeczy i kładę rękę na drzwiach, jeszcze niegotowa, by pociągnąć za klamkę.

– Byłeś cudownym człowiekiem do kochania – mówię. – Tak dobrze było cię kochać. I być przez ciebie kochaną.

– Cóż, to najłatwiejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

Uśmiecham się do niego i nabieram powietrza, szykując się na przeszywający ból rozstania.

– Obiecujesz, że będziesz o siebie dbał? – pytam. – I że zadzwonisz, jeśli będziesz czegoś potrzebował? I że... – Nie wiem, jak wyrazić to, co mam na myśli. Tyle przeszedł... Chcę, żeby mi obiecał, obiecał nam wszystkim, którym na nim zależy, że będzie się starał to przepracować.

Jesse kiwa głową i daje mi znak ręką, żebym wysiadła.

– Wiem, o co ci chodzi. I obiecuję.

– Okej – mówię z czułym uśmiechem. Otwieram drzwi. Stawiam stopę na bruku. Wsiadam z samochodu i zatrząskuję za sobą drzwiczki.

Jesse macha mi na pożegnanie i wrzuca wsteczny. Patrę, jak zawraca na trzy i wyjeżdża z parkingu. Ból jest dokładnie taki, jak myślałam. Ucisk, ukłucie, pieczenie.

Macham mu, kiedy skręca w lewo na główną drogę.

I już go nie ma.

Zamykam na chwilę oczy, przetwarzając w sobie to, co się właśnie stało. Skończone. Jesse żyje, jest w domu, a nasze małżeństwo jest zakończone... Ale kiedy otwieram oczy, uświadamiam sobie, gdzie jestem.

Moja księgarnia.

Odwracam się i idę w stronę drzwi.

Idę w stronę książek i mojej rodziny, i tego jedyne go dnia na przedwiośniu, kiedy się wydaje, że słońce będzie świeciło zawsze, a kwiaty kwitły całymi miesiącami. Idę w stronę wegańskiego grillowanego sera i memów z kotami, i *Piano Mana*.

Idę w stronę Sama.

Idę w stronę domu.

I tak jak w dniu, kiedy przekłuwano mi uszy, ból pojawił się i przeminął, a ja wtedy urosłam.

W sklepie są oboje, i mama, i ojciec. Zanim jeszcze podeszłam do nich na tyle blisko, żeby powiedzieć „cześć”, słyszę z oddali dziecięcy płacz.

– Dziewczynki są tutaj? – pytam, gdy uścisnęłam rodziców na powitanie.

– Tak, z Marie w sekcji dziecięcej – mówi mama.

– Jak się masz? Jak poszło? – pyta tato.

Próbuję odpowiedzieć, ale za dużo jest do wyjaśniania, a ja nie jestem w tej chwili w nastroju, żeby wdawać się w szczegóły.

– Tęsknię za Samem – mówię po prostu. W gruncie rzeczy może to wyrazić wszystko. Zwięźle i bezboleśnie.

Patrzę na siebie nawzajem i uśmiechają się, tak jakby byli członkami dwuosobowego klubu, którzy od początku wiedzieli, że tak to właśnie będzie.

Nie cierpię być przewidywalna, zwłaszcza dla rodziców. Ale przede wszystkim czuję ulgę, że decyzje, jakie podjęłam, najwyraźniej są właściwe. Bo to, bądź co bądź, moi rodzice. I kiedy człowiek staje się dostatecznie dorosły, nie ma nic złego w przyznaniu, że oni istotnie często wiedzą lepiej.

Dobiega mnie głos Marie, która próbuje uspokoić dzieci. Obchodzę kasę, żeby lepiej widzieć. Obie dziewczynki płaczą, całe czerwone, i trzymają się za głowę, każda z innej strony. Oglądam się na rodziców.

– Ava wpadła na Sophie i stuknęły się głowami – mówi mama.

Ojciec zatyka sobie uszy palcami, tak jakby od ich krzyku miały mu popękać bębienki.

– Świetna reklama dla biznesu.

Kiedy ryk dzieci cichnie i przybiera postać znacznie spokojniejszego, choć równie teatralnego łkania, Marie mnie zauważa i rusza w moją stronę.

– Ale, ale, musimy pogadać o Tinie – mówię, wracając do rodziców.

Żadne z nich nie patrzy mi w oczy.

– Pogadamy kiedy indziej – mówi tato. – Kiedy sprawy nie będą tak... dramatyczne.

Matka odwraca wzrok i momentalnie zabiera się do porządkowania pod kasą. Tato udaje, że pochłania go bez reszty sklepowy kalendarz, stojący na kontuarze. Zbyt długo jestem ich córką, żebym dała się na nabrać na takie numery. Coś ukrywają.

– Co się dzieje? – pytam. – O czym mi nie mówicie?

– Nic takiego, kochanie, naprawdę – mówi mama, i prawie jej wierzę. Ale potem spostrzegam na twarzy ojca ten wyraz, mieszankę „Kupiła to?” i „O Boże, powinniśmy jej po prostu powiedzieć”.

– Wiesz, mamy pewne pomysły co do tego, kto mógłby zastąpić Tinę – mówi w końcu tato. – Ale pogadamy o tym później.

Kiedy podchodzi Marie i wygląda, jakby bała się mi powiedzieć, że pożyczyła sobie mój ulubiony sweter, wiem, że dotyczy to także i jej.

– Hej, ludzie. Za dużo mam teraz na głowie, żebym miała cierpliwość czekać, aż mi powiecie. O co chodzi?

– O nic – mówi Marie. Marszczy brwi, żeby dać poznać, że nie wierzę jej ani przez chwilę. Poddaje się.

– Dobrze. No więc chcę pracować.

– Jako kto? – pytam.

– Jako zastępczyni.

– Tu?

– No. Mama i tato uważają, że to świetny pomysł, ale oczywiście zależy to od ciebie.

– Chcesz tu pracować? – pytam z niedowierzaniem. – Ze mną?

– Tak.

– W tej księgarni?

– No widzisz? Wiedziałałam, że to nie jest właściwy czas na rozmowę.

– Nie – mówię, kręcąc głową. – Po prostu jestem zaskoczona.

– Wiem – mówi. – Ale to by mogło być to moje coś. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy? Coś poza domem, co by nie miało nic wspólnego z uczeniem załatwiania się do nocniczka czy ze słyszeniem i głuchotą. Myślę, że to lepszy pomysł niż pisanie. Strasznie jestem tym podekscytowana. I miałabym do czynienia z dorosłymi! Miałabym okazję, żeby włożyć ładne spodnie! Emma, potrzebny mi jest jakiś powód, żeby włożyć spodnie.

– Okej... – mówię.

– Nie mogę wziąć pracy w pełnym wymiarze, ale stanowisko zastępczyni byłoby w sam raz. Zwłaszcza że mama i tato mogą mnie zastąpić przy dzieciach albo tutaj, jakby zaszła potrzeba. Pewnie to, co mówię, jest... Emma, proszę, przyjmij mnie.

– Ale przywykłaś być menedżerką. Teraz to ja byłabym twoją przełożoną.

Marie podnosi obie ręce w żartobliwym geście poddania.

– To twój cyrk. Wiem, że sama zrezygnowałam z tego stanowiska, a ty się na nim świetnie sprawdziłaś. Nie próbuję sobie niczego uzurpować. Jeśli kiedyś w przyszłości uznam, że chcę mieć więcej odpowiedzialności albo większy udział w podejmowaniu decyzji, to będzie to mój problem, i będę sobie z nim radzić. Zawsze mogę wziąć stanowisko kierownicze w którymś ze sklepów Mike'a, skoro już o tym mowa. Ale teraz zależy mi na tym, żeby spędzać dni tutaj, z tobą.

Marie wypowiedziała już swoją kwestię, a teraz czas na moją odpowiedź. Czuję na sobie oczy siostry, matki, ojca. Sophie i Ava, teraz już spokojne, ciągną Marie za nogę.

– No więc? – pyta Marie.

Zaczynam się śmiać. Cała trójka patrzy z troską, nie wiedząc, co właściwie jest dla mnie takie śmieszne. Więc się opanowuję, żeby nie trzymać ich dłużej w niepewności.

Myśl, że Marie pracowałaby jako moja podwładna, budzi strach. Czuję się z tym trochę niezręcznie i troszkę się martwię, że to podkopie dobrą relację, którą zaczęliśmy budować. Ale zarazem myślę, że wręcz odwrotnie, może się to okazać świetne. Miałabym kogoś, z kim będę mogła dzielić się sprawami tego sklepu, kogoś, kto rozumie, jaki jest ważny, dla kogo ważne są nie tylko książki, ale także historia tej księgarni. A to, że będziemy razem pracować, spędzać ze sobą więcej czasu, może nas tym bardziej zbliżyć.

Więc chyba chcę podjąć to ryzyko.

Jestem gotowa postawić na Marie i na mnie.

– W porządku – mówię. – Jesteś przyjęta.

Uśmiech, jaki rozkwita na twarzy ojca, jest tak szeroki i tak szczery, że nastoletniej wersji mojego ja groziłoby puszczenie pawia. Ale nie jestem już nastolatką i nic mi się nie stanie, jeśli dam ojcu tę najważniejszą rzecz, o jakiej marzył.

– W porządku, tato. Twoje dziewczyny prowadzą twoją księgarnię.

Po raz pierwszy w całym moim życiu zastanawiam się, czy mogłybyśmy z Marie być fajniejsze jako zespół, niż suma nas obu.

Emma i Marie.

Uroczysty moment zostaje przerwany przez jakiegoś mężczyznę, który mówi tacie, że szuka dla żony pewnej książki. Ojciec pyta o tytuł. Klient odpowiada: „Nie znam tytułu i nie jestem pewien, kto to napisał, i nie pamiętam, o czym jest. Pamiętam tylko, że ma niebieską okładkę”.

Rodzice wymieniają znaczące spojrzenia, a potem oboje starają się mu pomóc.

Kiedy odchodzą, Marie patrzy na mnie.

– To jak wyszło w Maine? Wracasz do Sama?

– Tak naprawdę to nie wiem.

– To znaczy? – pyta.

– Wiem, że chcę być z Samem, ale powiedział, żeby do niego nie dzwonić, nawet jeśli już podejmę decyzję. Powiedział, że jak będzie gotów do rozmowy, to da mi znać. A nie odwrotnie.

Marie zbywa to machnięciem ręki.

– Chodziło mu o to, że jak będziesz chciała go zostawić. Na pewno nie miał na myśli, że jak będziesz miała dobrą wiadomość, to nie możesz mu powiedzieć.

– Nie wiem. Myślę, że jest naprawdę przygnębiony.

– No pewnie, że jest. Ale to tym bardziej powód, żeby go znaleźć i porozmawiać.

– Chciałabym uszanować jego życzenie – mówię.

– Emma, posłuchaj mnie. Znajdź go teraz, już, i powiedz mu, że chcesz z nim być.

– Znaczy mam pójść do niego do szkoły?

– Tak! – woła Marie. – Dokładnie. To znaczy, nie oświadczaj mu się wobec dzieciaków z orkiestry czy coś. Ale tak! Znajdź go natychmiast.

– Tak... – Zaczyna mi wracać pewność siebie. – Tak, chyba masz rację.

Rodzice wracają i podliczają tamtego klienta. Wygląda na to, że nie znalazł książki, po którą przyszedł. Zamiast tego kupuje *Małe kobiety*. Niewątpliwie rodzice po paru minutach dali sobie spokój ze zgadywaniem, o co mu chodzi, i postanowili mu sprzedać Louise May Alcott.

Każdemu chcą sprzedać *Małe kobiety*. Bo to świetna książka, fakt. Ale też dlatego, że są dumni, że została napisana zaledwie parę kilometrów stąd. Pewnie próbowali mu też wcisnąć Henry’ego Davida Thoreau albo Ralpa Emersona. Też są stąd.

Ja nie wciskam ludziom transcendentalistów tak jak oni. Egzemplarze ich książek stoją na półce dłużej niż za czasów rodziców.

Nigdy nie robią mi o to wymówek. Ojciec nigdy nie spytał, dlaczego egzemplarze *Nieposłuszeństwa obywatelskiego* Thoreau stoją na półce tak długo, że zdążyły się pokryć kurzem.

Dostałam od rodziców fantastyczny dar. Dali mi tę księgarnię i zapewnili mi przyszłość, ale nigdy nie powiedzieli, że ich sposób prowadzenia księgarni jest jedynie słuszny.

Sprzedajemy teraz więcej czasopism i świec. Sprzedajemy torby na zakupy z cytatami z literatury. Sprzedajemy znacznie więcej niż kiedyś literatury młodzieżowej. A mniej – klasyki i powieści w twardych okładkach. Wszystko to być może dlatego, że tak zmienia się księgarski biznes. Ale myślę też, że to z powodu mnie. Bo prowadzę sprawy inaczej, w sensie dobrym i złym.

Teraz wszystko może się znowu zmienić, skoro wraca Marie. Możemy, kto wie, stać się jeszcze silniejsi.

Klient wychodzi, a ja szykuję się do wyjścia, żeby spróbować odzyskać miłość mojego życia.

– Okej – mówię. – To idę. Życz mi szczęścia.

Zanim zdążę się rozmyślić, ruszam do drzwi, ale przystaję. Czuję, że trzeba powiedzieć jasno coś, co nigdy nie zostało zwerbalizowane.

– Dziękuję – mówię do rodziców. – Za to, że powierzyliście mi tę księgarnię i za to, że poczekaliście, aż sama się w niej zakocham, na swój własny sposób. Dziękuję, że pokierowaliście mnie w stronę takiego życia, w którym jestem szczęśliwa.

Przez chwilę mama wygląda, jakby się miała rozplakać, ale nie.

– Oczywiście, kochanie – mówi, a tato puszcza do mnie oko.

To są rodzice. Ty im dziękujesz za dary, które uformowały cały twój świat, a ich odpowiedź brzmi: „Oczywiście”.

Już w drzwiach oglądam się na Marie i mówię:

– Witaj w pracy.

Wsiadam do samochodu i na przednim siedzeniu znajduję kanapkę sprzed paru dni. Zdążyła już zasmrodzić wewnątrz kwaśnym, ostrym odorem. Łapię ją i wyrzucam do pojemnika, po czym otwieram na minutę drzwiczki po obu stronach, usiłując wywietrzyć auto.

I wtedy widzę, że na parking podjeżdża jakiś samochód.

Nie potrzebuję patrzeć przez przednią szybę, żeby wiedzieć kto to.

Ale oczywiście i tak patrzę.

Sam.

Serce zaczyna mi szybko bić. Czuję rytmiczny bas pulsujący mi w piersi.

Podbiegam do jego samochodu, właśnie gdy wysiada.

Jest w płóciennych spodniach i koszuli. Z szyi zwisa mu poluzowany krawat. Kurtkę ma niezapiętą.

Jest środek dnia i powinien być w szkole.

Tymczasem stoi na parkingu mojego sklepu i ma przekrwione oczy.

Patrzę na niego i widzę złamane serce.

– Muszę z tobą porozmawiać – mówi, a jego oddech skrapla się natychmiast w kłęby pary.

– Ja też muszę z tobą porozmawiać.

– Nie! – Sam podnosi rękę. – Ja pierwszy.

Serce we mnie zamiera. To koniec? Jestem zdruzgotana. Moja niepewność sprawiła, że człowiek, którego kocham, stał się niepewny, jeśli chodzi o mnie... Czuję gwałtowną potrzebę, żeby grać na zwłokę, przeciągnąć tę chwilę, być z nim możliwie jak najdłużej, zanim opuści mnie na dobre – jeśli to właśnie zamierza zrobić.

– Możemy usiąść w samochodzie? – proponuję. – I włączyć ogrzewanie?

Sam kiwa głową i otwiera drzwiczki. Obiegam jego auto i wsiadam od strony pasażera, rozcierając zmarznięte dłonie. Sam włącza zapłon i czekamy, aż się troszkę ociepli. Wkrótce dłonie zaczynają mi tajać.

– Posłuchaj – mówi Sam. – Przez ostatnie cztery dni bez przerwy myślałem.

Mam wrażenie, że minęła epoka, a to tylko cztery dni.

– Nie mogę tak – mówi, zwracając się do mnie całym ciałem. – Nie mogę tak żyć. Nie mogę... U mnie to nie działa.

– Rozumiem – mówię. Czuję, że zaczyna mnie boleć w piersi, tak jakby ciało nie mogło tego znieść.

– Musisz wrócić do domu.

Podnoszę na niego oczy.

– Co?

– Piętnaście lat temu patrzyłem, jak odchodzisz z Jessem, i mówiłem sobie, że podjęłaś taką decyzję i nic nie mogę na to poradzić. I teraz, piętnaście lat później, robię to samo. To nie jest... Nie mogę tego zrobić jeszcze raz. Będę walczył o ciebie, Emma.

Nie dowierzam temu, co słyszę.

– Wyszedłem dziś z pracy po piątej lekcji, bo zamierzałem nauczyć zespół jazzowy grać *Całkowite zaćmienie serca*. Zadałaś mi cios w serce, Emma. Byłem sam przez te dni, tłukłem się po kątach jak ptak ze złamanym skrzydłem i tak strasznie pragnąłem, żebyś do mnie wróciła. Ale pragnąć to za mało. Jestem

już dorosły. Nie jestem nastolatkiem, którym byłem wtedy, za pierwszym razem. Teraz jestem mężczyzną. I nie wystarczy, że będę pragnął czy miał nadzieję. Muszę o ciebie walczyć. Więc jestem tutaj. Rozpoczynam walkę.

Bierze mnie za rękę.

– Jestem dla ciebie właściwym człowiekiem, Emma. To, co jest między nami, to prawdziwa miłość. Chcę spędzić resztę życia z tobą. Jesteś moją bratnią duszą. Potrafię sprawić, że będziesz szczęśliwa. Potrafię dać ci życie, jakiego pragniesz. Więc wyjdź za mnie, Emma. Wyjdź za mnie – powtarza z naciskiem na „za mnie”.

– O Boże – mówię słabo. Czuję ogromną ulgę. – Ale my jesteśmy śmieszni.

– O czym ty mówisz? – pyta Sam. – O co ci chodzi?

– Walczysz o mnie?

– Tak.

– A ja właśnie miałam odszukać cię w pracy i zaważać o ciebie.

Sam milczy, rozbrojony i zdumiony. Po chwili w jego oczach pojawiają się łzy.

– Naprawdę?

– Kocham cię, najdroższy – mówię. – I chcę być z tobą na zawsze. Bardzo, bardzo cię przepraszam, że miałam niezłatwione sprawy. Ale teraz to już skończone. I wiem, że to ty jesteś mężczyzną, z którym chcę spędzić każdy dzień mojego życia. Chcę naszego wspólnego życia. Chcę wyjść za ciebie. Przepraszam, że byłam pogubiona. Ale teraz jestem pewna, że chcę ciebie.

– A Jesse? – pyta Sam.

– Kocham Jessego. Zawsze będę go kochać. Ale on był dla mnie odpowiedni dawniej. Teraz to ty jesteś dla mnie odpowiedni. Teraz i zawsze.

Sam bierze głęboki oddech, chłonąc moje słowa.

– Mówisz serio? To nie jest coś, co mówisz tylko dlatego, żeby wypadło dramatycznie i efektownie?

Kręcę głową.

– Nie, nie usiłuję być dramatyczna i efektowna.

– Mam na myśli, że ci się to udało, jeszcze jak.

– Ale naprawdę tak uważam. Każde słowo traktuję serio. Zakładając, że mi wybaczysz, że byłam niepewna, że musiałam wyjechać, że potrzebowałam spędzić z nim trochę czasu, aby dojść do tego, co już teraz wiem. Na pewno.

– Mogę to wybaczyć – mówi Sam. – Oczywiście, że mogę.

To dla mnie ważne, żeby wiedział, co zrobiłam, żebym stanęła z tym twarzą w twarz.

– Pojechaliśmy razem do Maine – mówię. – Tylko we dwoje.

Nie mówię nic więcej, bo nie muszę. Sam kręci głową.

– Nie chcę o tym słyszeć. Nie chcę wiedzieć. To już skończone. To przeszłość. Liczy się dla mnie tylko to, co będzie teraz, od tej chwili.

Kiwam głową. Rozpaczliwie pragnę dać mu pewność.

– Od tej chwili nie chcę nikogo ani niczego oprócz ciebie. Na zawsze.

Zamyka oczy i chłonie te słowa

– Zostaniesz moją żoną? – pyta z szerokim uśmiechem. Nie wiem, czy kiedykolwiek czułam się bardziej kochana niż w tej chwili, gdy myśl, że mogę wyjść za jakiegoś mężczyznę, rozświetla taką radością jego twarz.

– Tak – mówię. – Boże, tak!

Sam przechyla się w moją stronę i całuje mnie, rozpromieniony. Łzy w moich oczach to koniec końców łzy szczęścia. Serce mi już nie wali, lecz rośnie.

Nie ma już sprzecznych uczuć. Nie ma już niepewności.

– Kocham cię – mówię. – Chyba do tej pory nie wiedziałam, że aż tak.

To chyba dobry znak, że zyskaliśmy dowód, że nasza miłość rośnie, a nie słabnie w obliczu wyzwania. Myślę, że to dobrze wróży na przyszłość, na to wszystko, co nas czeka: małżeństwo, dzieci.

– O Boże, tak się bałem, że cię stracę – mówi Sam. – Wariowałem tutaj. Bałem się, że stracę najważniejszą rzecz, jaka mi się kiedykolwiek w życiu zdarzyła.

– Nie stracisz mnie. Jestem tutaj. Przy tobie.

Całuję go.

Siedzimy niewygodnie, częściowo wsparci o konsolę, z wykręconymi szyjami, a dźwignia zmiany biegów dźga mnie w kolano. Ale po prostu chcę być przy nim jak najbliżej. Sam całuje mnie w skroń i czuję zapach detergentu, w jakim wyprana została jego koszula.

– Zabierzesz mnie do domu? – pytam.

Sam się uśmiecha. To ten typ uśmiechu, który w każdej chwili może zmienić się w łzy.

– Jasne.

Odrywam się od niego i sadowię na fotelu, a on włącza silnik i cofa.

Mój telefon i portfel zostały w moim samochodzie, razem z torbą z rzeczami. Ale go nie wstrzymuję. Nie proszę, żeby zaczekał chwilę, to je zabiorę. Bo nie są mi potrzebne. Nie w tej chwili. W tej chwili mam wszystko, czego potrzebuję.

Sam trzyma mnie lewą ręką za moją prawą. Trzyma przez całą drogę, oprócz dwudziestosekundowej przerwy, kiedy szukam na konsoli jego ulubionej kasety z Charlesem Mingusem, którą, jak się okazuje, trzyma w schowku. Nadal nie znoszę jazzu, a on nadal go uwielbia. Jesteśmy wobec siebie tacy sami jak przedtem, w sprawach ważnych i nieważnych. Kiedy rozlega się muzyka, Sam patrzy na mnie zaskoczony.

– Przecież nie cierpisz Mingusa.

– Ale ty go uwielbiasz, więc...

Jest to chyba dla niego wystarczające wyjaśnienie, bo znowu bierze mnie za rękę. Nie ma napięcia, nie ma nacisku. Wystarcza nam, że po prostu istniejemy obok siebie. Patrzę na odśnieżone ulice Acton i spływa na mnie głęboki spokój. Acton przechodzi w Concord, potem wiecznie zielone żywopłoty przy autostradzie, prowadzące przez Lexington i Belmont, ustępują miejsca brukowanym chodnikom i czerwono-brunatnym budynkom Cambridge. Świat wydaje mi się lustrem, w którym to, co widzę przed sobą, jest w końcu idealnie zsynchronizowane z tym, z czego jestem zrobiona.

Na tych ulicach, z tym mężczyzną czuję się sobą.

Parkujemy i idziemy do naszego mieszkania. Tulę się do niego, traktując jego ciało jako tarczę broniącą mnie przed chłodem.

Sam przekręca klucz w drzwiach i kiedy się za nami zamykają, jest to tak, jakbyśmy zamknęli się na klucz przed całym światem. Kiedy mnie całuje, usta wciąż ma zimne i czuję, jak rozgrzewają się pod moim dotknięciem.

– Cześć – mówi z uśmiechem. Jest to taka odmiana „cześć”, która znaczy wszystko oprócz „cześć”.

– Cześć – odpowiadam.

Zapach naszego mieszkania, woń, na którą nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi, jest świeży i korzenny zarazem, jak cynamonowa pasta do zębów. Pod pianinem leżą oba koty. Najwyraźniej mają się okej. Wszystko jest okej.

Sam opiera się o mnie ciałem, a ja opieram się o drzwi. Ujmuje dłonią mój policzek, palce wsuwa we włosy, a kciukiem delikatnie wodzi pod okiem.

– Bałem się, że stracę te twoje piegi na zawsze – mówi, patrząc mi w oczy. W jego wzroku jest ukojenie i bezpieczeństwo. Wtulam policzek w jego dłoń.

– Nie straciłeś. Jestem tutaj. I zrobię dla ciebie wszystko. Wszystko. Zawsze.

– Niczego od ciebie nie potrzebuję. Tylko ciebie. Chcę tylko ciebie.

Opasuję go ramieniem i przygarniam bliżej. Ciężar jego ciała na moim jest zarazem pobudzający i kojący. Czuję woń jego włosów, woń brylantyny z drogerii. Czuję szorstkość jego zarostu.

– I masz – mówię. – Jesteśmy razem. Ty i ja. Na zawsze.

Myliłam się, kiedy wcześniej mówiłam, że nie ma nic bardziej romantycznego niż koniec związku.

Jest. To.

Nie ma nic bardziej romantycznego niż to. Trzymać w ramionach kogoś, kogo, jak się obawiałaś, straciłaś, i wiedzieć, że już nigdy go nie stracisz.

Nie sądzę, żeby prawdziwa miłość oznaczała jedyną miłość.

Myślę, że prawdziwa miłość oznacza: kochać naprawdę.

Kochać w pełni. Kochać całą sobą.

Być może, jeśli jesteś człowiekiem, który gotów jest oddać się cały, człowiekiem, który gotów jest kochać całym sercem, pomimo że już wiesz, jak to może boleć... wówczas być może przeżyjesz wiele prawdziwych miłości. Może dostałaś od losu dar odwagi.

Ja jestem taką kobietą. Kobietą, która ośmieliła się kochać jeszcze raz.

I koniec końców lubię to we mnie.

To trudne – kochać po przeżyciu miłosnej tragedii. Bolesne. Zmusza cię to do uczciwości wobec siebie i odpowiedzi na pytanie, kim jesteś. Musisz ciężiej pracować, żeby wyrazić w słowach swoje uczucia, bo nie mieszczą się w żadnych gotowych pudełkach.

Ale warto.

Bo tylko spójrz, co wtedy dostajesz:

Wielkie miłości.

Miłości pełne znaczenia.

Prawdziwe miłości.

Na moim drugim ślubie mam suknię w kolorze lawendy. Jest elegancka i bogato zdobiona. Wygląda jak suknia kobiety, która przed ślubem żyła pełnią życia. Sygnalizuje silną, przyjemnie zaokrągloną osobę, która podejmuje właściwe decyzje. Moim świadkiem jest Marie. Ava sypie kwiatki, Sophie niesie obrączki. Miesiąc miodowy spędzamy z Samem w Montrealu.

Osiem miesięcy i dziewięć dni po tym, jak wypowiedzieliśmy z Samem ślubną przysięgę w obecności naszych przyjaciół i rodziny, rozmawiam z Olive przez telefon. Jest łagodny letni wieczór, a ja zamykam Blair Books.

Marie wyszła wcześniej, żeby odebrać dziewczynki od rodziców. Spotykamy się wszyscy na kolacji u Marie i Mike'a. Mike przyrządza steki, a Sam obiecał Sophie i Avie, że zrobi dla nich grillowany ser.

Olive opowiada o przyjęciu, które organizuje na pierwsze urodziny swojego synka Pipera, kiedy słyszę znajome „biip”. Ktoś czeka na połączenie.

- Wiesz co? – mówię. – Mam kogoś na linii. Muszę kończyć.
- Okej. Aha, chciałam cię spytać, co myślisz o tym, żeby tematem wiodącym były morskie...
- Olive! – powtarzam. – Muszę kończyć.
- Okej, ale... podobają ci się morskie zwierzęta jako temat czy nie?
- Chyba zależy, o jakie zwierzę chodzi, ale muszę kończyć.
- Mam na myśli na przykład wieloryby, delfiny, może jakieś ryby... – Słyszy mój jęk i opamiętuje się.
- No dobra! Możemy pogadać na FaceTime jutro.

Rozłączam się i sprawdzam, kto dzwoni.

Nie rozpoznaję numeru. Ale rozpoznaję kierunek.

310.

Santa Monica, Kalifornia.

- Halo?
- Emma? – Głos z miejsca jest znajomy. Głos, którego nigdy nie zapomnę.
- Jesse?
- Cześć.
- Cześć!
- Jak się masz? – pyta od niechcienia, jakbyśmy cały czas ze sobą rozmawiali. Parę razy dostałam od niego widokówkę z Kalifornii, a raz nawet z Lizbony. Tekst zawsze był krótki, miły, zwykłe wiadomości, co u niego, dokąd się wybiera. Przez cały ten czas wiem, że wszystko z nim dobrze. Ale nie kontaktujemy się zbyt często. A nigdy przez telefon.

- Dobrze – mówię. – Nie narzekam. A tobie jak leci?
- Też nie narzekam. Oczywiście tęsknię za wami wszystkimi w Acton.
- Oczywiście – mówię z uśmiechem.
- Ale mam się dobrze. Jestem... jestem tu naprawdę szczęśliwy.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Nie za bardzo wiem, dlaczego dzwoni. Milczenie się przeciąga. I wtedy Jesse mówi:

- Poznałem pewną kobietę.
- Może nie powinno mnie to zaskoczyć – że poznał kobietę i że chce mi o tym powiedzieć. Ale zaskakuje

i jedno, i drugie.

– Tak? To cudownie.

– Tak, jest... jest niezwykła. Po prostu wyjątkowa. Jest zawodową surferką. Obłąd, prawda? Nigdy nie myślałem, że zakocham się w surferce.

Śmieję się.

– Bo ja wiem. – Zamykam księgarnię na klucz i idę do samochodu. Nadal jest jasno, chociaż godzina dość późna. Będzie mi tego brakowało w październiku. Przypominam sobie, żeby docenić to teraz. – W pewnym sensie jest dla mnie całkiem zrozumiałe, że zakochałeś się w surferce. Czy może być coś bardziej typowo kalifornijskiego?

– Tak, może i masz rację – śmieje się Jesse.

– A jak ma na imię?

– Britt.

– Jesse i Britt. Ładnie brzmi – mówię.

– Też tak uważam. Myślę, że do siebie pasujemy.

– Och, Jesse, to cudownie. Naprawdę bardzo się cieszę.

– Chciałem ci powiedzieć... – zaczyna i zawiesza głos.

– Tak?

– Teraz rozumiem. Rozumiem to, co mówiłaś. Że to, że się zakochałaś w Samie, nie znaczy, że o mnie zapomniałaś. Że to nie zmienia tego, co kiedyś czułaś. Że ten, kogo kochałaś wcześniej, nie staje się przez to mniej ważny.

– Aha.

– Wtedy tego nie rozumiałem. Myślałem... myślałem, że to, że wybierasz jego, oznacza, że mnie nie kochasz. Że ponieważ nasz związek nie może trwać, był porażką albo pomyłką. Ale teraz rozumiem. Bo ją kocham. Bardzo, bardzo ją kocham. Ale to nie zmienia tego, co czułem wobec ciebie ani jaki jestem wdzięczny losowi, że cię kiedyś kochałem. Po prostu...

– Ja to przeszłość. A ona to teraźniejszość.

– Tak! – mówi z ulgą, że ja to za niego wyraziłam, że nie musi już szukać właściwych słów. – Dokładnie tak jest.

Myślę, że kiedy się ponownie zakochujemy, troszeczkę zapominamy o tych, których kochaliśmy wcześniej. Ale to niczego nie wymazuje. Nie zmienia tego, cośmy przeżyli. Pozostawiamy ich za sobą, ale nie na tyle daleko, żebyśmy nie mogli natychmiast sobie wszystkiego przypomnieć, żebyśmy nie mogli do tego wrócić jak do książki, którą kiedyś czytaliśmy, i przywołać w pamięci tamtych wrażeń i przeżyć.

– Chyba chcę ci po prostu powiedzieć, że doszedłem do tego, że myślę teraz tak jak ty. Bardzo, bardzo się cieszę, że byliśmy kiedyś małżeństwem. Z wdzięcznością wspominam nasz dzień ślubu. To, że coś nie trwa przez całe życie, nie znaczy, że nie miało tego być. Nasz związek miał być.

Siedzę na przednim siedzeniu mojego auta z telefonem przy uchu, niezdolna do niczego poza słuchaniem.

– Nie spędzimy ze sobą życia – mówi Jesse. – Ale w końcu zrozumiałem, że to nie odbiera ani odrobiny piękna temu, że kiedyś było nam ze sobą dobrze. Że byliśmy dla siebie odpowiedni.

– Prawdziwa miłość nie zawsze trwa – mówię. – Nie zawsze musi być na całe życie.

– Właśnie. Ale to nie znaczy, że nie jest prawdziwa.

Nasza miłość była prawdziwa.

Skończyła się.

I tak jest dobrze.

– Jestem tym, kim jestem, bo kiedyś cię kochałem – mówi Jesse.

– Ja też jestem tym, kim jestem, bo kiedyś cię kochałam – mówię ja.

A potem się zegnamy.

Podziękowania

Moja babcia, Linda Morris, całe swoje życie przeżyła w Acton. Odeszła parę tygodni przed tym, jak zabrałam się do pisania tej książki. To właśnie przyjazd do domu na nabożeństwo żałobne ku jej czci, w październiku, gdy powietrze jest takie rześkie, a liście takie kolorowe, uświadomił mi, jak kocham to miejsce, z którego się wywodzę, i jak bardzo bym chciała o nim napisać – w hołdzie dla mojej babci. Wszyscy ludzie, których przyjaźnią i życzliwością cieszę się najdłużej, to mieszkańcy Acton lub okolicznych miejscowości. Jest to więc z mojej strony sposób, by powiedzieć im nie tylko „dziękuję”, ale także „kocham was”.

Ta książka – i każda, którą napisałam – nie byłaby możliwa, gdyby nie trzy kobiety: moje redaktorki Greer Hendricks i Sarah Cantin oraz moja agentka Carly Watters.

Greer, dziękuję, że widzisz wszystko to, czego ja nie potrafię zobaczyć, i że wierzysz, iż potrafię znaleźć sposób, aby to naprawić. Obie te cechy są absolutnie niezbędne, żeby się to wszystko kręciło, i jestem wprost niesamowicie wdzięczna losowi, że znalazłaś się w mojej drużynie. Sarah, dziękuję, że jesteś taką fantastyczną liderką. Wiem, że w wydawnictwie Atria Books moje książki są w świetnych rękach, właśnie dlatego, że jesteś taka dobra w tym, co robisz. Carly, dziękuję ci, że masz w sobie tyle entuzjazmu wobec mojej pracy, ile mam ja, i że zawsze wiesz, o co zamierzam zapytać, zanim jeszcze zapytam. Przekazując do wydania kolejną książkę, nadal czuję się niesamowitą szczęściarą, że jesteś twarzą całej tej operacji.

Crystal Patriarche wraz z całym zespołem portalu BookSparks: kampanie promocyjne w waszym wykonaniu to absolutne gwiazdorstwo. Tory, dziękuję, że tak cierpliwie i z wdziękiem starasz się rzetelnie odpowiedzieć na każde moje odjechane pytanie. Brad Mendelsohn: dziękuję ci nie tylko za to, że jesteś fantastycznym menedżerem, który myśli dziesięć ruchów do przodu, ale także za to, że w końcu zmontowałeś trampolinę swojej córki.

Dziękuję wszystkim w Atria Books, a zwłaszcza Judith Curr, dzięki którym to wydawnictwo stanowi tak świetną markę. Jestem dumna, że mogę być jej częścią. Czuję się niezwykle szczęściarą, że moja książka w procesie wydawniczym przechodzi wyłącznie przez utalentowane ręce.

Do wszystkich blogerów, którzy mnie za każdym razem wspierają: ta książka istnieje, bo napędziliście mi czytelników. Dzięki wam moja praca to zabawa, wasza pasja do ciekawych opowieści i postaci jest zaraźliwa. Dziękuję wam za ciągłe przypominanie mi, dlaczego kocham to, co robię, i za pomoc w dotarciu do tak zróżnicowanego, wspaniałego grona czytelników. Jestem waszą dłużniczką.

Wszystkim przyjaciom i członkom rodziny, którym dziękowałam poprzednim razem, dziękuję i teraz. Do rodziny mojego męża, Reidsów i Hanesów: zadedykowałam tę książkę wam, bo choć kocham Acton, kocham także Los Angeles, i to w niemałym stopniu dzięki wam. Dziękuję, że zawsze mnie wspieracie i że dzięki wam czuję się w tym ogromnym mieście jak w domu.

Do *mi madre y mi hermano*, Mindy i Jake'a: kocham was. Mamo, dziękuję, że za twoją sprawą przeprowadziliśmy się do Acton, gdzie zyskałam wyjątkowe szanse edukacyjne, fantastyczny system

wsparcia, a koniec końców – także temat na książkę. Jake, dziękuję, że przeprowadziłeś się do Los Angeles, dzięki czemu mam z kim pogadać, kiedy tęsknię za plażą Makaha i skrzydełkami w miodzie z Roche Bros.

I – *last but not least* – mój mąż, Alex Jenkins Reid. Dziękuję ci, że czytasz każdą moją książkę tak, jakbyś sam ją napisał, że jesteś na tyle uważny, aby dostrzec to, co w niej piękne, i na tyle uczciwy, by powiedzieć, kiedy twoim zdaniem coś nawala. I że – kiedy faktycznie nawala – wychodzisz, aby mi kupić mrożoną herbatę i babeczkę. Dziękuję, że czekasz, aż będę gotowa spróbować jeszcze raz, a wtedy podwijasz wraz ze mną rękawy i mówisz: „Damy radę”. Zawsze masz rację. Zawsze dajemy.

Przypisy

- [1] Rodzaj podróznego festiwalu muzycznego bądź trasy koncertowej, gdzie występują wyłącznie kobiety i zespoły prowadzone przez kobiety (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Żeński odpowiednik bar micwy, żydowska uroczystość religijna związana z wejściem dziewczyny w okres dorosłości, odrzucana przez religijnych ortodoksów.
- [3] Większość restauracji na Wschodnim Wybrzeżu w godzinach od 15.30 do 16.30 oferuje posiłki tańsze niż wieczorem i z mniejszym wyborem dań, przewidziane z reguły dla ludzi starszych.
- [4] Amerykański system ocen obejmuje oceny od A+ (najwyższa) do F (najniższa).
- [5] Międzynarodowy ulgowy bilet kolejowy, którego wykupienie uprawnia do podróżowania pociągami po większości krajów Europy, przeznaczony dla osób spoza Europy, głównie ludzi młodych.
- [6] Gra słów: *Für Elise* (w angielszczyźnie tytuł utworu funkcjonuje w wersji oryginalnej, niemieckiej) i *fur* (ang. futro).
- [7] Mocno parzący gatunek rurkopława, występujący najliczniej w prądzie zatokowym północnego Atlantyku i w subtropikalnych wodach Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku.

Table of Contents

Tytułowa
Redakcyjna
Wstęp
Przed: Emma i Jesse, czyli jak się zakochać i rozlecieć się na kawałki
Emma i Sam, czyli jak się pozbiierać
Po: Emma, Sam i Jesse, czyli jak zagrozić wszystkiemu, co kochasz
Miłość i Maine, czyli jak cofnąć czas
Dwie prawdziwe miłości, czyli jak zaakceptować prawdę o miłości
Podziękowania
Przypisy